

CZY KTOKOLWIEK W TO UWIERZY?

NIE
ZABIŁAM

KLAUDIA MUNIAK



N I E
Z A B I Ł A M

K L A U D I A M U N I A K



Copyright © Klaudia Muniak, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Marta Kujawa

Redakcja: Aleksandra Deskur

Korekta: Ewelina Sikora-Chodakowska, Anna Nowak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka
| panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel
Rusiłowiczowie

Fotografia na okładce: © Rytis | Adobe Stock

Fotografia autorki: © Marta Machej

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz
Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67551-28-1

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-2519

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat

**

SABINA

1.

2.

3.

4.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

5.

6.

SABINA

7.

8.

9.

10.

11.

12.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

13.

14.

SABINA

15.

16.

17.

18.

19.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

20.

21.

SABINA

22.

23.

24.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

25.

26.

27.

SABINA

28.

29.

30.

31.

32.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

33.

34.

35.

SABINA

36.

37.

38.

39.

40.

41.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

42.

SABINA

43.

44.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

45.

SABINA

46.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

47.

SABINA

48.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

49.

SABINA

50.

POSŁOWIE

*Jestem kłębowiskiem bólu, strachu i odrzucenia,
stworzonym przez pogardę i nienawiść.
Czy jestem również morderczynią?*

Liczba osób, co do których istnieje podejrzenie, że są dotknięte przemocą: ogółem 75 761, w tym: kobiety 55 112, mężczyźni 9 520, małoletni 11 129.
Liczba dzieci umieszczonych w rodzinie zastępczej lub w placówce opiekuńczo-wychowawczej: 345.

Przemoc w rodzinie, dane za rok 2021

Liczba osób, co do których istnieje podejrzenie, że są dotknięte przemocą: ogółem 85 575, w tym: kobiety 62 866, mężczyźni 10 922, małoletni 11 787.
Liczba dzieci umieszczonych w rodzinie zastępczej lub w placówce opiekuńczo-wychowawczej: 288.

Przemoc w rodzinie, dane za rok 2020

Liczba osób, co do których istnieje podejrzenie, że są dotknięte przemocą: ogółem 88 032, w tym: kobiety 65 195, mężczyźni 10 676, małoletni 12 161.
Liczba dzieci umieszczonych w rodzinie zastępczej lub w placówce opiekuńczo-wychowawczej: 309.

Przemoc w rodzinie, dane za rok 2019

SABINA

1.

Obracam w palcach papierosa i cholernie żałuję, że nie będzie mi dane go wypalić. Odruch wsunięcia fajki między wargi i sięgnięcia po zapalniczkę jest niemal nie do powstrzymania. Nie chcę temu ulec. Nie ma znaczenia, jak silne jest to pragnienie, muszę je w sobie zdusić.

Udaje mi się. Chowam papierosa do napoczętej paczki, którą kupiłam już dobrych kilka miesięcy temu, i z ociąganiem ruszam w stronę niepozornych drzwi. Z nieba siąpi deszcz. Daleko mu do ulewy, która wczoraj nawiedziła miasto, ale panujące od paru dni wietrzysko sprawia, że zimne krople wody i tak wściekle atakują moją twarz.

Od dłuższego czasu przychodzę tutaj regularnie, nigdy nie są to przyjemne wizyty, ale dziś denerwuję się bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Usprawiedliwiam to poczucie paskudną pogodą.

Przekraczam próg i otrzepuję się z pokrywającej moją odzież wody. Zanieczyszczona spalinami ciecz z cichym płaskiem ląduje na posadzce. Pojedyncze krople szybko zlewają się w grubsze strużki i szpecą elegancką podłogę, która do złudzenia przypomina prawdziwy marmur. Nie pomyślałam o tym, aby zabrać parasolkę, więc nie tylko moje buty i ubranie są przemoczone. Z włosów kapią mi kolejne krople wody, kiedy kieruję się do niewielkiego kontuaru, pełniącego funkcję rejestracji.

W środku budynek prezentuje się zgoła inaczej niż na zewnątrz. Staremu, sypiącemu się tynkowi przydałaby się

renowacja. Za to o wnętrze solidnie zadbano. Podejrzewam, że przeszło gruntowny remont, kiedy zdecydowano się ulokować tutaj placówkę medyczną. Podobnych ośrodków powstało w kraju kilkadziesiąt, wszystkie w ramach Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego. Inicjatywa zdecydowanie się udała, już teraz wiadomo, że było to jedno z najlepszych posunięć rządu w ostatnich latach. Nieoczekiwanie zbito na projekcie znacznie większy kapitał polityczny, niż zakładano, większy nawet niż wcześniej na stale rozszerzanych świadczeniach socjalnych. To bardzo jasny sygnał - Polakom brakuje profesjonalnej pomocy. Pojawiły się głosy, że dzięki programowi nie tylko zyska władza, ale też może wreszcie uda się przełamać tabu, którym w naszym kraju wciąż są zaburzenia psychiczne.

Rejestracja to długi kontuar, którego blat przypomina szlachetne drewno, a mimo to wciąż bije od niego pośepność typowa dla szpitali. Może dlatego, że w rzeczywistości pokryty jest jedynie sklejką. Ja to zauważam, ale pewnie są pacjenci, którzy dadzą się nabrać. Którzy poczują się wyjątkowo i utwierdzą się w przekonaniu o wysokiej jakości usług medycznych świadczonych przez ośrodek.

- Dzień dobry - odzywam się, a unoszące się tu zapachy atakują moje nozdrza. To typowa dla placówek medycznych woń, w której stale czuć odór środków dezynfekujących i leków. Tego swoistego fetoru śmierci nie są w stanie zamaskować żadne odświeżacze powietrza.

- Dzień dobry - wita mnie zza blatu rejestratorka, młoda brunetka o pociągłej twarzy. Jeśli miałabym zgadywać, to moja rówieśniczka, nie sądzę, aby miała więcej niż trzydzieści kilka lat. - Pani godność? - dopytuje chłodnym tonem, jakbym pojawiła się w przychodni po raz pierwszy. Zastanawiam się, czy to możliwe, aby rejestratorka wciąż mnie nie pamiętała, czy po prostu zawsze traktuje pacjentów tak samo oziębłe.

- Sabina Gancarek - odmrukuje równie powściągliwie. Nie silę się przy tym na choćby najśłabszy uśmiech. Nie tylko nie ma takiej potrzeby, skoro pracownica ośrodka nawet na mnie nie patrzy, ale też nie znajduję zbyt wielu powodów do radości.

Nie ma sensu udawać, że jest dobrze. Sztuczny uśmiech jest głównie warty. Przekonałam się na własnej skórze, że wymuszona życzliwość wyrządza więcej szkód, niż mogłoby się wydawać. Zderzyłam się z nią dziesiątki razy. Pracownicy opieki społecznej z zaskakującą łatwością ukrywają swoją niechęć pod bezradnym współczuciem, a obojętność tłumaczą nawałem pilniejszych obowiązków. A przy tym wszystkim uśmiech nie schodzi im z ust.

Ludzie potrzebujący realnej pomocy są nazwiskami w rubryce, niechlubną statystyką, którą trzeba odhaczyć, w dodatku generującą całkiem pokaźne koszty. Komu są więc oni potrzebni? Na pewno nie pani z MOPS-u, która często ma pod swoją opieką zbyt wiele rodzin, aby rzeczywiście się zainteresować, jak sobie radzą.

- Proszę usiąść - wydaje polecenie rejestratorka.

- Dziś mam aplikację leku. - Uznaję za stosowne dodać tę informację. Kiedy to mówię, zdenerwowanie chwyta mnie za gardło jeszcze mocniej niż wtedy, gdy pojawiłam się przed budynkiem przychodni.

- Zaraz ktoś po panią przyjdzie - odpowiada na to krótko kobieta.

Posłusznie zajmuję jedno z wolnych krzeseł. Opieram tył głowy o ścianę, przymykam przy tym powieki. Marzę, aby mieć ten dzień już za sobą. Z włosów nadal kapie mi woda, czuję nieprzyjemną wilgoć w butach. Zaczyna mnie mdlić. Pewnie dlatego, że nie zjadłam dziś śniadania. Moja lodówka od kilku dni świeci pustkami. Na szczęście już jutro będę mogła zrobić zakupy.

- Pani Gancarek? - Otwieram oczy, kiedy słyszę swoje nazwisko.

Widzę przed sobą pielęgniarkę, wcześniej nie miałam z nią do czynienia. Jest wysoka i szczupła, chciałoby się powiedzieć, że nawet koścista. Ma farbowane blond włosy upięte w ciasnego koka, który uwydatnia ciemne odrosty. I chyba pięćdziesiątkę na karku. Przez to wszystko kobieta przypomina mi nieco moją... mamę.

- Proszę za mną - mówi i w przeciwieństwie do rejestratorki zaszczyca mnie spojrzeniem. Posyła mi nawet uśmiech.

Ściska mnie od niego w dołku. W taki sposób mogłaby uśmiechać się do mnie moja mama.

- Idziemy? - dopytuje pielęgniarka, kiedy nie reaguję na jej poprzednią komendę.

- Tak. - Podnoszę się z krzesła.

- Tędy. - Kobieta wskazuje mi drogę, po czym odwraca się na pięcie i idzie przodem.

Podążam za nią. Prowadzi mnie korytarzami w głąb kliniki, nic nie mówi. W konsekwentnym milczeniu docieramy do windy. Najwyraźniej dziś będzie mi dane zobaczyć, jak wygląda przychodnia na wyższych piętrach, do tej pory odwiedzałam jedynie gabinety lekarskie, które znajdują się na parterze.

- Jestem trochę przeziębiona - przyznaję, kiedy pielęgniarka wciska guzik przywołujący windę.

- Mhm - mruczy kobieta, po czym wysuwa spod pachy tablet. Wybudza go i przez chwilę jej palce tańczą po wyświetlaczu.

W międzyczasie pojawia się winda. Wchodzimy do niej, moja opiekunka wybiera piętro, na które mamy się udać. Przycisk z cyferką dwa podświetla się na zielono, drzwi się zamykają.

- Katar nie jest przeciwwskazaniem do przyjęcia leku? - pytam, gdzieś w głębi duszy pragnąc, aby tak właśnie było.

- Nie, absolutnie nie - słyszę.

- Aha - bąkam.

- Przecież nie przerywa się leczenia standardowymi pigułkami, kiedy pacjent się przeziębi - dodaje pielęgniarka, jakby wyczuła moje lęki.

Kiwam głową. O nic więcej nie pytam, kobieta też już nic nie mówi. Jeśli rzeczywiście spostrzegła moje obawy, to nie ma zamiaru mnie bardziej uspokajać. Nie komentuje nawet tego, że jestem cała przemoczona. Cisza wypełnia przestrzeń tak szczelnie, że aż szumi mi od niej uszami. Winda się wlece. Przez to wszystko zaczynam się zastanawiać, czy wcześniejszy uśmiech kobiety nie pojawił się przypadkiem tylko w mojej wyobraźni.

Za moment winda dociera na drugie piętro. Pielęgniarka wysiada pierwsza, prowadzi mnie do pokoju oznaczonego numerem dwieście dwanaście. Pomieszczenie wygląda jak typowy pokój zabiegowy, dostrzegam w nim znajome sprzęty. Odrobinę mnie to uspokaja.

- Dziś pierwsza aplikacja. - Kobieta zasiada za biurkiem. - Polegać będzie ona na prostej iniekcji domięśniowej. Proszę to najpierw przeczytać - podaje mi plik kartek - a potem podpisać tu na dole. - Kartkuje go do ostatniej strony i pokazuje mi właściwą rubrykę.

- Dobrze. - Przejmuję od pielęgniarki dokumenty, a ta wstaje z miejsca i kieruje się do wyjścia. Bez słowa znika z gabinetu.

Wracam spojrzeniem do papierów, zaczynam je przeglądać. Szybko dochodzę do wniosku, że to coś na kształt karty informacyjnej, podejrzewam, że jest w niej wszystko to, co na kilku poprzednich spotkaniach objaśniał mi mój psychiatra. Nie sądzę, aby doktor Niemczyk cokolwiek pominął, ale mimo wszystko postanawiam całość bardzo dokładnie przeczytać. Mechanizm aktywności leków długodziałających przeciwpsychotycznych, wskazania i przeciwwskazania do ich

stosowania, zalety korzystania, możliwe skutki niepożądane – z przekazanej mi karty informacyjnej nie dowiaduję się niczego nowego.

- I jak? – Pielęgniarka wraca do pokoju.

- Nie ma tutaj niczego, o czym nie powiadomiłby mnie doktor Niemczyk – mówię.

- A więc wszystko jest zrozumiałe? – Kobieta ponownie siada przy biurku.

- Tak. Doktor bardzo dokładnie wytłumaczył mi specyfikę leków długodziałających – oznajmiam. Włożył też wiele wysiłku w to, żeby przekonać mnie do skorzystania z nich, jednak o tym już nie wspominam.

- Podpisała pani dokumenty? – dopytuje pielęgniarka.

- Już podpisuję. – Chwytam za długopis. Jeszcze moment się waham, w końcu składam podpis w odpowiednim miejscu. Ogarnia mnie coś, co przypomina spokój. Klamka zapadła, nie ma już odwrotu.

- Proszę podpisać jeszcze to. – Kobieta podaje mi kolejny dokument. – Raport z dzisiejszej aplikacji – wyjaśnia, kiedy spoglądam na nią pytająco.

Przyglądam się kartce A4, wszystko się zgadza: dostrzegam na niej swoje dane, dzisiejszą datę, aktualną godzinę, nazwę i dawkę leku, którą zaraz przyjmę.

Podpisuję dokument.

- Dziękuję. – Pielęgniarka przejmuje ode mnie oba formularze. – Chce pani wziąć kopię dokumentów do domu? – pyta.

- Yyy, tak – odpowiadam.

- Dokumenty będą czekały na panią w rejestracji. Proszę zabrać przy wyjściu.

- Dobrze. Dziękuję – mamrocę pod nosem.

Pielęgniarka wstaje z fotela i podchodzi do lodówki. Zauważam, że jest ona zamykana na kłódkę. Pracownica ośrodka ma do niej klucze. Otwiera chłodziarkę i zaczyna w niej szperać. Trwa to na tyle długo, że spokój, który spłynął na mnie, gdy podpisałam formularze, rozmywa się.

- Jak reaguje pani na zastrzyki? - Pielęgniarka wreszcie zamyka lodówkę i wraca za biurko. W dłoni trzyma niewielkie pudełeczko. Od razu zauważam zielony napis z nazwą leku.

- D-dobrze - dukam.

- Nie boi się pani igieł? Nie mdleje pani?

- Nie, nie mam takich problemów - oznajmiam.

Kobieta kiwa głową, po czym wyjmuje z kartonowego pudełeczka małą fiolkę. Sprawdza dane, które na niej widnieją, wpisuje je do raportu z aplikacji, który wcześniej podpisałam, a potem jeszcze wklepuje w tablet, najpewniej w moją kartotekę.

Gapię się na fiolkę, czując falę wzbierających mdłości. Robi mi się przy tym potwornie gorąco. Cholera, klnę pod nosem, naprawdę nie boję się zastrzyków! Za moment burczy mi jeszcze do tego w brzuchu i już wiem, skąd te niepokojące dolegliwości.

- Jadła pani śniadanie? - Ku mojemu niezadowoleniu pielęgniarka usłyszała, jak mój żołądek upomina się o swoje.

- Tak! - kłamię bez zastanowienia. Nie mam zamiaru się przyznawać, że jestem kompletnie spłukana. - To z nerwów - tłumaczę. - Trochę denerwuję się tą całą aplikacją.

- Nie ma czym - stwierdza kobieta. - To tylko zastrzyk. Jest pani lewo- czy praworęczna?

- Praworęczna.

- Więc aplikujemy w lewe ramię. - I tę informację notuje w dokumentach, tymczasem ja podwijam rękaw swetra.

Biorę głębszy oddech, a pielęgniarka sięga po strzykawkę. Dopadają mnie stare wątpliwości, może niepotrzebnie się na to zgodziłam. Obserwuję, jak lek z fiołki trafia do strzykawki, przezroczysty płyn ścieka do niej wielkimi kroplami. Wkrótce na własnej skórze się przekonam, czy dobrze zrobiłam.

Jeszcze szybka dezynfekcja i igła wreszcie przebija moje tkanki. Nie czuję niczego oprócz niewielkiego pieczenia i... strachu.

- Proszę zdjąć plaster po powrocie do domu. - Pielęgniarka poprawia opatrunek, który już tkwi w miejscu wkłucia.

Przyglądam się swojemu ramieniu z zaciśniętymi ustami. Z natury jestem nieufna, życie mnie tego nauczyło.

2.

Zwykle po przebudzeniu od razu wstaję z łóżka. Nie lubię w nim tkwić, bo zawsze wtedy dopada mnie chandra, której nie sposób się później pozbyć. Lepiej się za dużo nad sobą nie użalać, nawet kiedy ma się ku temu dobry powód. Ja mam tych powodów co najmniej kilka.

Dziś jednak zostaję w łóżku nieco dłużej. Leżę nieruchomo, uważnie wsłuchując się w swoje ciało. Lewe ramię delikatnie mnie rwie. Kiedy podnoszę rękę, boli bardziej. Nie są to jednak dolegliwości większe niż po przyjęciu szczepionki. Nie martwię się więc nimi za bardzo, coś innego mnie za to niepokoi.

Wczoraj tuż po powrocie z przychodni dopadły mnie zawroty głowy. Natychmiast sięgnęłam po kartę informacyjną, którą odebrałam z rejestracji, zanim opuściłam ośrodek, i okazało się, że to nic nadzwyczajnego. Podobne niedogodności z dużym prawdopodobieństwem mogą wystąpić w pierwszych godzinach po aplikacji leku. Grunt, że nie odczuwam ich teraz.

Siadam na łóżku, aby sprawdzić, czy po zmianie pozycji nadal nic mi nie będzie. Wygląda na to, że dziś wszystko jest już w porządku. To dobrze, bo te wczorajsze zawroty głowy naprawdę mnie przstraszyły.

Sięgam po telefon i wchodzę na stronę internetową swojego banku. Loguję się na konto. System odrzuca dane, najwyraźniej musiałam się pomylić. Próbuję ponownie, tym razem uważniej stukając w wyświetlacz telefonu, i... zaczyna mi się kręcić w głowie. Odnoszę wrażenie, że w jednej chwili mój błędnik kompletnie oszalał. Trwa to zaledwie kilka chwil, jednak wystarczająco długo, aby mnie znów zaniepokoić. Cholera, naprawdę miałam nadzieję, że dziś żadne zawroty głowy się nie pojawią.

Oddycham miarowo, wyczekując kolejnego kołowrotka, ale nic takiego się nie dzieje. Zacerpuję głębiej tchu i wracam do sprawdzania stanu swojego konta.

Jeszcze nigdy nie doszło do jakichkolwiek opóźnień, ale przecież nie od dziś wiadomo, że nieszczęścia chodzą parami. Jeśli ma się pojawić jakiś problem z przelewem, to z pewnością zdarzy się to w najmniej właściwym momencie. To jest właśnie ten moment – nie mam przy sobie ani grosza. Zapasy żywności też już mi się skończyły. A w weekend muszę zapłacić czynsz za wynajem pokoju.

Kiedy logowanie się przedłuża, bezwiednie zaczynam obgryzać skórkę przy paznokciu. Nie mogę przestać myśleć o tych zawrotach głowy, możliwe, że niepokoją mnie bardziej, niż powinny, jednak trudno mi tak po prostu je zignorować.

Kurwa – klnę pod nosem, kiedy moja komórka traci połączenie z internetem. To wina zasięgu. Wyczerpałam już internet oferowany przez operatora sieci komórkowej. Korzystam więc z niezabezpieczonego wi-fi, które mój nie najnowszy model telefonu szczęśliwie wyłącza. Nie wiem dokładnie, skąd pochodzi sygnał, ale na pewno nie z mieszkań bezpośrednio sąsiadujących, bo wtedy zasięg byłby znacznie lepszy. Podejrzewam, że to internet należący do jakiejś starszej pani, której nikt nie poradził założyć hasła, albo jakiegoś nierozgarniętego małolata. Nieważne, grunt, że mam dostęp do sieci. I obym miała jak najdłużej.

Rozpaczynam proces logowania od początku, tym razem system szybko reaguje. Oddycham z ulgą, kiedy wreszcie udaje mi się zająć na konto – są na nim pieniądze. To zdecydowanie mniejsza kwota niż ta, która wpływała, kiedy pracowałam, ale na razie musi mi ona wystarczyć.

Auć! Zadarłam skórkę za głęboko, o wiele za głęboko. Palący ból przeszywa mój palec na wskroś. Zerkam na niego i widzę, że cała płytka paznokcia podchodzi krwią. Cholera – mruczę

pod nosem i przyglądam się palcowi dokładniej. Pomimo krwawienia dostrzegam, że w małej ranie ciągle tkwi trochę odstającej skórki. Przykładam palec do ust, na wargach czuję słodkawy smak krwi. Wielu uważa go za mdlący, wręcz obrzydliwy, mnie on nie odrzuca. Wgryzam się mocniej we własne ciało, ale to na nic - nie jestem w stanie dosięgnąć sterczącego zadziorka! Oglądam palec raz jeszcze. Nie mogę tego tak zostawić.

Wstaję z łóżka i podchodzę do małego biurka. Wyjmuję z szuflady kosmetyczkę. Kiedy w niej szperam, udaje mi się zapomnieć o zawrotach głowy sprzed chwili. W myślach robię listę zakupów. Mam ochotę na mnóstwo różnych rzeczy, ale muszę wydawać pieniądze z rozważą. Gdy wreszcie znajduję w kosmetyczce żyłkę owiniętą w cienki papierek, zastanawiam się, co zjem na obiad. Skorzystanie ze stołówki przy przychodni wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Po południu mam wizytę u specjalisty, a w pobliskiej kantynie serwują naprawdę smaczne dania i, co najważniejsze, w niewygórowanych cenach.

Przykładam ostrze żyłki do rany tuż przy paznokciu i odcinam odstającą skórkę. To bardzo zły nawyk, który sama nie wiem, skąd mi się wziął. Nikomu się nie przyznaję, że wycinam skórki przy paznokciach w tak agresywny sposób, nie wie o tym nawet mój dawny psychiatra, zresztą obecny również nie ma o tym pojęcia. Nie potrafię przestać tego robić, bo w gruncie rzeczy... W gruncie rzeczy zaspokaja to moją osobliwą potrzebę obcowania z ostrymi przedmiotami.

Jeszcze jedno małe cięcie i skórka przy paznokciu przestanie mi dokuczać. Przykładam ostrze do palca, a wtedy znów atakują mnie zawroty głowy. W jednej chwili świat dookoła mnie na nowo zaczyna wirować. Tracę panowanie nad ostrzem żyłki, a ono gładko wchodzi w palec. Przecina skórę do żywego mięsa. Syczę z bólu i natychmiast wkładam palec do

ust. Ssąc ciągle sącząca się krew, czekam, aż miną kolejne zawroty głowy. Kiedy słabną, zaczynam się denerwować. Niby w karcie informacyjnej napisano, że tego typu dolegliwości mogą się pojawić, ale najwyraźniej naiwnie liczyłam, że akurat mnie to ominie.

- Długo jeszcze? - dolatuje mnie przytłumiony męski głos, a zaraz po nim rozlega się walenie do drzwi. - Zaraz się zleję!

Konrad dobija się do łazienki. To całkiem miły facet, dzięki któremu tu mieszkam, trzypokojowe lokum należy do jego rodziców. Chłopak zajmuje największe z pomieszczeń, a dwa pozostałe pokoje podnajmuje, jeden mnie, drugi Norbertowi, zdecydowanie mniej przyjemnemu typowi, który kilka miesięcy temu obronił magisterkę i dostał się na studia doktoranckie, a z dumy zwyczajnie mu odjechało. Nie wiem dokładnie, w jakim wieku jest Konrad, ale od kilku lat pracuje w banku, więc zgaduję, że przekroczył już trzydziestkę. Zresztą na mniej więcej tyle też wygląda.

- Już wychodzę! - słyszę głos Norberta i dźwięk otwieranych drzwi.

Zawijam żyletkę z powrotem w bibułę. Palec, który feralnie nadział się na ostrze, nadal krwawi. Chowam kosmetyczkę do szuflady, a hałasy na korytarzu ustają. Zastępuje je bulgoczący odgłos łazienkowych rur. Mieszkanie, choć odnowione, jest stare i wydaje z siebie przeróżne dziwne dźwięki. Odwaga nie należy do moich cnót i już kilka razy te cudaczne odgłosy zdołały napędzić mi niezłego pietra.

Zresztą podobnie jak dźwięki dolatujące zza drugiej ściany. Norbert jest zapalonym fanem krwawych horrorów, które ogląda nawet z większą namiętnością niż gangbangowe pornosy. Kto by pomyślał, że przyszłego doktora prawa kręci przyglądanie się grupowym orgiom. Któregoś wieczoru nie wytrzymałam i poszłam poprosić go, aby przyciszył te wrzaski. O ile byłam w stanie tolerować jęki dziwki pieprzonej we

wszystkie dostępne otwory ciała, o tyle miałam dość krzyków przerażonych ludzi, którym kostucha zagląda w oczy. Stałam w progu pokoju Norberta w momencie, gdy na ekranie telewizora jakiś popierdoleniec przewiercał czaszkę małego chłopca wiertarką. Nie mam pojęcia, co to była za produkcja, ale kadr z tego filmu śnił mi się przez kilka nocy z rzędu, zanim wróciły znajome obrazy. Norbert przychylił się do mojej prośby na zaledwie miesiąc, później przykre odgłosy znów zaczęły rozbrzmiewać, a ja zostałam zmuszona inaczej sobie z nimi radzić. Korki do uszu stały się moimi największymi sprzymierzeńcami.

Zaklejam palec plastrem, bo nadal nie chce przestać krwawić, a potem szykuję się do wyjścia. Kiedy wreszcie udaje mi się skorzystać z łazienki, wracam do pokoju i robię delikatny makijaż. Nie noszę podkładów, fluid czy puder w kremie są nie dla mnie. Przez to piegami pokrywające moje kości policzkowe i nos są bardzo dobrze widoczne. W zasadzie wystarczają mi dwa tusze – jeden do brwi, drugi do rzęs. Ust też nigdy nie maluję, są blade i niemal zlewają się z odcieniem skóry.

Włosy rozczesuję, a później wybieram kilka kosmyków i upinam je z tyłu głowy za pomocą małej spinki. Natura obdarzyła mnie ładnym kolorem, latem, kiedy słońce mocno świeci, moje włosy nabierają orzechowego tonu, z kolei zimą robią się ciemniejsze, ich barwa przypomina wtedy brandy.

Po kilku chwilach jestem gotowa, mogę ruszać na zakupy. Kieruję się w stronę przystanku, aby do niego dotrzeć, wybieram okrężną drogę. Dzięki temu omijam osiedlowy supermarket. W pobliżu znajduje się kilka innych sklepów, ale są małe i trudno będzie mi kupić w nich wszystko, czego potrzebuję. Do większego dyskontu muszę podjechać tramwajem, co będzie mnie kosztować dwa bilety w jedną i drugą stronę, ale trudno. W tym przypadku cena nie gra roli, w osiedlowym sklepie moja noga już nigdy więcej nie postanie.

Kiedy w polu mojego widzenia pojawia się teren na tyłach supermarketu, nie potrafię nie spojrzeć w tamtą stronę. To właśnie tam zawsze wychodziłam zapalić. Poprzedniej kierownicze zupełnie to nie przeszkadzało, co innego Jowicie. Twierdziła, że dym nikotynowy wdziera się na zaplecze, przez co w całym sklepie cuchnie fajkami. Przesadzała, zwyczajnie się nas wszystkich czepiała.

Godzinę później znów jestem w mieszkaniu. Rozpakowuję zakupy, jedząc mięciutką drożdżówkę z białym serem. Żałuję, że kupiłam tylko jedną, z chęcią wsunęłabym kolejną. Kiedy zakupione przeze mnie produkty trafiają do szafek, znów wychodzę z domu. Tym razem czeka mnie dłuższa podróż, muszę dostać się na drugi koniec miasta.

Do celu docieram nieco spóźniona. Dziś, kiedy nie pada, budynek przychodni robi znacznie przyjemniejsze wrażenie. Ale to tyle w kwestii różnic - ja denerwuję się tak samo jak wczoraj. I tak samo jak wczoraj mam ochotę zapalić papierosa. Powstrzymuję się, wchodzę do środka.

Wita mnie ta sama kobieta co dzień wcześniej. Po krótkiej rozmowie przechodzę na parter przychodni. Tam, w jednym z gabinetów, czeka na mnie lekarz.

Grzegorz Niemczyk jest uprzejmy, chyba nawet serdeczny. Ktoś mógłby stwierdzić, że to wynik tego, ile w klinice zarabia, ale jestem przekonana, że akurat w jego przypadku wynagrodzenie nie ma nic do rzeczy. Od tego człowieka bije życzliwość, której nie sposób się wyuczyć, a tym bardziej kupić.

- Dzień dobry! - wita mnie, wstając zza biurka, kiedy wchodzę do pokoju lekarskiego. Posyła mi przy tym szeroki uśmiech, z którym bardzo mu do twarzy. Ścisną moją dłoń na powitanie.

Doktor Niemczyk jest średniego wzrostu. Sylwetkę ma szczupłą, jedynie jego ramiona są szerokie. Mocno zarysowana szczęka i szeroko rozstawione oczy czynią jego twarz bardzo

męską. Głowę pokrywają gęste ciemne włosy, zawsze ma je starannie przystrzyżone i równie starannie ułożone, a gruby zarost zwykle zgolony na gładko.

To smutne, ale ten człowiek jest jedynym jasnym punktem moich wizyt w przychodni. Bez niego relacja łącząca mnie z tą placówką byłaby do granic dołująca. Czasem odnoszę wrażenie, że jestem w stanie podołać częstym wizytom w ośrodku wyłącznie dzięki niemu.

- Jak samopoczucie, pani Sabino? - Doktor wskazuje mi fotel ustawiony na wprost biurka.

- W porządku - mruczę pod nosem, siadając na krześle.

Lekarz zajmuje miejsce naprzeciw mnie, posyła mi przy tym kolejne przychylnie spojrzenie. Obecność Niemczyka zawsze działa na mnie w ten sam zadziwiający sposób - uśmiecham się.

- Dobrze... - Mężczyzna kiwa głową, bierze do ręki tablet. Przenosi wzrok na ekran. - Widzę, że wczorajsza aplikacja przebiegła wzorowo. Jak wyglądało to z pani perspektywy?

- Nie było żadnych problemów - przyznaję. - Tak jak doktor mówił, mały zastrzyk i po sprawie.

- Świetnie. - Lekarz stuka palcem w wyświetlacz tabletu. - Przeprowadzimy teraz krótki wywiad, zaczniemy od pani stanu fizycznego. - Unosi na mnie spojrzenie, jakby prosił o zgodę.

Kiwam głową, po czym Niemczyk zaczyna zadawać mi pytania. Mówię mu o zawrotach głowy.

- Pojawiły się wczoraj, tuż po powrocie do domu z przychodni. A także dziś rano.

- Jak silne one były? - chce wiedzieć.

Przypominam sobie żyłkę, nad którą straciłam kontrolę, i przez chwilę nie wiem, co powiedzieć. Lekarz cierpliwie czeka na moją odpowiedź.

- Dość silne - mówię wreszcie. - Miałam wrażenie, że przestrzeń dookoła mnie wiruje.

- Te dzisiejsze były mocniejsze czy słabsze od tych wczorajszych? - dopytuje.

- Porównywalne - oceniam. - Tak, powiedziałabym, że były takie same.

- Ale omdlenia nie było? - docięka. - Nie straciła pani przypadkiem przytomności?

- Nie.

- Choćby na chwilę?

Zastanawiam się trochę dłużej nad odpowiedzią.

- Nie - stwierdzam w końcu.

- Na pewno? - dopytuje, najwyraźniej wyłapując moje wcześniejsze zawahanie.

- Na pewno - przytakuję. - Strasznie kręciło mi się w głowie, ale pozostałam świadoma.

- Dobrze... - Doktor robi zapiski na tablecie. - A nadal męczą panią te zawroty głowy czy ustąpiły? Wspomniała pani, że pojawiły się rano... - Zerka na nadgarstek, gdzie nosi ładny, chyba markowy zegarek. - Jest już po trzynastej, czy pojawiły się na przykład w drodze do przychodni?

- Nie. - Kręcę głową. - Tylko rano, właściwie po przebudzeniu. Potem już się nie pojawiły. Byłam nawet na zakupach w markecie i nic się nie działo.

Niemczyk znów coś zapisuje.

- Zawroty głowy bezpośrednio po przyjęciu leku - odzywa się - mam tutaj na myśli dwadzieścia cztery godziny po aplikacji, są zupełnie normalnym zjawiskiem. Występują bardzo często, u blisko siedemdziesięciu procent pacjentów. Musimy też pamiętać, że to pierwsza dawka, pani organizm nie miał nigdy wcześniej styczności z tym lekiem, więc musi niejako się do niego przyzwyczaić - tłumaczy. - Tak samo wygląda to przy stosowaniu standardowych leków psychotropowych, przy pierwszych dawkach mogą wystąpić pewne skutki

niepożądane. Po czasie organizm zaczyna tolerować nową substancję.

- A może zdarzyć się tak, że nie zaczniesz ich tolerować? - pytam.

- Mamy tutaj do czynienia z substancjami działającymi na ośrodkowy układ nerwowy, więc kolokwialnie mówiąc, lekami bardzo silnymi. Może zdarzyć się tak, że dany medykament okaże się nieodpowiedni dla danego pacjenta, ale o tym możemy się przekonać, jedynie podając go pacjentowi. Aby to ocenić, potrzeba trochę czasu, na pewno pierwsza aplikacja i tym samym pierwsza reakcja organizmu nie jest miarodajna.

- Rozumiem - bąkam krótko.

- Proszę obserwować, czy zawroty głowy pojawią się jeszcze dziś albo jutro.

- Dobrze.

Niemczyk zadaje mi cały szereg pytań o mój stan fizyczny. Interesuje go, czy nie wystąpiły problemy z motoryką albo koncentracją, czy nie przytrafiło mi się kołatanie serca albo drżenie czy to rąk, czy też uogólnione całego ciała. Dopytuje o masę różnych rzeczy.

- Dużo tych pytań - stwierdzam.

- Deprotiksol to w pełni przebadany lek długodziałający - mówi w odpowiedzi. - Przeszedł całościowe testy kliniczne i został dopuszczony do użytku przez odpowiednie instytucje. Nie ma jednak tak bogatej historii stosowania jak na przykład leki długodziałające wykorzystywane w leczeniu pacjentów ze schizofrenią. Stąd potrzeba ciągłej obserwacji pacjentów i zbierania danych.

- Aha.

- Nie ma się czym martwić, Deprotiksol jest bezpieczny.

Kiwam głową, nie bardzo mając inne wyjście, jak zaufać lekarzowi. Zwłaszcza teraz, kiedy jestem już po aplikacji leku.

- A emocjonalnie jak się pani czuje? - chce jeszcze wiedzieć lekarz. - Oczywiście pytam w kontekście samej aplikacji, bo na efekt terapeutyczny, jak to w przypadku leków psychotropowych, trzeba chwilę poczekać.

- Właściwie dobrze.

Doktor przygląda mi się uważnie.

- Denerwowałam się trochę - przyznaję. - Wczoraj. Ale dziś... jest właściwie dobrze.

- Super. - Niemczyk znów stuka w tablet. - Czy jest jeszcze coś, co panią zaniepokoiło? - Podnosi na mnie wzrok.

- Nie. Chyba nie. Tylko te zawroty głowy... trochę mnie wystraszyły.

- Naprawdę nie ma powodu do niepokoju - zapewnia ponownie. - Wielu pacjentów je zgłasza, właściwie są najczęściej występującym skutkiem ubocznym. Tak jak mówiłem, zwykle pojawiają się w pierwszej dobie po aplikacji, ale mogą utrzymywać się nawet do pięciu dni.

- Długo - orzekam.

- Proszę pamiętać, aby zgłaszać mi wszystko, co panią zaniepokoi. - Doktor odkłada tablet na biurko i... obdarza mnie uśmiechem. Wreszcie. Nie zrobił tego, odkąd przywitał się ze mną, kiedy weszłam do jego gabinetu.

- Dobrze - potakuję, wpatrując się w ten urzekający grymas jego ust. - Na pewno wszystko zgłoszę.

- Jest jeszcze może coś, o czym chciałaby pani ze mną porozmawiać? - dopytuje.

Potrząsam niezauważalnie głową, bo znów sobie na to pozwoliłam. Utonęłam w niewłaściwych myślach. Cóż mogę powiedzieć, Niemczyk z wizyty na wizytę wydaje mi się... atrakcyjniejszy. Spuszczam wzrok i mówię:

- Nie, właściwie nie.

- Doskonale! W takim razie widzimy się za cztery tygodnie. Chyba że coś niepokojącego zaczęłoby się dziać, to proszę to zgłosić - przypomina mi raz jeszcze.

Kiwam głową potakująco, a później unoszę spojrzenie i dziękuję lekarzowi za poświęcony czas. Żałuję, że mimo wszystko ta wizyta dobiegła już końca, mogłabym dyskutować z Niemczykiem godzinami, choćby o typowo medycznych sprawach. Mam wrażenie, że jego obecność sama w sobie jest dla mnie terapią.

Wychodzę z przychodni w przedziwnym stanie ducha. Z jednej strony cieszę się, że przez najbliższe tygodnie nie muszę myśleć o regularnym przyjmowaniu leków, bo odpowiednia substancja już krąży w moim organizmie i będzie stopniowo się uwalniać, aby dbać o moją dobrą kondycję psychiczną. To bardzo komfortowe, a według lekarzy pewne działanie. Jednak z drugiej strony wciąż nachodzą mnie obawy, czy rzeczywiście tak jest. Technologia jest nowa... Dobrze przebadana, o czym przekonywał mnie Niemczyk, zanim zdecydowałam się z niej skorzystać, a także dziś, już po aplikacji pierwszej dawki, więc nie powinnam mieć tego typu wątpliwości. Jest też w coraz powszechniejszym użyciu. A ja naprawdę nie potrafię funkcjonować bez psychotropów. Nie poradzę sobie bez nich. Wiem o tym doskonale i zwyczajnie przeraża mnie myśl, że mój mózg nie dostałby potrzebnej dawki leku.

Osiedlowy supermarket majaczy w oddali, jego widok brutalnie mi przypomina, że nadal nie udało mi się znaleźć nowej pracy. Na samą myśl o kierownicze sklepu krew mnie zalewa. To przez nią wszystko się posypało. To ona zrujnowała to, na co tak długo pracowałam. Wewnętrzny spokój i poczucie stabilności, których zawsze mi brakowało. Czy ta wywłoka w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co mi zabrała? Czy choćby

podejrzewa, jak trudno było mi stanąć na nogi i dostosować się do życia w społeczeństwie?

- Sabina Gancarek?

Zatrzymuję się na dźwięk swojego imienia. Drogę zachodzi mi dwóch obcych facetów.

- Policja - odzywa się jeden z nich. - Zechce pani pójść z nami.

3.

Denerwuję się. Cholernie się denerwuję. Nie lubię policji, nie mam z tą instytucją zbyt wielu dobrych doświadczeń. Raczej przypomina mi o najczarniejszych chwilach z mojego dawnego życia.

Posłusznie jednak poszłam z funkcjonariuszami. Pewnie wcale nie musiałam tego robić, bo zaczęli mnie na chodniku i słowem nie wspomnieli o aresztowaniu, ale w obecności stróżów prawa tracę wszelki rezon. W drodze na komendę wyjaśnili mi, że chodzi jedynie o rozmowę, ale nie zdradzili, czego miałyby ona dotyczyć. A ja wciąż się tego nie domyślam. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to moja przeszłość. Może dowiedzieli się, kim jestem i... I co? Przecież tamta sprawa to już historia, odsiedziałam swoje. Mam czyste konto.

Pomieszczenie, w którym się znajduję, jest niewielkie i przygnębiająco ponure. Panuje w nim nieprzyjemny zaduch, najwyraźniej rzadko kiedy otwiera się to małe, zakratowane okno, przez które wpada niewystarczająca ilość światła. Zupełnie jakby chciano, aby wszelkie odkrywane w tym pokoju sekrety pozostały w jego czterech ścianach. Jakby były zbyt mroczne, aby pozwolić im się wydostać poza mury tego budynku.

Wreszcie do pokoju wchodzi dwóch policjantów. Na ich widok jeszcze bardziej ściska mnie w dołku. Czego oni chcą? I jak w ogóle do mnie dotarli?

Mężczyzna, który siada naprzeciwko, to jeden z tych, którzy doprowadzili mnie na komendę. Komisarz Witold Miłek jest drobnej budowy ciała, ma jasne włosy, w takim odcieniu, jakby kiedyś były rude. I za nic w świecie nie wygląda mi na przedstawiciela organów ścigania. Tak bardzo odbiega od

wizerunku policjanta kryminalnego wyrytego w mojej pamięci, że mam ochotę poprosić go o ponowne pokazanie odznaki. Wydaje się fajtłapowaty i niezdolny do skrzywdzenia choćby muchy. Zgaduję, że dobrych kilka lat temu przekroczył czterdziestkę, może nawet bliżej mu do pięćdziesiątki.

Drugi z policjantów już znacznie bardziej pasuje mi do formacji, w której służy. Jest wysoki i choć daleko mu do atlety, to sprawia wrażenie krzepkiego, a wyraz jego twarzy budzi pewien respekt.

Jednak to Miedzianowłosa - wciąż nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że kiedyś komisarz był rudy - rozpoczyna rozmowę, a jego lepiej zbudowany kolega przejmuje rolę protokolanta.

- Nazywa się pani Sabina Gancarek... - Spogląda na mnie znacząco.

Potwierdzam krótkim „tak”, po czym potakuję jeszcze kilkukrotnie, kiedy funkcjonariusz sprawdza resztę moich danych osobowych. Gdy mamy za sobą część czysto formalną, policjant splata dłonie i kładzie je na blacie biurka. Przez chwilę tylko mi się przygląda. Nie wiem, czemu ma to służyć, ale cisza jest więcej niż krępująca. Czuję się, jakby mnie oskarżano, gorzej, jakby już wydano na mnie wyrok. A ja nawet nie mam pojęcia, w jakiej sprawie. Podobnie czułam te dwadzieścia lat temu, kiedy przypisano mi zbrodnię, która nie mieściła mi się w głowie.

Ledwo wytrzymuję tę nerwówkę. Kiedy policjant wreszcie się odzywa, jestem błada ze strachu.

- Czym się pani obecnie zajmuje?

Z pozoru niewinne pytanie sprawia, że oblewa mnie zimny pot. Czy nie tak to wygląda, kiedy mają na ciebie coś grubego? Zaczynają od nieistotnych drobnostek, aby pozwolić ci poczuć się swobodniej. Wtedy też zadawali mi dziesiątki mało znaczących pytań. Aż w końcu zaatakowali wiadomością, która w jedynym krótkim momencie zwała mnie z nóg.

- Sz-szukam p-pracy - odpowiadam, jākając się, jakbym dopiero uczyła się posługiwać językiem polskim.

- Od kilku miesięcy, zgadza się? - dopytuje policjant, a mnie robi się jeszcze zimniej. Brak konkretnego wykształcenia czy choćby specjalistycznych kwalifikacji zawodowych znacznie zawężyło moje możliwości, to nic odkrywczego. Jednak prawdziwym problemem są moje zdolności adaptacyjne. A właściwie ich brak.

Nowe środowisko zawsze działa na mnie w ten sam destabilizujący sposób, wręcz paraliżuje. Funkcjonowanie w grupie nieznanymi mi osobom jest dla mnie zwyczajnie trudne. Codzienne sytuacje stają się wyzwaniem, przyprawiają o drżenie rąk i kołatanie serca. Ręce pocą mi się tak, że czasem nie jestem w stanie utrzymać w nich przedmiotu, choćby własnej komórki. Z perspektywy kogoś, kto nigdy nie doświadczył tego typu trudności, brzmi to niedorzecznie, może nawet śmiesznie, ale moja blokada jest istnym koszmarem. A brak społecznego zrozumienia tylko umacnia te trudności, z czasem czyniąc je niemożliwymi do pokonania.

Lubiłam tę pracę, naprawdę lubiłam! Zespół w osiedlowym supermarkecie od lat się nie zmieniał. Zdążyłam całkiem dobrze poznać wszystkich pracowników. Z czasem nawet klienci przestali być obcy, bo większość z nich mieszkała w okolicy. Widok tych samych twarzy pozwalał na zachowanie względnego spokoju. Tworzyliśmy swego rodzaju symbiozę, w której nauczyłam się poruszać niemal normalnie. A i zarobki były niczego sobie, zwłaszcza gdy wzięłam kilka nadgodzin w tygodniu, pozwalały mi na skromne, ale jednak samodzielne utrzymanie.

Zmiana kierowniczką sklepu przekreśliła wszystko, co udało mi się osiągnąć. Krótko po objęciu stanowiska przez Jowitę wyleciałam na zbity pysk. Żyję z zasiłku dla bezrobotnych i nie

jestem z tego dumna. Ale tak trudno znaleźć miejsce, w którym sobie poradzę. Tak trudno mi choćby spróbować.

- Jak pani idzie? - pyta funkcjonariusz.

Przyglądam mu się i nic nie mówię.

- Szukanie pracy - doprecyzowuje, jakbym była jakaś ograniczona. - Jak pani idzie szukanie pracy?

- C-ciągle n-niczego nie z-znalazłam - dukam.

- Taka jest pani wybredna?

Łatwo jest oceniać, gdy patrzy się na czyjeś życie z boku, myślę. Budzą się we mnie skrajnie negatywne uczucia wobec komisarza. Ten człowiek nie ma pojęcia, z czym dzień w dzień przychodzi mi się mierzyć i ile kosztuje mnie egzystencja w tym zdominowanym przez ekstrawertyków świecie, a mimo to z góry wyrobił sobie o mnie zdanie.

- Nie znalazłam oferty, która by mnie zainteresowała - mówię, siląc się na nonszalancję. Nic z tego. Brzmię żałośnie, nawet dla samej siebie.

- Rozumiem, że skupiła się pani na poszukiwaniach w innym sektorze niż handel? - Komisarz unosi wysoko brwi, a wzniosłe określenie etatu ekspedientki w jego ustach brzmi jak kpina.

Odpowiadam jedynie wątlym skinieniem głowy. Dłonie zaczynają mi się coraz bardziej pocić, nadal nie mam pojęcia, do czego ta rozmowa ma prowadzić.

- Z czego się pani teraz utrzymuje? - pada kolejne pytanie, którego sensu też nie rozumiem.

- Pobieram zasiłek dla bezrobotnych - oznajmiam, zła, że policjant mi o tym przypomina. Wcale nie musi, i bez tego czuję obrzydzenie do samej siebie.

- A co z poprzednią pracą? - Policjant zmienia kierunek swoich pytań.

- Odeszłam - odpowiadam, zanim przeanalizuję, czy warto kłamać.

- Niestety nie - momentalnie ripostuje funkcjonariusz. - Została pani zwolniona.

Uciekam wzrokiem w bok.

- Redukcja etatów, padło na panią - doprecyzowuje Miłek.

- Gówno prawda! - unoszę się natychmiast, zresztą jak zawsze, kiedy zostaję zmuszona przypomnieć sobie Jowitę. - Tak mi powiedziano, owszem, ale prawda jest taka, że kierowniczką mnie nie lubiła - tłumaczę. - Czepiała się wszystkich, i to od pierwszego dnia. Pojawiała się w sklepie i nagle wszystko było nie tak, ciągle coś jej nie pasowało. A na mnie wyjątkowo się uwzięła... - Urywam, bo z rozgorączkowania zaczęło brakować mi tchu.

- Widzę, że bardzo panią zabolęła strata pracy. - Miłek od razu wykorzystuje ten krótki moment ciszy.

Nie wiem, co powiedzieć. To oczywiste.

- Pani Sabino... - Policjant pochyła się bardziej w moją stronę. Przygląda mi się przy tym jeszcze uważniej niż do tej pory. Wyraz jego twarzy jest do bólu poważny i skupiony. Cokolwiek chodzi temu człowiekowi po głowie, nie wróży niczego dobrego dla mnie. - Wyobrażam sobie, że musiała być pani wściekła na swoją zwierzchniczkę... W sumie nie ma się co dziwić, bo czasy trudne, pracy mało, a zarobki nieciekawe. Jak bardzo zezłościła się pani na Jowitę Niedbalec?

Spoglądam na policjanta niepewnie, nadal nie mam pojęcia, co powinnam powiedzieć.

- Proszę przyznać, jak bardzo była pani zła na Jowitę Niedbalec - prosi policjant tak jowialnym tonem, że ta życzliwość nie może być szczerą. Żołądek wywraca mi się na drugą stronę. - Pani Sabino? - Pochyla się jeszcze bardziej ku mnie.

- A-ale... - dukam, coraz mniej rozumiejąc - co to ma w ogóle do rzeczy? D-dlaczego... - znów zaczynam się niekontrolowanie jękać - d-dlaczego ja w ogóle tutaj j-jestem?

Komisarz Miłek przygląda mi się w milczeniu. Taksuje mnie tak przenikliwym spojrzeniem, że znów skręca mnie w żołądku. Mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję, do tego zaczyna mi się kręcić w głowie. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam to, co serwuje mi ten facet.

- Dlatego, że... - podejmuje wreszcie policjant - Jowita Niedbalec nie żyje.

4.

Tracę kontakt z rzeczywistością. Myśli gdzieś ulatują, zupełnie jakby nagle przestały istnieć. W mojej głowie zapada cisza, głucha, wręcz nienaturalna, nie przebijają się przez nią żadne bodźce z otoczenia. Ogarnia mnie pustka, czuję się jak zawieszona w próżni, w której majaczy tylko jedno wspomnienie.

Słyszę ciężki warkot silnika, po chwili mija mnie ciężarówka. Podjeżdża na tyły sklepu, parkuje. Najpewniej to zaopatrzenie. Przyspieszam kroku, bo to oznacza, że zaraz ktoś z obsługi marketu pojawi się na zewnątrz.

- Hej, Sabina! - Zwalniam jednak, kiedy słyszę swoje imię. Zerkam w stronę sklepu i widzę machającego do mnie Patryka.

- Hej! - Odmachuję mu, po czym budzi się we mnie impuls, aby przejść na drugą stronę ulicy i chwilę porozmawiać z chłopakiem. Jest sympatyczny i zawsze dobrze mi się z nim współpracowało. Wypaliliśmy razem całe wagony fajek.

Nim decyduję się, żeby podejść do dawnego kolegi, na deptaku pojawia się kierowniczką. Patryk natychmiast traci mną zainteresowanie i bierze się do roboty.

Ściągam gniewnie usta, bo wygląda na to, że Jowita nie przestała się panoszyć. Spoglądam na jej sylwetkę, czując, jak odżywa we mnie wściekłość. Wtedy kobieta się odwraca i nasze spojrzenia się spotykają. Bezwiednie zaciskam dłonie w pięści, zalewają mnie fale nienawiści tak wielkiej, że aż zaczynam się trząść. Jowita szczyrzy zęby w szelmowskim uśmiechu, a mnie dosłownie rozsadza gniew. Mam ochotę...

Wiem jednak, że awantura w niczym mi nie pomoże. Z trudem się zmuszam, aby odejść. Pierwsza urywam kontakt

wzrokowy, a potem pospiesznie się oddalam. Wydaje mi się, że słyszę za sobą szyderczy śmiech Jowity. Kłuje mnie w uszy, jest jak kolejny okrutny cios od życia.

- No dobrze... - dolatuje mnie głos zupełnie nieprzypominający głosu Jowity. - Przejdźmy do konkretów.

Unoszę spojrzenie, jestem w niewielkim, ciemnym pomieszczeniu. Dociera do mnie, że to pokój przesłuchań. Przenoszę wzrok na mężczyznę, który siedzi na wprost mnie. Też już wiem, kim jest - komisarz Miłek, który zgarnął mnie sprzed bloku. Policjant.

Z mojej głowy znika cisza, zaczyna huczeć w niej jak w ulu. Nie jestem złym człowiekiem. Byłam tylko pogubionym dzieckiem, które zaznało zbyt wielu krzywd. Nie chciałam tego zrobić, to się po prostu stało.

Nie zabiłam nikogo więcej. Wiem o tym. Może i jestem psychicznie rozchwiana, oczywiście, że jestem! W końcu od lat się leczę, ale żaden ze mnie zwyrodnialec! Zabiłam tylko raz. Jestem tego pewna.

A mimo to kiedy patrzę na ściany pomieszczenia, w którym się znajduję, wzbiera we mnie autentyczna panika.

- Została pani zwolniona z pracy decyzją Jowity Niedbalec - mówi komisarz, a ja zaczynam drżeć na całym ciele. - Nie przyjęła pani tego ze spokojem, prawda?

Przełykam ślinę przez ściśnięte rozgoryczeniem gardło. Wspomnienie tamtego dnia, kiedy straciłam pracę, wciąż jest żywe. I nadal bolesne. Zawalił mi się wtedy świat, nic więc dziwnego, że zabrakło mi rezerwy i zwyczajnie dałam się ponieść.

- Trochę się zdenerwowałam - przyznaję. W końcu cały sklep słyszał, jak zwyzywałam Jowitę od najgorszych i najwyraźniej, skoro tutaj siedzę, wszyscy ciągle dobrze to pamiętają.

Przebiega mi również przez myśl, że tak właśnie dotarła do mnie policja. Moi dawni współpracownicy musieli powiedzieć Miłkowi o mnie i o tym, gdzie mieszkam. Znow przypomina mi się Patryk, którego przypadkiem spotkałam wczoraj w drodze do przychodni. Pewnie powiedział komisarzowi, że mnie widział. Wtedy Jowita jeszcze żyła.

- Powiedziałbym, że nawet bardzo się pani zdenerwowała, skoro... - odzywa się policjant, przerywając moje wewnętrzne rozterki - ...posunęła się pani do gróźb.

- Powiedziałam tylko, żeby ją szlag trafił - wyjaśniam. - Często tak mówimy w złości. To dość niewinne...

- W zaistniałych okolicznościach już niekoniecznie, pani Sabino. - Policjant natychmiast odbija piłeczkę.

Mam ochotę zacząć się zarzekać, że nic nie zrobiłam Jowicie, ale im dłużej komisarz się we mnie wpatruje, tym szybciej przeświadczenie o własnej niewinności... błędnie.

- Gdzie pani była wczoraj po południu? - pyta komisarz, kiedy nic więcej nie mówię. - A właściwie już wieczorem, powiedzmy koło godziny osiemnastej?

Było mi cały czas zimno, teraz zalewa mnie dokuczliwy gorąc.

- W d-domu - dukam.

- W jakich konkretnie godzinach była pani w domu? - dopytuje funkcjonariusz.

- Wróciłam po południu. Koło czternastej.

- A później? Wychodziła pani z mieszkania?

Usiłuję przypomnieć sobie wczorajsze popołudnie, ale okazuje się to trudniejsze, niż mogłabym się spodziewać. Męczyły mnie zawroty głowy, na pewno ucięłam sobie drzemkę. Próbowалам czytać, ale nie byłam w stanie, czułam się zbyt zmęczona. Przygotowałam sobie kolację, kanapki z żółtym

serem i kiszonym ogórkiem. Położyłam się do łóżka wcześniej niż zwykle.

- Pani Sabino? - niecierpliwi się policjant.

Unoszę spojrzenie na komisarza, świdruje mnie przenikliwym wzrokiem. Zaczynam się mocniej pocić, dłonie mam już całkiem mokre. Wycieram je dyskretnie w nogawkę spodni, mając nadzieję, że policjant tego nie zauważy.

Analizuję listę ewentualnych skutków ubocznych, które mogą pojawić się po aplikacji deprotiksolu. Suchość w ustach, nadwrażliwość skóry, zawroty głowy, zaburzenia rytmu serca i... osłabienie pamięci. Tak, w karcie informacyjnej były wypisane potencjalne problemy z pamięcią.

- Nie, nigdzie nie wychodziłam - oświadczam.

- Czyli twierdzi pani, że spędziła cały wczorajszy wieczór w domu? - Miłek nie przestaje lustrować mnie czujnym spojrzeniem, teraz przeszywa mnie nim na wskroś, aż przechodzą mnie dreszcze. - Może to ktoś potwierdzić?

- Co takiego? - dopytuję w roztargnieniu, wciąż błędząc myślami wokół Deprotiksolu.

- Że wróciła pani do domu koło godziny czternastej, a później już pani nie wychodziła z mieszkania.

- Nie wiem - wzdycham, coraz bardziej udręczona toczącą się rozmową.

- Nie wie pani? - Policjant nie daje za wygraną.

Tym razem nie reaguję, bo przychodzi mi na myśl, że powinnam natychmiast skontaktować się z Niemczykiem. Możliwe, że właśnie odkryłam bardzo poważną dolegliwość, której wcześniej nie zauważyłam.

- Pani Sabino? - Funkcjonariusz domaga się mojej reakcji. - Czy jest ktoś, kto może potwierdzić, że od godziny czternastej cały czas była pani w domu?

Niemczyk, muszę się zobaczyć z Niemczykiem!

- Jest ktoś taki? - Miłek nadal mnie dociska. - Z kim pani mieszka? Sama?

- Nie.

- Więc z kim?

- Wynajmuję pokój w trzypokojowym mieszkaniu. - Zmuszam się, aby pozostać myślami przy tym, co tu i teraz.

- Kto mieszka w pozostałych dwóch pokojach?

- Konrad i Norbert.

Policjant spogląda na mnie wyczekująco, więcej, wymuszająco. Nie mam innego wyjścia jak pobieżnie opowiedzieć mu, jak wygląda kwestia mojego mieszkania. Może powinnam się zastanowić, czy dobrze robię, bo przecież Konrad na pewno nie zgłasza pieniędzy otrzymywanych ode mnie i Norberta do urzędu skarbowego, ale w tej chwili ważniejsza jest dla mnie myśl, że muszę porozmawiać z Grzegorzem.

- Może ci pani współlokatorzy słyszeli, jak pani wróciła do domu? - Komisarz nadal nie odpuszcza.

- Nie wiem. Może słyszeli, ale równie dobrze nie musieli w ogóle zauważyć, że jestem w mieszkaniu. Nie wiem - kwituję.
- Większość czasu spędziłam w swoim pokoju.

- No dobrze, a gdzie była pani wcześniej? Przed południem?

Przenoszę wzrok na policjanta. Nie chcę mówić o terapii. Jeśli się dowie, że na stałe przyjmuję psychotropy, na pewno weźmie mnie na celownik. Rozglądam się po surowym pokoju, w którym trzymają mnie już sama nie wiem, jak długo. Do diabła, ja już jestem na celowniku! Gdy komisarz się dowie, że nie potrafię funkcjonować bez prochów, będzie tylko gorzej. Tak samo, jeśli się dowie, co kiedyś zrobiłam. Zabiłam tylko raz, ale jednak zabiłam.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

5.

Sabina potrząsa głową, jakby chciała w ten sposób coś z niej wyrzucić. Na przemian zaciska i rozprostowuje przy tym dłonie. Rozgląda się po wnętrzu, jakby musiała się upewnić, gdzie się znajduje. Wzrok ma dziwnie nieobecny, a otoczone piwnymi tęczówkami źrenice rozszerzone. Denerwuje się. I to bardzo.

- Gdzie pani była? - pytam jeszcze raz.

Udaje jej się wreszcie skupić na mnie wzrok.

- Na zakupach - odzywa się.

- I gdzie jeszcze? - dopytuję, niemal pewien, że kłamie.

Sabina posyła mi złężnione spojrzenie. Teraz wiem, że nie tylko się denerwuje, ale także boi.

- Gdzie pani była? - dociskam.

- Cały dzień byłam na zakupach - upiera się.

- Jak na osobę bezrobotną to dość osobliwa forma spędzania czasu - rzucam drwiącym tonem, chcąc w ten sposób ostatecznie przyprzeć ją do muru.

Nie odpowiada. Znów naprzemiennie splata i rozluźnia dłonie. Są drobne, podobnie jak cała jej sylwetka. Zauważam również, że pokryły się warstwą potu. I że jeden z palców ma oklejony plastrem. Rana nie może być duża, ale mimo wszystko zastanawiam się, skąd się wzięła.

- No dobrze, przyjmijmy, że faktycznie spędziła pani dzień, chodząc po sklepach, czasem trzeba się po prostu wybrać na zakupy. Interesuje nas przede wszystkim późne popołudnie -

nie mam innego wyjścia jak dalej brnąć w tę stronę - może nawet sam wieczór. Czyli była pani w domu, zgadza się?

Sabina przytakuje jedynie skinieniem głowy. Kilka kosmyków beładnie opada jej wtedy na oczy. Dziewczyna ma ładny kolor włosów, kobiety pewnie znalazłyby na określenie ich barwy precyzyjną nazwę, dla mnie są one po prostu brązowe. Są dość długie, sięgają jej chyba aż po łopatki.

- Sprawdzam, czy się pani nie rozmyśliła. - Posyłam przesłuchiwaną uśmiech, który nie spełnia swojego zadania. Sabina, zamiast się odezwać, garbi ramiona, jakby chciała się stać niewidzialna. - Może chce pani jednak zmienić zeznania? - atakuję dalej. - Albo coś dodać, jakoś uzupełnić to, co pani powiedziała?

Znów jedynie kręci głową.

- Teraz jest najlepszy moment, aby to zrobić - próbuję jeszcze raz.

Nie przywiązywałbym większej wagi do postaci Sabiny, do jej zatargów z przełożoną i grózb, których się dopuściła, ale zeznania jednego z pracowników sklepu, jakoby widział dziewczynę kręcącą się na tyłach dyskontu w dniu morderstwa kierowniczkii, nakazują mi dmuchać na zimne. Owszem, Patryk - tak chyba miał na imię chłopak, który mi o tym powiedział - zauważył Gancarek przed południem, a jego przełożona została zaatakowana wieczorem, najprawdopodobniej tuż po zamknięciu sklepu, ale to niczego nie przesądza. Dziewczyna mogła pojawić się pod marketem ponownie w dowolnym momencie, zwłaszcza że mieszka w pobliżu.

- Czyli nie ma pani nic do dodania? - Wciąż usiłuję pociągnąć Gancarek za język.

- Ja nie mam nic wspólnego ze śmiercią Jowity. - Sabina w końcu zabiera głos. - Trudno mi się odnaleźć w nowych miejscach, jestem trochę, jak to się teraz mówi, aspołeczna. W tym sklepie czułam się dobrze, długo tam pracowałam, kilka

lat. A Jowita mnie wyrzuciła... Wkurzyłam się na nią, bo postąpiła... po prostu podle. Nie miała podstaw, by mnie zwolnić. Ale... nie zabiłam jej. Nie jestem... morderczynią.

Rozmasowuję podbródek, który od poranka zdążył pokryć się drapiącą szczecina, i przyglądam się dziewczynie. Próbuje ją rozgryźć, choć trochę przejrzeć, ale mi nie wychodzi. Zauważam jej obgryzione paznokcie i czuję się jeszcze bardziej skołowany. Zerkam raz jeszcze na plaster na jednym z jej palców i ponownie się zastanawiam, czy ta niewielka rana mogła powstać w czasie napadu na Jowitę Niedbalec.

- Mogę już stąd wyjść? - pyta Sabina bardzo cicho, właściwie szeptem. - Naprawdę źle się tutaj czuję.

- Jeszcze moment. Zaraz ktoś przyjdzie pobrać od pani odciski palców i wymaz z policzka, a potem będzie mogła pani wrócić do domu.

6.

Zbrodnia w afekcie. Jowita Niedbalec musiała kogoś porządnie wkurzyć, a przynajmniej na pierwszy rzut oka tak to wygląda. Została znaleziona na zapleczu sklepu, w którym była kierowniczką. Najprawdopodobniej agresor w napadzie złości chwycił Jowitę za włosy i uderzał jej głową o szafkę, aż popękały kości. Niczego nie skradziono ani z asortymentu sklepu, ani z przedmiotów należących do ofiary. Napastnik nie zgwałcił kobiety, nie posunął się do profanacji zwłok. Nawet nie próbował ich ukryć. Przestał interesować się ciałem, kiedy Niedbalec wydała z siebie ostatnie tchnienie.

Zastanawiam się, ile potrzeba siły, aby zrobić coś takiego – pogruchotać komuś czaszkę. Pewnie sporo. Zwłaszcza że zamordowana była zdrową, w pełni sprawną fizycznie kobietą.

Ogólny zarys sprawy każe podejrzewać mężczyznę. Męża? Kochanka?

- Jest coś nowego? - Koło mojego biurka pojawia się aspirantka Magda Mikulska, doświadczona funkcjonariuszka, twarda, skrupulatna i rzetelna policjantka.

Rozkładałam bezradnie ręce. Pobraliśmy próbki od Sabiny Gancarek, aby mieć materiał porównawczy, ale na nic się on nie przyda, jeśli na miejscu zbrodni nie udało się zabezpieczyć śladów pozostawionych przez sprawcę. Poza tym na wyniki badań laboratoryjnych długo się czeka, czasem nawet całe tygodnie.

- No to na razie niewiele mamy - stwierdza, zakładając ręce na piersi. Przygląda mi się przy tym hardo, przenikliwie.

Jak zwykle tonę w jej spojrzeniu. Jest w nim coś, co sprawia, że facet zaczyna drżeć od środka. Charyzma połączona

z kobietą siłą, a do tego iskra dzikości, która zmusza do podjęcia ryzyka. Nigdy się na to nie odważyłem, jest mężatką i szanuję to. Czasem tylko żałuję, że układa jej się w związku. Życzę jej przy tym jak najlepiej.

- Na to wygląda - odpowiadam. - Nie mamy nawet za wielkiego pola do manewru. Wyłączenie z użytku zaplecza sklepu jest w tej chwili właściwie jedynym, co możemy zrobić.

- A facet ofiary? - rzuca Magda.

- Jakby czysty.

- Ale nie wypada z kręgu podejrzanych.

- Nie. Mąż zawsze jest podejrzany - mówię, choć w obecności Magdy nie muszę wygłaszać takich banałów. - Pewnie jeszcze z nim pogadam.

- A może ja to zrobię? - proponuje koleżanka.

Spoglądam na nią pytająco.

- Świeże spojrzenie.

- Właściwie nie zaszkodzi, jeśli ktoś jeszcze przyjrzy się sprawie - oceniam. - Tym bardziej że, tak jak mówiłem, na chwilę obecną nie za wiele możemy zrobić.

- Spoko, daj mi na niego namiary i działam.

Sięgam po telefon, wchodzę w notatnik, gdzie zapisuję najważniejsze informacje, te, które chcę mieć zawsze przy sobie. Kiedyś korzystałem z tradycyjnego, papierowego, ale często o nim zapomniałem, zostawał na biurku, a bywał mi potrzebny w terenie. Nauczyłem się korzystać z dobrodziejstw elektroniki i było to świetne posunięcie - co jak co, ale z komórką nigdy się nie rozstaję.

- A może chcesz, żebym pogadała także z pracownikami sklepu? - dopytuje Magda, kiedy dane wdowca po Jowicie Niedbalec są już w jej posiadaniu.

Zastanawiam się nad kolejną propozycją koleżanki. Nie wydaje mi się, aby któryś z ekspedientów mógł powiedzieć coś

nowego, nie ma sensu dokładać Magdzie roboty.

- Dam ci znać, gdyby zaszła taka potrzeba - mówię.

- Dobra. - Aspirantka rozluźnia skrzyżowane do tej pory ręce. - Oby tylko nie była to sprawa z tych najmniej przyjemnych.

Mikulska odchodzi, a ja głośno wypuszczam powietrze z płuc. Oby, myślę. Oby faktycznie sprawa Jowity Niedbalec nie okazała się jedną z tych nierozwikłanych.

SABINA

7.

Opuszczam budynek policji i natychmiast zaczynam szperać w torebce. Szukam fajek. Przetrzęsam jej zawartość coraz bardziej nerwowo – nie mogę ich znaleźć! Jestem pewna, że tam są, więc się nie poddaję i przeszukuję torebkę z jeszcze większą zaciętością. Przecież pamiętam, że je tam wkładałam! Niemożliwe, aby ich nie było! Wkurzam się bardziej, miota mną tak wielka chęć zapalenia, że aż się cała trzęsę. Wątpię, aby bez papierosów udało mi się jako tako wziąć w garść.

Pamiętam, że je tam wkładałam, pamiętam! – gorączkuję się w duchu. Nagle cała sztywnieję, w ułamku sekundy zastygam niczym posąg. Zgadza się, pamiętam, że wrzuciłam papierosy do torebki, ale może nie pamiętam, jak... je z niej wyjęłam.

Nie, to niemożliwe! Wracam do przetrzęsania torebki. Nie jestem wariatką, wiem, co się dookoła mnie dzieje. Spokojnie, zaraz je znajdę, z pewnością tutaj są, powtarzam sobie. Dłonie trzęsą mi się tak bardzo, że upuszczam torebkę. Schylam się po nią i nie przestaję szukać. Na pewno w tej chwili wyglądam jak ta wariatka, którą przecież nie jestem, ale mam to gdzieś. Potrzebuję tych fajek!

W końcu – mam! Zaciskam dłoń na paczce i od razu trochę się rozluźniam. Wcale nie jest tak, że straciłam kontrolę. Fajki są w torebce, a ja dobrze pamiętałam, że je tam włożyłam.

Wyłuskuję jednego papierosa, ale zamiast wsunąć go do ust, obracam go uparcie w palcach, jakby znajdująca się w nim nikotyna miała przedostać się do mojego organizmu przez skórę. Ten marny substytut palenia musi mi wystarczyć, nie

chcę wracać do nałogu. Wystarczy, że biorę prochy. To forma pracy nad samą sobą. Poza tym w mojej obecnej sytuacji zwyczajnie nie stać mnie na fajki, są pioruńsko drogie, a zasiłek dla bezrobotnych śmiesznie mały.

Na szczęście samo miętoszenie fajki działa, pozwala mi zebrać myśli. A te krążą oczywiście wokół problemu z pamięcią. Długo nie potrafiłam sobie przypomnieć, że zabiłam matkę. Dopiero profesjonalna, kilkumiesięczna psychoterapia pozwoliła mi dopuścić do siebie rzeczywistość. Wyłonić z odmętów pamięci tamto zdarzenie albo je na nowo skonstruować, w każdym razie stałam się go świadoma.

Ale teraz zupełnie nie o to chodzi, powtarzam sobie, wsuwając papierosa do ust, bo ugniatanie go palcami przestało wystarczać. Niemożliwe, abym znów pozbawiła kogoś życia i o tym zapomniała. Jestem po leczeniu, coś takiego nie może mi się ponownie przytrafić. Za to w karcie informacyjnej Deprotiksolu wspomniano o możliwym osłabieniu pamięci.

Myślę gorączkowo o wczorajszym wieczorze. Naprawdę kiepsko się czułam. Nie wyszło mi z czytaniem, więc większość czasu przeleżałam, gapiąc się w telewizor. Trudno mi sobie przypomnieć, co dokładnie oglądałam, nie wiem, czy dlatego, że faktycznie szwankuje mi pamięć, czy z tego względu, że drzemałam. Wzięłam prysznic. Pamiętam, że był długi, gorący, woda parzyła mi skórę, ale właśnie taka zwykle pomaga mi się odprężyć. Czułam się spięta? Wizyty w przychodni nigdy nie są przyjemne, a wczorajsza w szczególności do takich nie należała, ale czy aż tak, żeby... chcieć ją z siebie zmyć?

Dosyć tego! Muszę porozmawiać z Niemczykiem, i to jak najszybciej, najlepiej natychmiast.

Wygrzebuję z torebki komórkę, żałuję, że nie mam numeru bezpośrednio do lekarza, telefonuję więc na rejestrację. Odbiera Aneta, ta młoda brunetka, która udaje, że mnie nie kojarzy, tymczasem ja od razu poznaję ją po głosie. Jak zwykle

jest chłodna, przez telefon brzmi jeszcze bardziej szorstko. Oczami wyobraźni widzę te jej ściągnięte usta, które nigdy nie witają pacjentów uśmiechem.

- Muszę porozmawiać z Niemczykiem - oświadczam, nie tracąc czasu na wstępy i wyjaśnienia.

- Słucham? - Głos rejestratorki staje się lodowaty.

- Muszę porozmawiać z doktorem Grzegorzem Niemczykiem - podejmuję od nowa. - Z moim lekarzem.

- Jak się pani nazywa?

- Gancarek. Sabina Gancarek.

Na linii zapada cisza, słyszę jedynie przytłumione stukanie, jakby kobieta klikała w klawiaturę.

- Najbliższy wolny termin... - odzywa się, ale ja od razu jej przerywam:

- Nie, źle mnie pani zrozumiała. Żaden najbliższy termin! Muszę porozmawiać z moim lekarzem zaraz, natychmiast! Już!

- Słucham? - Głos kobiety znów przybiera lodowaty ton. - Co to ma znaczyć?

- To, że potrzebuję pilnej konsultacji z doktorem - mówię, wznosząc się na wyżyny swojego spokoju.

- Z jakiego powodu?

Wypuszczam głośno powietrze z płuc, uświadamiając sobie, że to, co czuję, nie jest już zwykłą obawą. Ja panikuję. Pozwalam hysterii przejść nade mną kontrolę, kiedy w gruncie rzeczy nie mam pewności, czy rzeczywiście dzieje się coś poważnego, czy tylko niepotrzebnie się nakręcam. Przecież wiem, że nie zrobiłam niczego złego.

- Przedwczoraj przyjąłem pierwszą dawkę nowego leku, Deprotiksolu - zaczynam tłumaczyć swoją sytuację. Wyrzucam przy tym miętoszonego w wargach papierosa, bo bibułka w kilku miejscach się rozerwała i nitki tytoniu wchodzi mi do

ust. - I wydaje mi się, że pojawiły się pewne skutki uboczne. Doktor prosił, abym zgłosiła, gdyby cokolwiek zaczęło się dziać.

- Rozumiem - rzuca kobieta po drugiej stronie linii. Odnoszę wrażenie, że tym razem jej ton jest nieco bardziej życzliwy niż jeszcze chwilę temu.

- Przyznam, że trochę się przestraszyłam, dziwnie się czuję. Naprawdę potrzebuję konsultacji z doktorem.

- Rozumiem - powtarza kobieta - ale niestety na dziś nie mam żadnego wolnego terminu.

Cholera jasna - klnę pod nosem.

- Mogę umówić panią na...

- A może mogłaby mi pani dać bezpośredni kontakt do doktora? - Znów wchodzi rejestratorce w słowo. - Możliwe, że wystarczy rozmowa telefoniczna, ale naprawdę nie mogę czekać z tym do najbliższej wizyty, choćby ta miała być jutro.

- Niestety nie, podanie bezpośredniego kontaktu do doktora absolutnie nie wchodzi w grę...

Oblewa mnie fala gorąca, czuję, że panika zaraz sięgnie zenitu.

- Jedyne, co mogę zaproponować, to to, że porozmawiam z doktorem, przedstawię problem i jeśli doktor uzna to za zasadne, skontaktuje się z panią.

- Dobrze - zgadzam się, bo wygląda na to, że tak naprawdę nie mam innego wyjścia.

- Czy mogę jeszcze jakoś pani pomóc? - słyszę głos po drugiej stronie linii.

- Nie. - Kręcę głową, choć rejestratorka mnie nie widzi. - Potrzebuję tylko porozmawiać z doktorem.

- Rozumiem - odpowiada. - W takim razie dziękuję za telefon.

- Dziękuję - bąkam do słuchawki, nie do końca zadowolona z przebiegu rozmowy. Jeśli dojdzie do sytuacji, że jednak będę

musiała czekać na kontakt z Niemczykiem kilka dni albo choćby do jutra, to nie wiem, jak się to skończy. Już teraz czuję, że przestaję panować nad swoimi obawami.

Zamiast jak zwykle do torebki, chowam telefon do kieszeni spodni, aby przypadkiem nie przegapić połączenia od lekarza.

Biorę głęboki oddech. Ponownie sięgam po paczkę papierosów i wyjmuję jednego. Od nowa zaczynam zabawę w zgniatanie go w palcach i ruszam w stronę przystanku tramwajowego. Kiedy tam docieram, od nadmiaru myśli zaczyna boleć mnie głowa. Do tego zwyczajnie się boję, co dalej ze mną będzie.

Jazgot rozklekotanego tramwaju, który wjeżdża na przystanek, rozchwiewa mnie jeszcze bardziej. Moje ciało niespokojnie wibruje od środka w rytm pisków wydawanych przez stare szyny. Trzask towarzyszący otwieraniu pordezwiązanych drzwi wdziera się we mnie, choć nie jest mi obcy. Znam go przecież doskonale, tutejsze tramwaje już dawno zasłużyły na emeryturę, ale jeszcze długo nie zostaną na nią odesłane. Kiedy wsiadam do starego wagonu, czuję się tylko gorzej.

Wcale nie chcę tam jechać, ale jak zwykle coś każe mi to zrobić. To tam się przecież wszystko zaczęło. I chyba dlatego ciągle tam wracam. Najczęściej wtedy, gdy czuję, że świat, który sobie z dala od tamtego miejsca buduję, sypie mi się na głowę. Jakbym chciała przekonać samą siebie, że w moim życiu bywało już gorzej, więc i tym razem sobie poradzę.

Zajmuję wolne miejsce przy oknie na tyłach tramwaju. Drzwi zamykają się z łoskotem, a ja przypominam sobie moment, kiedy mój lekarz po raz pierwszy napomknął o Narodowym Programie Ochrony Zdrowia Psychicznego. Wtedy jeszcze pracowałam, ale obietnica, że po przystąpieniu do niego nie będę musiała już za nic płacić, i tak była bardzo kusząca. Nigdy mi się nie przelewało, a niestety nie wszystko jest refundowane

przez Narodowy Fundusz Zdrowia. Więcej, często jest tak, że nawet jeśli fundusz coś pokrywa, to trzeba czekać długie miesiące w kolejce. Choćby na wizytę u psychologa, nie wspominając już o pełnowymiarowej psychoterapii. Później Niemczyk opowiedział mi o nowoczesnym systemie terapeutycznym, który z powodzeniem zastępuje standardowe leki psychoaktywne. Przekonał mnie do Deprotiksolu.

Maksymalizacja skuteczności i minimalizacja objawów niepożądanych - tym w praktyce mają charakteryzować się leki długodziałające. Od lat używane w psychiatrii w leczeniu schizofrenii, a od niedawna coraz częściej stosowane przy innych zaburzeniach: depresjach, stanach lękowych, nerwicach, a nawet zespole stresu pourazowego. Technologia umożliwia przede wszystkim odejście od codziennego łykania tabletek. W przypadku wielu pacjentów psychiatrycznych to duży problem. Ze mną nie jest tak źle, zazwyczaj pamiętałam o zażyciu leków, choć od czasu do czasu zdarzało mi się zapomnieć. Sporadyczne pominięcie dawki zwykle nie jest groźne, ale już częste tego typu incydenty mogą wpłynąć na efektywność leczenia. A pacjenci są różni, tak jak ich schorzenia.

W moim przypadku szalę przeważały jednak... kwestie finansowe. Kiedy straciłam pracę, nie było już miejsca na zastanawianie się. Potrzebuję leczenia, nie mogę go przerwać. A bardzo możliwe, że gdyby zabrakło mi na podstawowe potrzeby, zrezygnowałabym z wizyt u Niemczyka, a tym samym z pigułek. I co by się ze mną wtedy stało? Wiem, że mogłoby się to dla mnie bardzo źle skończyć, mam świadomość tego, jak bardzo jestem poturbowana. A tak, przystępując do projektu, otrzymałam i leki, i opiekę specjalisty za darmo.

Wbijam wzrok w odrapane budynki Sosnowca. Mijam stare, zniszczone kamienice, które po renowacji mogłyby być całkiem przyjemnie dla oka. Nie są i pewnie jeszcze długo nie będą,

o ile kiedykolwiek doczekają się lepszych czasów. Oczywiście tutaj też rozchodzi się o pieniądze, myślę. Zawsze właśnie o nie chodzi. Mówi się, że pieniądze szczęścia nie dają – może i tak jest w przypadku tych, którzy nigdy nie musieli martwić się o to, co włożą do ust następnego dnia. To przecież brak środków finansowych sprawia, że ludzie pakują się w bajora, w których grzęzną latami, zdarza się, że już nigdy nie udaje im się z nich wydostać.

Kiedy dociera do mnie, że dzwoni mój telefon, w popłochu łapię się za kieszeń spodni. Wyszarpuje z niej komórkę. Na wyświetlaczu widnieje numer przychodni, serce momentalnie zaczyna mi szybciej bić. Nie spodziewałam się, że lekarz odezwie się do mnie tak szybko! Zaraz jednak uświadamiam sobie, że przecież to wcale nie musi dzwonić Niemczyk. Może jednak nie miał ochoty na dodatkowe obowiązki po godzinach albo zwyczajnie zabrakło mu czasu, aby pochylić się nad moją prośbą, i to tylko rejestratorka dzwoni, aby mi o tym powiedzieć? Obawiając się najgorszego, akceptuję połączenie.

Doświadczam niewypowiedzianej ulgi, kiedy po drugiej stronie linii słyszę głos Niemczyka. Choć jest nieco zniekształcony przez głośnik starego aparatu, którego używam, a także przytłumiony przez hałas panujący w tramwaju, rozpoznałem go natychmiast. Wcale nie musiał się przedstawiać, ale cierpliwie czekam, aż skończy mówić.

- Tak, zgadza się, prosiłam o kontakt – potwierdzam.

- Co się dzieje?

Wzdycham. Choć od przesłuchania przez policję rozsądza mnie paląca potrzeba rozmowy z lekarzem, teraz, gdy już dostałam tę możliwość, nie bardzo wiem, jak to wszystko, co we mnie siedzi, wyartykułować.

- Mam chyba pewne problemy z... pamięcią. - Ściszam głos prawie do szeptu. Nie chcę, aby cały wagon przysłuchiwał się

temu, o czym opowiadam. – Wydaje mi się, że mogę pewnych rzeczy... nie pamiętać.

– Rozumiem... – Głos Niemczyka jest spokojny. – Jak to konkretnie wygląda? Czego pani nie pamięta?

– Pewnych rzeczy – powtarzam enigmatycznie.

Na linii zapada cisza. Czekam, aż doktor się odezwie, ale dociera do mnie, że on czeka na to samo. Lakoniczność mojej wypowiedzi nie mogła wyjaśnić mu za wiele.

– Zdałam sobie sprawę, że... – podejmuję – chyba szwankuje mi pamięć. Chodzi mi o to, że istnieje możliwość, że mogę nie pamiętać wszystkiego, co mogłam robić po aplikacji deprotiksolu.

– Muszę przyznać, że mówi pani dość niejasno – komentuje lekarz. – W czym właściwie jest problem? Dlaczego pani uważa, że, jak to pani określiła, może nie pamiętać wszystkiego?

Milczę. No bo co mam powiedzieć, że podejrzewam się o morderstwo? Morderstwo, którego nie pamiętam. Kurwa, no – syczę bezgłośnie.

– Pani Sabino, czego pani nie pamięta? Proszę doprecyzować – odzywa się Niemczyk, kiedy cisza się przedłuża.

Zagryzam wargi, zastanawiam się, co powiedzieć i... nie wiem. Gdyby nie policja, nic podobnego nie przyszłoby mi do głowy, nie podejrzewałabym się o jakiegokolwiek zaniki pamięci. A jeśli faktycznie bym ich doświadczyła, to przecież musiałyby to być całe luki w głowie. Nie da się dokonać zbrodni w kilka sekund. Niemożliwe też, aby Deprotiksol powodował tak silne zaniki pamięci, jakie tam zaniki – wyrwy!

A jednak zostałam doprowadzona na policyjne przesłuchanie.

Już raz w swoim życiu czegoś podobnego doświadczyłam, myślę dalej, moja pamięć mnie zawiodła. Wtedy nie brałam

żadnych prochów. Nie mogę wykluczyć, że sytuacja się powtarza. Ani tego, że Deprotiksol spotęgował tę moją osobliwą przypadłość wyrzucania z głowy traumatycznych czynów. Substancje psychoaktywne bardzo często są jedyną drogą do utrzymania zdrowia psychicznego, ale wiem też doskonale, że potrafią zaostrzyć pewne dolegliwości.

- Możemy się spotkać? - rzucam, nie odpowiadając ostatecznie na pytanie lekarza. - Potrzebuję... - Biorę głęboki wdech, czując zażenowanie własną prośbą. - Potrzebuję z kimś o tym porozmawiać...

- Oczywiście! - Niemczyk zgadza się natychmiast. - Zdecydowanie powinniśmy to dokładnie omówić. Skończyłem na dziś pracę w klinice, ale czeka mnie jeszcze kilka wizyt w prywatnym gabinecie... - Zawiesza na moment głos, jakby się wahał, co dalej powiedzieć.

W napięciu czekam na ciąg dalszy, modląc się w duchu, aby nie zaproponował spotkania dopiero jutro.

- Czy miałyby pani coś przeciwko spotkaniu w moim prywatnym gabinecie albo na mieście? - pyta wreszcie lekarz.

- Nie, skąd! - rzucam z ulgą.

Umawiamy się na wieczór, zgodnie decydując, że prywatny gabinet lekarski będzie najlepszym rozwiązaniem. W końcu spotkanie ma mieć charakter medyczny, a gabinet zapewni nam potrzebną dyskrecję i spokój.

Kiedy kończę rozmowę z Niemczykiem, tramwaj wjeżdża na ostatni przystanek na trasie. Sprawdzam godzinę. Nie muszę zmieniać planów, do spotkania z lekarzem mam kilka godzin.

Podnoszę się z miejsca, kiedy tramwaj się zatrzymuje. Wsiadam. Mijam zapyziały, brudny dworzec kolejowy, a potem wchodzę między równie obskurne bloki mieszkalne, wciąż mając ochotę obrócić się na pięcie, uciec jak najdalej stąd i nigdy więcej tu nie wracać. Ale też nie potrafię tego zrobić. To

miejsce przyciąga mnie jak niewidzialna siła, której nie można się przeciwstawić.

Zatrzymuję się przed jedną z klatek. O dziwo nikt przy niej nie stoi. Zwykle roi się tutaj od podejrzanych typów i drobnych pijaków. Zalewają mnie żal, strach i tęsknota równocześnie. Te uczucia są tak silne, że na moment aż brakuje mi tchu. Kocham i nienawidzę naraz.

Wreszcie wchodzę do cuchnącego uryną i pleśnią bloku.

8.

Tęsknota za matką to naturalny, pierwotny instynkt, którego nie sposób w sobie zdusić. To nierozzerwalna więź, która każe latorośli wciąż się starać i mieć nadzieję, nawet wtedy, kiedy próbowało się już wszystkiego, a nadzieja pozornie dawno umarła.

Szmat czasu temu powinnam sobie odpuścić, ale nie potrafię. Każdy z nas nosi w sobie małą część dziecka. Często głęboko schowaną, niemal niezauważalną. Ta moja drobinka wcale nie jest drobinką, ale pokaznym elementem mojej poturbowanej duszy, który nie pozwala mi się uwolnić od przeszłości. Pragnie miłości, łaknie zrozumienia, chce kochać i być kochaną... Uparcie rwie się w ramiona, które miały być ciepłą, wiecznie otwartą przystanią bezpieczeństwa i wytchnienia, a okazały się niedostępne, zimne i puste.

Zatrzymuję się przed drzwiami mieszkania, w którym spędziłam dzieciństwo. Zanim decyduję się na kolejny ruch, mija dłuższa chwila. Wykorzystuje ją na zebranie sił.

Wreszcie chwytam za klamkę. Nie muszę dzwonić, tutaj nigdy nie jest zamknięte. Otwieram i powoli przekraczam próg. Kiedy tylko zatraskuję za sobą drzwi, pożera mnie przestrzeń tego miejsca. Zamknięta w nim przeszłość uderza we mnie z siłą, która sprawia, że przez moment stoję w korytarzu i nie potrafię się poruszyć. Minęło tyle lat, a ja nadal wszystko doskonale pamiętam. Wszystko, co się tutaj wydarzyło.

Kiedy w końcu udaje mi się poruszyć, przechodzę do kuchni. Jak zwykle panuje w niej bałagan. W zlewie piętrzą się brudne naczynia, a blaty pokrywają zaschnięte plamy jedzenia. Podłoga lepi się od błotnistych śladów. Nie mam pojęcia, kiedy ktoś

tutaj ostatnio sprzątał, zacieki na meblach wyglądają na bardzo stare. W mieszkaniu panuje zaduch i zwyczajnie śmierdzi.

Gdy tutaj mieszkałam, coś takiego było nie do przyjęcia. Dbałam o to mieszkanie, jakby było moje, choć zawsze czułam się w nim jak nieproszony gość. Mimo wysiłku, który wkładałam we wszystko, co robiłam, nigdy nie udało mi się zdobyć afirmacji matki.

Nawet jej namiastki.

Wycofuję się z powrotem do korytarza. Ostrożnie, niemal płochliwie zaglądam do jednego z pokoiów. Witają mnie zakurzone meble i zatęchły smród papierosów. Jest obrzydliwy, ale pod jego wpływem nabieram ochoty na fajkę. Zduszam w sobie chęć zapalenia, choć na sfatygowanym stoliku widzę napoczętą paczkę. Rozklekotany fotel stoi w rogu. Podchodzę do niego, siadam. Spoglądam na starą kanapę, którą mam tuż naprzeciwko. Spałam na niej jako dziecko, lepi się od brudu, w kilku miejscach jej tapicerka jest dziurawa. Nie jest pusta. Leży na niej mężczyzna. Nie rusza się, za to głośno chrapie. Cuchnie od niego przetrawionym alkoholem.

Rozsiadam się nieco wygodniej, opieram plecy o fotel. Przemykam oczy i pozwalam porwać się przeszłości. Temu wszystkiemu, co przyszło mi w tych murach przeżyć.

*

Mama siedzi w kuchni z papierosem w ustach. Cienka strużka dymu unosi się wzdłuż jej twarzy, przysłaniając wyraz jej oczu, i tworzy nad jej głową siną aureolę. Sprawia to iście upiorne wrażenie, od którego zawsze przechodzą mnie ciarki.

- No, jesteś - mówi tonem, który poraża obojętnością. Wypuszcza przy tym kłęby dymu, a potem znów mocno zaciąga się papierosem. - Gdzieś była? - rzuca.

Biorę głęboki wdech, aby się odezwać, jednak unoszący się w całej kuchni dym dostaje się do płuc. Drapie mnie w gardło i krtań, przez co jeszcze trudniej jest mi wydobyć z siebie głos. Nogi żałośnie mi się trzęsą.

- No co się gapisz? - warczy, ledwo zerkając w moją stronę. - Bierz się do zmywania.

Podchodzę posłusznie do zlewu i podwijam rękawy swetra. W trzęsące się dłonie biorę brudny talerz. Nie cierpię się za to, wręcz nienawidzę. Nie potrafię się sprzeciwić. Stać mnie jedynie na to, aby nie wrócić na noc do domu. Oto mój cały bunt.

- Już się kurwisz? - rzuca matka, a ja zaciskam zęby z nerwów. - Słyszysz, co do ciebie mówię, mała kurewko?! - Uderza płaską dłonią w stół tak mocno, że aż podskakuję.

- Nie, mam - odpowiadam żałośnie cienkim głosem.

- To gdzie się włóczyysz, co? Żle ci tu? Tak ci tu źle? Daję ci dach nad głową i żreć, mało ci?

Zaciskam dłonie w pięści. Mocno, tak mocno, że łapią mnie skurcze w nadgarstkach.

W kuchni panuje cisza. Słyszać tylko cichuteńki szelest, kiedy mama ponownie zaciąga się papierosem i żar pochłania kolejną porcję wysuszonego tytoniu i bibuły.

- Potem ogarnij łazienkę - rozkazuje. - Wiesiek zrzygał się wczoraj i nie miał kto tego sprzątnąć. Śmierdzi w całym domu.

Nie odpowiadam. To nie pierwszy raz, kiedy partner mamy zapaskudził mieszkanie, więc dobrze wiem, co mnie czeka. Zaczynam żałować, że wróciłam do domu. Wieczorem, kiedy postanowiłam, że noc spędzę w pobliskim parku, zrodziła się we mnie pokusa, aby już nigdy się tutaj nie pojawić. Początkowo nie było tak źle,

ale koło północy zaczęło robić mi się zimno i ogarnął mnie strach. Park w ciemnościach nie był przyjaznym miejscem. Ani pustym. Natknęłam się na pijanych facetów, którzy ciągle czegoś ode mnie chcieli. Później jakaś naćpana bezdomna próbowała mnie okraść, kiedy na moment przysnęłam. Nad ranem cała moja buta zniknęła. No i wróciłam.

- Słyszałaś, co powiedziałam?! - Mama podnosi głos.

Zaciskam mocno szczękę. Nie chcę znów sprzątać wymiocin Wieśka!

- Mówię do ciebie, wywłoko! - Mama szarpie mnie za ramię. Kuchnia jest tak wąska, że nie musi nawet wstawać z krzesła, aby mnie dosięgnąć. - Słyszysz?! - warczy.

- Nie! - krzyczę, zanim zdążę się zorientować, że to słowo faktycznie wydobyło się z mojego gardła. Odsuwam się przy tym od zlewu.

- Coś ty powiedziała?

- Nie - powtarzam już nieco ciszej. - Nie będę sprzątać łazienki po Wieśku.

Mama podnosi się z miejsca. Lepię się cała od potu, a kiedy do mnie pochodzi, pocę się jeszcze bardziej. Krzycząc kolejne obelgi pod moim adresem, policzkuje mnie. Nie pierwszy raz. Skóra na twarzy piecze, czuję, że to miejsce czerwienieje. Ból wcale nie jest duży, biła mnie już mocniej. Ale dziś jest inaczej. Coś się we mnie kruszy, opada na samo dno, a potem natychmiast się podnosi.

Odsuwam szufladę, gdzie zawsze leżą sztucce. Są tam też noże. Chwytam za największy z nich. Wolną ręką łapię mamę za przetłuszczone, przesiąknięte dymem nikotynowym włosy i z całej siły, jaką w sobie mam, uderzam jej głową o blat. Jest tak zaskoczona, że w ogóle się nie broni. Cios spełnia swoje zadanie, mama osuwa się na posadzkę, musiałam celnie uderzyć.

Przykucam przy niej, zanim oprzytomnieje, i przykładam nóż do jej szyi. Ostrze przecina skórę, ale płytko, o wiele za płytko. Naciskam mocniej, jednak tępe narzędzie nie chce się przebić głębiej. Mama zaczyna się poruszać, chwytam ponownie jej włosy i walę jej głową o kuchenną szafkę. Jeden raz, drugi, trzeci. Wciąż wydaje mi się, że to za mało. Uderzam znów. Pojawia się krew, bryzga po kuchni. Rzucam zbyt tępe, do niczego nieprzydatne narzędzie i poprawiam chwyt na włosach mamy. A potem uderzam jej głową ciągle, już bez opamiętania.

*

Zrywam się z fotela jak porażona prądem. Dyszę ciężko, sapię, jakbym przebiegła maraton. Jestem złana potem, którego krople spływają mi po skroniach. Rozglądam się po wnętrzu kompletnie zdezorientowana. Nie mam pojęcia, gdzie jestem. Pomieszczenie wydaje mi się znajome, ale go nie rozpoznaję. Przed oczami majaczą mi ponure powidoki, dłonie mam usmarowane krwią, w uszach ciągle słyszę dźwięk miażdżonych kości.

Koncentruję wzrok na kanapie. Mężczyzna dalej śpi, przez cały ten czas chyba ani drgnął. Już wiem, gdzie jestem, i wszystko wskazuje na to, że ja też musiałam przysnąć. I znów mi się to śniło - moment, kiedy stałam się matkobójczynią.

Przypominam sobie, że jestem umówiona z Niemczykiem, wygrzebuję więc pospiesznie telefon z torebki. Na szczęście okazuje się, że wcale nie spałam długo, spokojnie zdążę na umówione spotkanie z lekarzem.

Podnoszę się z fotela i podchodzę do kanapy. Widok wzbudza we mnie obrzydzenie i współczucie zarazem. Ten wrak

człowieka to oprócz moich wspomnień jedyne, co łączy mnie z dawnym życiem.

Przechodzę do kuchni i zaglądam do lodówki. Jak zwykle nic w niej nie ma. Wychodzę z mieszkania, ale zamiast na przystanek tramwajowy idę do pobliskiego sklepu. Kupuję kilka podstawowych artykułów spożywczych. Zanoszę je do mieszkania, mężczyzna nadal śpi na kanapie, wciąż ani na niej drgnął. Musiał urznąć się do nieprzytomności. Nie szkodzi, nie zawsze rozmawiamy. Zostawiam jedzenie, które chwilę temu kupiłam, a potem udaję się na przystanek tramwajowy, aby wreszcie wrócić do Sosnowca.

9.

Wyszykowałam się trochę tak, jakbym szła na randkę. Wiem, że to idiotyczne z mojej strony, ale mam ku temu dobry powód. Przede wszystkim musiałam jakoś zagłuszyć swoje myśli. Wizyta w domu rodzinnym zawsze wiąże się dla mnie z ogromem emocji, które długo nie chcą mnie później opuścić. Poza tym - przestałam się już oszukiwać - po prostu zależy mi, aby dobrze wyglądać podczas spotkań z... Grzegorzem.

Czekam w poczekalni prywatnego gabinetu Niemczyka, aż ostatnia z wizyt zaplanowanych na to popołudnie dobiegnie końca. Pomieszczenie jest całkiem spore i naprawdę schludnie utrzymane. Podłoga błyszczy, najwidoczniej jest codziennie zmywana, a w rogach przy suficie nie zauważyłam ani jednej zwisającej pajęczyny. Oprócz gabinetu doktora w budynku mieści się jeszcze kilka pokoi, w których urzędują ginekolog, dentysta, dermatolog i dietetyk.

Spoglądam na swoje stopy obute w czółenka na niskim obcasie. Są wygodniejsze niż szpilki, a równie dobrze pasują do dżinsów i bluzki z szerokimi rękawami, które na siebie włożyłam. Zresztą w szpilkach wyglądałabym trochę nienaturalnie, w końcu przyszłam tutaj na wizytę lekarską, a nie spotkanie prywatne. Myślenie o tych wszystkich przyziemnych sprawach pozwala mi jako tako trzymać nerwy na wodzy.

W końcu z gabinetu wychodzi młoda dziewczyna, nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat. Idzie z nisko opuszczoną głową, tak że ledwo dostrzegam jej twarz. Cała jej zapadnięta sylwetka krzyczy, że czuje upokorzenie z powodu korzystania z porad tego typu lekarza. Zastanawiam się, co takiego działo się - albo nadal dzieje - w jej życiu, że musi spotykać się

z psychiatrą, i czy znalazłybyśmy punkty wspólne. A może nasze dramaty całkowicie się od siebie różnią?

Dziewczyna ani na moment nie unosi głowy, szybko przemyka przez korytarz i znika za najbliższym zakrętem. Patrząc, jak odchodzi, nie dziwię się jej zażenowaniu. Kontakt z psychiatrą nadal stanowi rodzaj naznaczenia. Nawet teraz, gdy Narodowy Program Ochrony Zdrowia Psychicznego cieszy się dużym zainteresowaniem, wstydzimy się tego, że specjalistyczne wsparcie jest nam potrzebne. Tymczasem wstydzić powinni się ci, którzy zadbali o to, aby nasza dusza się rozleciała. Czasem jedynym sposobem, aby ją posklejać, jest właśnie pomoc psychiatryczna.

Zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy, aby wyjść na prostą. Podjęłam leczenie, długie, żmudne, chwilami nawet wyczerpujące. Kontynuuję je. Skończyłam szkołę, poszłam do pracy. Unikam szemranego towarzystwa. A mimo to wyładowałam dziś na policyjnym przesłuchaniu. Czy to możliwe, że pomimo całego mojego wysiłku jednak mi się nie udało?

- Pani Sabino...

Podnoszę wzrok. W drzwiach gabinetu, który niedawno opuściła ta młoda, zawstydzona dziewczyna, stoi mój lekarz. Wygląda świeżo i pogodnie, choć ma za sobą cały dzień pracy i obcowania z niełatwymi indywidualnościami. Zastanawiam się, jak to możliwe. Czy jest tak pozytywnie usposobionym człowiekiem, czy kryje się za tym twardy charakter? A może to tylko pancierz, który zdejmuje, kiedy wraca do domu? Mimowolnie próbuję sobie wyobrazić, jak wygląda mieszkanie lekarza i co w nim robi po powrocie z pracy. Kto w tym mieszkaniu na niego czeka.

- Proszę wejść. - Niemczyk posyła mi swój serdeczny uśmiech i gestem dłoni zaprasza do środka.

Podnoszę się z miejsca, czując palące zażenowanie. Czasem naprawdę trudno mi się opanować i myślę o swoim lekarzu w sposób, w który nie powinnam.

Wchodzę do gabinetu na miękkich nogach, Niemczyk zamyka za mną drzwi. Rozglądam się pobieżnie po wnętrzu. Nie chcę wyjść na ciekawską ani sprawiać wrażenia zdenerwowanej bardziej, niż jestem w rzeczywistości, ale nie mogę się powstrzymać. Ciekawi mnie ten człowiek.

Pomieszczenie jest dość małe i standardowo wyposażone. Gdyby nie tabliczka na drzwiach wejściowych, trudno byłoby w ogóle się domyślić, jaki specjalista przyjmuje tu pacjentów. Podobnie jak w przychodni, i tutaj nie zauważam żadnych osobistych przedmiotów należących do Niemczyka. Widocznie lekarz nie przenosi swojego życia do pracy, nawet do prywatnego gabinetu. Szkoda. Gdyby było inaczej, wreszcie miałabym szansę odrobinę lepiej go poznać. Przynajmniej trochę się do niego zbliżyć, nawet jeśli miałyby to działać tylko w jedną stronę.

- Niech pani usiądzie, pani Sabino - mówi lekarz, dłonią wskazując na krzesło.

- Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas - odzywam się i zajmuję wolne miejsce.

- To naprawdę nie problem. - Niemczyk siada po drugiej stronie biurka, na którego środku stoi biały macbook. - Proszę jeszcze raz opowiedzieć, co się dokładnie dzieje. Przyznam, że trochę mnie pani zaniepokoiła...

Daję sobie jeszcze moment na zebranie myśli, wreszcie się odzywam:

- Martwię się, że mogę nie pamiętać pewnych rzeczy. Chodzi mi o to, że pewne zdarzenia mogły mi umknąć albo że moja pamięć mogła je wyrzucić.

- Co konkretnie ma pani na myśli? - Niemczyk patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem.

- Trudno mi to jednoznacznie opisać. Niby dobrze wszystko pamiętam. Weźmy choćby wczorajszy wieczór, pamiętam, gdzie byłam i co robiłam, ale jednocześnie boję się, że... czegoś jednak nie pamiętam. - Szukam odpowiedniej drogi, aby przekazać istotę swoich obaw lekarzowi, ale przy tym nie przyznać się, że podejrzewam się o... zabicie człowieka.

Naprawdę o tym myślę?! O tym, że mogłabym znowu... zabić?

- Po prostu obawiam się, że pewne rzeczy mogły mi umknąć - kwituję, z trudem przetykając ślinę. Gardło mam ściśnięte, każda kolejna myśl, że jednak mogłam znów zabić, paraliżuje mnie.

Niemczyk przygląda mi się dłuższą chwilę. Zastanawia się.

- Proszę wybaczyć, że o to zapytam - podejmuje po chwili - ale na jakiej podstawie? Dlaczego pani sądzi, że czegoś nie pamięta? I dlaczego mówi pani o tym dopiero teraz? - Lekarz wpatruje się w ekran komputera, stuka przy tym palcami w klawiaturę, najpewniej przegląda dokumentację mojej poprzedniej wizyty. - Rozmawialiśmy wczoraj, o niczym takim pani nie wspominała. Dlaczego?

- Po prostu nie zwróciłam na to wcześniej uwagi, bo... - Bo wcześniej nie interesowała się mną policja, myślę, przygryzając wargę. Ale przecież o tym nie mogę powiedzieć. Ani tym bardziej nie chcę. - Dopiero dziś się zorientowałam i zgodnie z umową zgłaszam to, co się dzieje.

Niemczyk jeszcze mocniej ściąga brwi. Widzę wyraźnie, że moje wyjaśnienia do niego nie trafiają. Nie mogę go za to winić, przecież słyszę, jak brzmi to, co mówię.

- Weźmy znów wczorajszy wieczór - podejmuję. - Nie chodzi o to, że nie pamiętam go wcale, ale mam wrażenie, że mogło mi trochę z niego umknąć. Wiem, że brzmi to nieco dziwnie, ale... cóż... No pamiętam, że wróciłam do mieszkania, że wzięłam

prysznic, ale nie wiem na przykład, o której konkretnie godzinie poszłam spać.

- Może po prostu nie sprawdziła pani godziny i stąd ta niepewność? - odpowiada lekarz.

- Może. - Wzruszam ramionami, bo faktycznie sporo wczoraj drzemałam i jedna z tych drzemek płynnie przeszła w nocny sen.

- Może po prostu była pani zmęczona - gdyba dalej. - Doskwierały pani także zawroty głowy, to na pewno nie poprawiało pani samopoczucia. Wzięła pani zatem prysznic, położyła się, a po pewnym czasie zasnęła. Tak mniej więcej to było?

- No mniej więcej tak - przyznaję.

- Taki spokojny wieczór - ciągnie lekarz - w przypadku aktywnych osób może wydawać się bezproduktywny. Może stąd pani odczucia?

- Nie, to raczej nie to - mrużę pod nosem.

- A dużo czytała pani o lekach długodziałających? - Niemczyk pociera dłonią podbródek. Przyglądam się doktorowi, nie do końca rozumiejąc sens zadanego przez niego pytania. - Przeszukiwała pani sieć pod ich kątem? Sprawdziała informacje, porównywała dane, czytała opinie na forach?

- Taaak - przyznaję. Jak mogłoby być inaczej, skoro zdecydowałam się na leczenie nową generacją leków psychoaktywnych?

- Nie muszę pani chyba przekonywać, że w internecie można znaleźć wszystko. To cenne źródło informacji, ale też całej masy bzdur.

- Wiem, ale... - Milknę, bo nie mam w zanadrzu kolejnego argumentu. - Ale w karcie informacyjnej, tej, którą podpisałam bezpośrednio przed aplikacją deprotiksolu, też o tym było. O możliwych zanikach pamięci.

- O możliwym osłabieniu pamięci - poprawia mnie Niemczyk.

- Czy to taka wielka różnica?

- Owszem, osłabienie pamięci oznacza po prostu gorsze zapamiętywanie. Przykładowo spisuje sobie pani listę zakupów, ale z jakichś tam względów nie zabiera jej ze sobą do sklepu i połowy produktów nie kupuje, bo nie jest pani w stanie przypomnieć sobie wszystkiego, co było na liście. Albo widzi pani reklamę fajnego produktu, chce o nim powiedzieć koleżance, ale nie może przypomnieć sobie jego nazwy.

Wzdycham, bo przecież nie o tego typu problemy mi chodzi.

- I owszem, osłabienie pamięci - ciągnie tymczasem lekarz - obok zawrotów głowy, rozkojarzenia i szeregu innych dolegliwości to jeden z najczęściej występujących skutków ubocznych przyjmowania Deprotiksolu.

- A czy te skutki mogą u niektórych pacjentów być wyjątkowo nasilone?

Tym razem Niemczyk wzdycha.

- Na pewno byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział, czego konkretnie się pani obawia, czego rzekomo może nie pamiętać...

Milknij na moment, jakby dawał mi jeszcze jedną szansę na wyjaśnienie niedopowiedzeń, którymi go częstuję. Oczywiście nie mogę z niej skorzystać.

- W bardzo rzadkich sytuacjach - podejmuje, kiedy nic nie mówię - mogą wystąpić wyjątkowo nasilone skutki niepożądane. To się może zdarzyć w przypadku każdego leku, a to dlatego, że każdy organizm jest inny i indywidualnie reaguje na konkretne substancje chemiczne. Niemniej myślę, że nadal mówimy tutaj o zaburzeniach pamięci, a nie całych lukach w głowie, o czym chyba próbuje mi pani powiedzieć.

Spuszczam głowę z poczuciem pewnego zawodu. Niemczyk mi nie pomoże. Więc kto rozwieje moje wątpliwości? Miłek, kiedy przyjedzie mnie aresztować?

- Proszę też pamiętać, że to była pierwsza aplikacja, pani organizm nie miał jeszcze kontaktu z lekiem, więc ta pierwsza reakcja może być nieco silniejsza, a pani z kolei bardziej wyczulona na każdą, nawet najmniejszą nieprawidłowość. Po drugiej aplikacji może się okazać, że nic niepożądanego się nie dzieje.

Niemczyk naprawdę nie bierze pod uwagę, że mogłam doświadczyć poważnego ubytku pamięci. Nie mogę mieć mu tego za złe. To, co mówię, jest bardzo, bardzo mętne, niepoparte niczym konkretnym.

- Skonsultuję sprawę z innymi lekarzami - obiecuje jeszcze lekarz. - Sprawdzę, czy są wśród pacjentów przyjmujących Deprotiksol tacy, którzy skarżą się na problemy z pamięcią. A jeśli tak, to dowiem się, jak silne są to zaburzenia.

- Dobrze, dziękuję - bąkam.

Rozumiem, że po tym, jak przedstawiłam sprawę, lekarz nie może zrobić nic więcej. Obracam głowę w bok i spoglądam w okno, czując jeszcze większy strach. Zastanawiam się, czy gdybym powiedziała, z jakiego powodu pojawiły się moje obawy, potraktowałyby mnie inaczej.

A może i nie? Przecież Niemczyk nie wie, co zrobiłam, kiedy miałam trzynaście lat.

- Widzę, że ciągle pani nie przekonałam - stwierdza doktor, na co nieśmiało wracam do niego spojrzeniem.

- Czy ten nowy lek może mi w jakikolwiek sposób zaszkodzić? - pytam.

Niemczyk znów marszczy czoło.

- Czy jest taka możliwość? - ponawiam pytanie. - Że może mi jakoś zaszkodzić?

- Medykament jest nowy - przyznaje, a potem zaczyna ze spokojem tłumaczyć to, co wyjaśniał mi już wiele razy: - Ale przeszedł serię wymaganych badań. Został dopuszczony do użytku i zaaprobowany przez odpowiednie instytucje, między innymi przez Europejską Agencję Leków. Jest bezpieczny.

Spuszczam wzrok, sama nie wiedząc, co czuję i co o tym wszystkim myśleć. Spotkanie z lekarzem naprawdę na niewiele się zdało.

- Rozumiem pani obawy. Naprawdę. Właściwie dobrze, że one są, to oznacza, że nie podchodzi pani bezmyślnie do terapii. Ale proszę pamiętać, że nie zaproponowałbym udziału w projekcie, gdyby lek nie był bezpieczny... - dorzuca jeszcze doktor, a mnie w jednej chwili zalewa fala ciepła.

- Naprawdę? - wymyka mi się z ust, ale nie mam przy tym odwagi spojrzeć na lekarza, aby się upewnić, że troskę, która pobrzmiwa w jego głosie, odnajdę również w jego oczach.

- Oczywiście - przytakuje od razu. - Nie naraziłbym świadomie żadnego ze swoich pacjentów.

- Aha - bąkam, czując swoisty zawód. Znów się zapędziłam w swoich wyobrażeniach. Ale przynajmniej mogę mieć pewność, że jestem w dobrych rękach.

- Pani Sabino... - podejmuje jeszcze lekarz. - Nie chciałbym, aby miała pani błędne wyobrażenie o moich intencjach. Jestem całkowicie po pani stronie. Chciałem pomóc i nadal w moim przekonaniu ten projekt jest tym, czego pani potrzebuje.

Nawet jeśli postawa lekarza wynika jedynie z czystego profesjonalizmu, to tak dawno nikt się o mnie nie troszczył, że jego słowa kompletnie mnie rozczulają. Czuję też, że na policzkach wykwitła mi rumieniec zawstydzienia.

- Proszę. - Ponownie słyszę głos lekarza i tym razem muszę unieść na niego spojrzenie. - Proszę do mnie zadzwonić, gdyby czegoś pani potrzebowała. Czegokolwiek. - Wręcza mi swoją wizytówkę.

Sięgam po kartonik, wtedy koniuszki moich palców muskają dłoń Niemczyka. Subtelny dotyk sprawia, że przeszywa mnie dreszcz, który nie miał prawa się pojawić. Pąsowieję jeszcze bardziej, nie wiem, jak ukryć swoje uczucia.

- Dziękuję - mamroczę pod nosem.

- Bardzo proszę - odpowiada doktor, chyba próbując spojrzeć mi w oczy. Unikam jego wzroku, ale po chwili nasze oczy jednak się spotykają. Niemczyk jeszcze nie skończył, chyba chce coś dodać.

- Miała pani trudne dzieciństwo...

A jednak.

- To, przez co pani przeszła - mówi - nie powinno spotkać żadnego dziecka. Nie każdy zdołałby się podnieść po... po czymś takim.

Ale... skąd? Skąd on wie? Skąd wie, że zabiłam?!

W ułamku sekundy całkowicie tracę grunt pod nogami, nie mogę też już dłużej patrzeć lekarzowi w oczy.

- A pani to zrobiła. Zawalczyła pani o siebie. Świetnie daje sobie pani radę po tym, co panią spotkało. - Kolejne słowa padają z ust doktora, ale ledwo je słyszę. Myślę tylko o tym, że owszem, podczas terapii opowiadałam, jak traktowała mnie mama, ale nigdy nie przyznałam, do czego ostatecznie to doprowadziło.

Chyba że... Kurwa, chyba że znowu czegoś nie pamiętam!

- Jeszcze raz dziękuję za pomoc - dukam, zrywając się z miejsca. Muszę jak najszybciej stąd wyjść. - Do widzenia - rzucam, po czym nawet nie oglądając się za siebie, opuszczam gabinet Niemczyka.

10.

Wychodzę na ulicę roztrzęsiona, niemal od razu potykam się na nierównym chodniku. Idę szybko, nie rozglądając się na boki. Żałuję, że włożyłam te idiotyczne czółenka. Co ja sobie w ogóle myślałam? Że mogę żyć normalnie?

Próbowałam, naprawdę próbowałam! Po opuszczeniu szpitala psychiatrycznego wzięłam się za siebie. Podjęłam pracę, przystosowałam się do niej. Wynajęłam pokój w normalnym mieszkaniu, omijając szerokim łukiem meliny, aby się nie stoczyć. Kontynuowałam leczenie. Chciałam też zrobić coś dobrego, tak po prostu.

Kilka godzin tygodniowo poświęcałam na wolontariat. Dzieciom, którymi pomagałam się opiekować, nie mogłam zaoferować wysokich standardów pedagogicznych, ale za to dawałam im dokładnie to, czego nigdy sama nie otrzymałam – uwagę. Sprawiało mi to autentyczną radość. Gdy straciłam pracę, i z tego musiałam zrezygnować.

Szlag! – syczę wściekle pod nosem, kiedy po raz kolejny potykam się na zniszczonym chodniku. Obcas grzęźnie mi w dziurze i macham rękoma w powietrzu, aby się nie przewrócić. Udaje mi się utrzymać równowagę, ale moje wygibasy zostają nagrodzone salwami śmiechu mijającej mnie grupki małolatów w wieku szkolnym.

Mam ochotę nawrzeszczeć na nich, dopaść jednego po drugim i zrobić ze smarkaczami porządek. Zamiast tego chwytam paczkę fajek, wyszarpuję z niej papierosa. Wciąż drżącą dłonią wkładam go do ust, ale zaraz go z nich wyjmuję i zaczynam miętosić w palcach. Chęć zapalenia ściska mnie za gardło, dławi. Ale nie chcę temu ulec, nie mogę. Bo jeśli się to stanie, jeśli się złamię i zapalę tego pieprzonego papierosa,

przegram już wszystko. Tylko to mi pozostało z ładu, który wokół siebie budowałam.

Nim docieram na przystanek, owijająca tytoń bibułka w kilku miejscach się rozpada. Wyrzucam papierosa do pobliskiego kosza na śmieci, chcę sięgnąć po kolejnego, ale wtedy słyszę, że podjeżdża tramwaj. Wbiegam na przystanek, okazuje się, że to mój numer. Wskakuję do wagonu. Nie ma wolnych miejsc siedzących, przeciskam się więc na tył pojazdu i staję przy oknie. Zapatruję się w mijany krajobraz.

Słońce powoli chyli się ku horyzontowi, zachodząc za budynki, pozostawia na nich różowofioletowe poświaty. Szare, obdrapane kamienice wyglądają jak posiniaczone. Jakby stanowiły nieme świadectwo tego, co się dzieje w ich wnętrzach.

Myślę o tym, że krzywda i cierpienie zbyt rzadko wydostają się poza ich mury. Zupełnie jakby surowe ściany pochłaniały rozgrywające się w domowych zaciszach dramaty niczym gąbka, chłoneły je całą swoją powierzchnią i zatrzymywały w sobie. Pilnowały, aby świat niczego nie ujrzał.

Te myśli tak bardzo mnie pochłaniają, że o mały włos nie przegapiam swojego przystanku. W ostatniej chwili zrywam się z miejsca i wyskakuję z tramwaju. Zatrząskujące się za mną drzwi przycinają mi torebkę. Kierowca to zauważył i łaskawie je otwiera, ale wymachuje przy tym niezadowolony rękoma. Nic mnie nie obchodzi jego frustracja, ignoruję go i ruszam w stronę swojego bloku.

Gdy przemierzam kolejne metry, coraz trudniej jest mi się oprzeć wrażeniu, że ponownie zebrały się nade mną ciemne chmury. Że lada chwila spadnie z nich rześisty deszcz. Że Fortuna zapragnie więcej i przejdzie on w grad. Grad, który znów zrobi ze mnie miazgę.

Muszę się z tego wykaraskać, przekonuję sama siebie. Jestem przecież silna. Jestem. Udowodniłam to już kiedyś,

mogę zrobić to po raz drugi.

Przed wszystkim muszę wreszcie znaleźć nową pracę, myślę, wchodząc do mieszkania. Witają mnie dźwięki muzyki płynącej z radia, zapach smażonej cebulki i gruby, rozweselony głos Konrada.

- Stary, od miesiąca pracuję na stendbaju - słyszę, kiedy zdejmuję buty w przedpokoju. W tej samej chwili przypominam sobie, że znowu nie wypłaciłam pieniędzy z bankomatu, zalegam z czynszem. To do mnie niepodobne, zwykle płacę na czas. - Ale udało mi się zamknąć trzy największe projekty, które miałem na warsztacie. I to przed deadline'em. Muszę w ten weekend się zresetować, więc nie ciśnij mi tu kitu, że nie dasz rady w sobotę wyskoczyć do Loki - ciągnie dalej kolega. Nie słyszę nikogo poza nim, więc pewnie rozmawia przez telefon.

Już mam ruszyć do swojego pokoju, kiedy oblewa mnie zimny pot.

Konrad nie upominał się o kasę, więc może już uregulowałam należność. Chłopak przez chwilę nic nie mówi, w powstałej ciszy cebulka skwierczy głośniej. I co? Nie pamiętam tego? Tego, że zapłaciłam w tym miesiącu za pokój?!

- Pieprzyć to - znów słyszę Konrada - esajment może poczekać do poniedziałku...

Przemykam korytarzem do swojego pokoju, pospiesznie zamykam za sobą drzwi. Wygrzebuję z torebki komórkę i loguję się na konto bankowe. Jeśli się okaże, że jednak wypłaciłam kasę na mieszkanie...

Kurwa, tracę połączenie wi-fi, zanim udaje mi się podejrzeć saldo. Podłączam się do internetu i od nowa próbuję wejść do systemu bankowego. Kiedy logowanie się przeciąga, unoszę głowę i przesuwam wzrokiem po ścianach pokoju. Choć mieszkam tu już blisko trzy lata, nagle czuję się w tym pomieszczeniu bardzo obco. Znam to uczucie, to nic innego jak brak kontroli nad tym, co się dookoła mnie dzieje. Najgorsza

jest myśl, że pozbawiono mnie tej kontroli dawno temu, jeszcze zanim mogłam w ogóle zabrać głos w tej sprawie.

Udaje mi się wreszcie zalogować do banku, widniejące na pierwszej stronie saldo wskazuje na to, że nie wypłaciłam pieniędzy na opłacenie czynszu. Mimo to wchodzę w historię ostatnich transakcji. Sprawdzam jedną po drugiej, żadna mnie nie zaskakuje, okazuje się, że wszystkie pamiętam.

Opadam ciężko na łóżko, wracam myślami do wizyty u psychiatry. Dociera do mnie, że zależy mi na tym, jak postrzega mnie Niemczyk, bardziej niż powinno. W tej samej chwili w moim umyśle pojawiają się obrazy, których nie potrafię do niczego konkretnego przypasować. Jest dużo krwi, podobnie jak wtedy, kiedy roztrzaskałam głowę matki o kuchenne szafki. Moje ręce są nią zaplamione po łokcie. Zaczynam myśleć o Jowicie. Czy to jej krew?

Potrząsam głową, aby usunąć te koszmarne wizje, ale one nie znikają. Tkwią we mnie, jakby zacumowane na stałe. Czy to oznacza, że jednak ja to zrobiłam?

Unoszę dłoń i bardzo powoli sięgam po torebkę. Otwieram ją niepewnie, a potem zaczynam przeglądać jej zawartość. Szukam czegoś, co da mi odpowiedź. Zakrwawionego noża albo innego przedmiotu, którym można zabić. Torebka nie jest duża, jednak grzebię w niej, jakby nie miała dna. Po chwili odrzucam ją od siebie i łapię się oburącz za głowę. W torebce oczywiście niczego podejrzanego nie ma. Za to przypominają mi się krzyki. W głowie dudni mi od rozpaczliwego wołania o ratunek. Charkot, jakby krtań wzywającego pomocy człowieka nagle straciła drożność, przyprawia mnie o dreszcze. Nie jestem pewna, czym są te dźwięki, czy to wspomnienie konającej matki, czy może jednak ostatnie tchnienia Jowity. A może to tylko odgłosy zza ściany, które często słyszę. Norbert znów oglądał wczoraj coś obrzydliwego, a mnie zapodziały się gdzieś

korki do uszu. Za to głosy siedzą mojej w głowie tak mocno, że aż pulsuje mi od nich w skroniach.

Kiedy wydaje mi się, że dłużej nie wytrzymam, zrywam się z łóżka i dosłownie w biegu wyjmuję z szafki czysty ręcznik. Pędzę z nim do łazienki, wskakuję pod prysznic. Pragnę, aby strumień ciepłej, wręcz gorącej wody mnie oczyścił. Moje ciało i umysł. Najlepiej, gdyby uzdrowił także moją duszę.

*

Budzę się koło południa. Spałam blisko piętnaście godzin, nic więc dziwnego, że boli mnie głowa. Ogarniam się odrobinę i postanawiam pójść dziś do pośredniaka. Muszę zacząć pracować, bez zatrudnienia utonę.

Ofert jest całkiem sporo, ale boję się każdej z nich. Przeraża mnie perspektywa wejścia w nowe środowisko. Nie mam jednak innej możliwości jak coś z nich wybrać. Ślęczę nad nimi cały weekend i wciąż do żadnej nie jestem przekonana. Podjęcie pracy w jakimś sklepie wydaje się najbardziej rozsądne, przynajmniej obowiązki, które by do mnie należały, niewiele różniłyby się od tego, co robiłam do tej pory. Tylko na jakich ludzi tam trafię?

W poniedziałek znów wybieram się do biura w nadziei, że pojawiły się jakieś nowe etaty. Nie wiem, na co liczę, przecież te oferty są podobne, a o innej pracy niż ekspedientka tak naprawdę wcale nie myślę. Chyba czekam na cud, że któraś z ofert przemówi do mnie: „weź mnie, będzie dobrze”.

Kiedy wracam do domu, Konrad znów kręci się po kuchni. Tym razem zmywa naczynia. Przypominam sobie, że nadal zalegam z czynszem. Chcę przemknąć niezauważona do pokoju, ale nie udaje mi się.

- Hejka! - Konrad wychyla się z kuchni.
- Cześć - odzywam się - jak tam?

- Nieźle, nieźle, powoli do przodu - mówi Konrad, wychodząc na korytarz. - Ostatnio byłem zawalony robotą, ale przez weekend udało mi się trochę odstresować. Wyskoczyliśmy z kumplem do klubu. A jak tam u ciebie?

Zawsze zadziwia mnie to, z jaką łatwością współlokator przełącza się z trybu korposzczura na tryb normalnego faceta, z którym można zwyczajnie pogadać. Kiedy rozmawia z kimś ze swojej branży, bezustannie używa tego głupkowatego slangu, który aż trzeszczy w uszach, ale kiedy odzywa się do mnie, jego słownictwo jest bez zarzutu.

- U mnie dobrze. Generalnie w porządku - odpowiadam najogólniej, jak to możliwe.

- Słuchaj, Sabina...

- Kurde, Konrad, wybacz - wchodzę koledze w słowo, pewna, że właśnie o to chce mnie zagadnąć - ale dziś znów zapomniałam wypłacić kasę z bankomatu. Nie wiem, gdzie ja mam ostatnio głowę...

Pierwsza aplikacja deprotiksolu, przesłuchanie na policji, śmierć Jowity, odwiedziny mieszkania, w którym się wychowałam, poszukiwanie pracy... Właśnie tam.

- Jutro już na pewno zapłacę za pokój, słowo.

- Jasne, spoko - rzuca Konrad. - Nic się nie dzieje.

- Dzięki. - Posyłam koledze uśmiech, wdzięczna za jego wyrozumiałość.

- Chciałem powiedzieć, że była tu dziś policja...

Natychmiast przenoszę wzrok na Konrada, przekonana, że musiałam się przesłyszeć.

- Nie wnikiem, w co się wplątałaś - chłopak unosi dłonie w obronnym geście - ale, cholera, wiesz, że wynajmuję pokoje na czarno, nie chcę mieć problemów.

- No pewnie, jasna spawa - zapewniam. Dłonie zaczynają mi się trząść tak bardzo, że muszę skrzyżować ręce na piersi, aby

nie było tego widać. - Czego chcieli? - dopytuję, siląc się na swobodny ton.

- Porozmawiać z tobą - mówi współlokator. - Nic więcej nie mówili. Na szczęście słowem nie wspomnieli o wynajmie ani...

- Nie sądzę, aby ich to obchodziło, myślę, że możesz być spokojny - oznajmiam, bo zakładam, że chodzi o tych samych funkcjonariuszy, którzy przesłuchiwali mnie w zeszłym tygodniu. I o tę samą sprawę. Tylko po co tu przyszli? Mają jakieś nowe dowody? Dowody przeciwko... mnie?

- Okej, tak jak mówiłem, nie wnikam, w co się wplątałaś, ale proszę cię, nie wspominaj im o tym wynajmie.

- Jasna sprawa - zapewniam ponownie.

- Prosimi, abys się do nich odezwała. - Konrad wyjmuje z kieszeni spodni wizytówkę i mi ją podaje. - Zaznaczyli, że to pilne.

Biorę niewielki kartonik, ręce wciąż mi drżą, mam nadzieję, że Konrad tego nie zauważa. Chwilę później zaszywam się w swoim pokoju. Siadam na łóżku i gapię się na wizytówkę z personaliami komisarza Witolda Miłka. Nie zadzwonili, tylko do mnie przyszli. Zachodzę w głowę, co to może oznaczać.

Sięgam po komórkę tkwiącą w torebce. Kiedy tylko wybudzam wyświetlacz telefonu, pryham pod nosem, bo okazuje się, że owszem, dzwoniли, i to kilka razy. Gdybym odebrała, najpewniej nie przyszliby tutaj i tym samym nie zaniepokoiliby Konrada, wyrzucam sobie. Wtedy mój wzrok pada na inną wizytówkę, tę, która wypadła z torebki, kiedy wyjmowałam z niej komórkę.

Przymykam oczy, wciągam przy tym głośno powietrze do płuc. Nie rozmawiałam z Niemczykiem od czwartku, ale jego ostatnie słowa wciąż wyraźnie dźwięczą mi w głowie. Lekarz nie może wiedzieć, kim jestem, powtarzam sobie, ale wątpliwości nie znikają, bo w gruncie rzeczy nie mam pojęcia, jak sytuacja dokładnie wygląda. Założyłam, że psychiatra nie

ma wglądu do mojej dawnej dokumentacji medycznej i wie tyle, ile sama mu o sobie powiedziałam. Jednak prawda może być zupełnie inna.

Zgniatam wizytówkę w dłoni. Zmieniłam psychiatrę tylko dlatego, że musiałam to zrobić. Początkowo było mi to bardzo nie w smak, czułam się bezpieczna pod opieką doktora Banaszewskiego. Ale po pewnym czasie dostrzegłam w tej sytuacji szansę, której nigdy wcześniej nie dostałam – nie musiałam przyznawać się do tego, co zrobiłam. Pojawiła się perspektywa, że nowy specjalista, pod którego skrzydła miałam trafić, nie będzie patrzył na mnie przez pryzmat dokonanej przeze mnie zbrodni. Nie będzie widział we mnie matkobójczyni, ale ofiarę. Skrzywdzone dziecko, którym byłam. I którym na zawsze pozostałam.

Uległam tej pokusie, tej możliwości startu z czystym kontem. Teraz może się okazać, że dałam się zwieść jedynie własnym wyobrażeniom. Doktor Banaszewski mógł przekazać Niemczykowi cały szereg informacji o mnie.

Dłuższą chwilę miętoszę wizytówkę w dłoni. Wreszcie przestaję, rozprostowuję ją. Jeśli Niemczyk wie o mnie więcej, niż sądziłam, już tego nie zmienię.

Chowam wizytówkę z powrotem do torebki. Psychiatra jest mi bezwzględnie potrzebny.

Przenoszę wzrok na telefon i spoglądam na tych kilka nieodebranych połączeń. Pochłonięta nawałem myśli i rozpatrywaniem ofert pracy, zupełnie nie słyszałam dzwoniącego telefonu...

Nagle ponownie wzbiera we mnie panika. A jeśli to znów one? Zaniki pamięci? Może zwyczajnie nie pamiętam, że telefon dzwonił? Może nawet doskonale go słyszałam, ale z premedytacją zignorowałam i właśnie tego momentu nie potrafię sobie przypomnieć?

Muszę przestać, nie mogę w każdej sytuacji doszukiwać się drugiego dna.

Biorę do ręki wizytówkę, którą chwilę temu przekazał mi Konrad, i porównuję numer na niej z numerem, który kilkakrotnie próbował się dziś ze mną skontaktować. To zupełnie niepotrzebne, wiem przecież, że to Miłek się do mnie dobijał.

Witold Miłek. Wpatruję się w wypisane na wizytówce personalia, kiedy nie ma już jak uciec przed wiedzą, że policja znów chce ze mną rozmawiać. Gapię się tak i gapię w te kilkanaście liter i nagle czuję się, jakby ktoś dał mi w twarz.

Policjant faktycznie kiedyś był rudy.

11.

Dzwoni moja komórka. Przenoszę na nią wzrok, to jego numer. Nie mogę się przemóc, aby sięgnąć po telefon. Teraz, kiedy zrozumiałam, że mam do czynienia z Witoldem Miłkiem nie po raz pierwszy w swoim życiu, jeszcze bardziej nie chcę z nim rozmawiać. Na samą myśl, że znów miałabym spojrzeć mu w oczy, mdli mnie.

Nie chcę też, aby policjant znów tutaj przyszedł. Nie potrzebuję dodatkowych kłopotów, podejrzliwości Konrada czy ściągnięcia mu na głowę skarbówki. Chociaż nie sądzę, aby faktycznie mogło do tego ostatniego dojść, Miłka z pewnością nie interesują takie banały jak drobne oszustwa podatkowe. Komisarz zajmuje się znacznie poważniejszymi sprawami i tak było od samego początku. Pociągało go okrucieństwo, a gdzie można być bliżej okrucieństwa niż w służbach mundurowych? Wcale mnie nie dziwi, że postarał się o przejście z prewencji do wydziału kryminalnego.

Komórka nie przestaje dzwonić, Miłek jest uparty. Wyciągam po telefon roztrzęsioną dłoń, wmawiając sobie, że rozmowa telefoniczna załatwi sprawę. Że jeśli teraz się przemogę, nie będę musiała już nigdy go oglądać.

- Halo. - Odbieram połączenie.

- Dzień dobry. Komisarz Witold Miłek z policji. Czy rozmawiam z Sabiną Gancarek?

- T-tak - dukam.

- Świetnie. Wreszcie udało mi się panią złapać. Dzwoniłem kilka razy.

- Byłam zajęta - rzucam pierwsze, co przychodzi mi na myśl.

- Mhm, rozumiem. A zamierzała pani odzwonić? Kolega przekazał pani wiadomość, że chcemy się z panią skontaktować? Podał wizytówkę?

- Tak, tak. Tak - mówię, jakby każde z tych pytań wymagało oddzielnej odpowiedzi.

- A, to świetnie - komentuje. - Chciałbym z panią ponownie porozmawiać - oznajmia.

- W j-jakiej s-sprawie? - Słowa z trudem wydostają się z mojego gardła.

- Pojawiła się kwestia, którą chciałbym z panią przedyskutować. Może pani dziś podejść na komendę?

- Nie bardzo... - Szukam na szybko wymówki, bo naprawdę nie mam ochoty znów spotkać się z Miłkiem. Więcej, ja sobie tego kompletnie nie wyobrażam. - Nie ma mnie w mieście - mówię w końcu.

- O! - Komisarz wydaje się z siebie okrzyk zdziwienia. - A gdzie pani jest, jeśli można spytać?

- Na wyjeździe. U rodziny - wypalam mało wiarygodnie.

- Jeśli pani woli, wyślemy oficjalne zawiadomienie z nakazem stawienia się na przesłuchanie. Ale może pani po prostu pojawić się na komendzie, wtedy będzie nam wszystkim łatwiej.

Robi mi się gorąco od środka, skóra na moich dłoniach natychmiast wilgotnieje, w głowie huczy tylko jedno pytanie: czy to oznacza, że coś na mnie mają? Kiedy ostatnio byłam na komendzie, pobrano ode mnie odciski palców, policja jest też w posiadaniu mojego DNA. Oddycham ciężko przez nos. Zastanawiam się, jaki mam właściwie wybór.

- Jak pani woli, aby to wyglądało? - naciska policjant.

Milczę, szukam furtki, która pozwoliłaby mi bezpiecznie uciec.

- Dobrze, skoro tak pani woli, nie ma sprawy. Wyślemy...

- Przyjdę - wchodzę komisarzowi w słowo.

- Wiedziałem, że się dogadamy. - Oczyma wyobraźni widzę, jak usta wyginają mu się w tryumfalnym uśmiechu. - Kiedy wraca pani z... wyjazdu? - dopytuje tonem, który utwierdza mnie w przekonaniu, że mężczyzna ani przez chwilę nie dał się nabrać na moje kłamstwo.

- Jutro. - Wzdycham.

- Zapraszam na godzinę dziewiątą.

- Dobrze. Przyjdę - zapewniam ponownie, a kiedy tylko się rozłączam, atakuje mnie fala mdłości tak silna, że od razu podrywam się z miejsca. Biegnę do łazienki jak oszalała, a i tak ledwo zdążam na czas. Padam na klęczki obok sedesu i niemal natychmiast seria silnych torsji opróżnia mój żołądek do cna. Jego treść z chlupotem trafia do muszli.

Ocieram usta grzbietem dłoni, zamykając kłapę i mając przy tym nadzieję, że moi współlokatorzy niczego nie słyszeli. Konrad zwykle przesiaduje ze słuchawkami na uszach, a Norberta chyba nie ma w mieszkaniu.

Siadam na podłodze obok toalety, opieram się plecami o ścianę. Obejmuję głowę obiema rękoma, starając się uspokoić, ale to tak kurewsko trudne.

Nie wiem, jak długo siedzę na tej podłodze. Podnoszę się z niej dopiero, gdy opada mi głowa. Musiałam przysnąć. To zaskakujące, bo zwykle w silnym stresie dokucza mi bezsenność, ale jestem też potwornie zmęczona.

Spuszczam wodę w toalecie, a potem ochlapuję twarz wodą i myję zęby. Patrzą na swoje odbicie w lustrze i jedyne, co czuję, to pogarda. Nie rozumiem, jak mogłam dopuścić do tego wszystkiego. Najłatwiej jest obwiniać o poniesioną porażkę Jowitę, ale przecież to bzdura. Po tym, jak mnie zwolniła, powinnam była natychmiast podjąć inną pracę albo przynajmniej spróbować, a nuż bym sobie poradziła. Ale czy uchroniłoby mnie to przed klęską? Może klęska jest mi

zwyczajnie pisana. Trudno mi w tej chwili uwolnić się od myśli, że Miłek wiele lat temu tę klęskę przypieczętował.

Jestem kłębowiskiem bólu, strachu i odrzucenia. Przez jeden krótki moment wydawało mi się, że jest inaczej. Że zostawiłam za sobą te rujnujące mnie od lat wytwory rodzicielskiej nienawiści. Ale nie, to wcale nie tak. Wystarczyło się potknąć, aby się o tym przekonać.

Ukształtowała mnie nienawiść. To nią od zawsze byłam karmiona. Od tego nie ma ucieczki.

Wypluwam miętową pianę i płuczę usta. Zastygam w tej pozycji, dłonie zaciskam na umywalce. Jak mam kochać swoje życie? Wiem, że tylko takie mam, ale ileż można znieść? Ile bólu może unieść jeden człowiek?

Wycieram twarz ręcznikiem, mocno, agresywnie, tak, żeby szorstki materiał drapał. Przystaję dopiero, kiedy skóra zaczyna mnie nieprzyjemnie szczypać.

Czego, do diabła, ten facet ode mnie chce? Zostawił mnie wtedy, a teraz wrócił, aby mnie dręczyć? Przecież ja nie mam nic wspólnego ze śmiercią Jowity, nie zabiłam jej! A może to po prostu czubek? Prawdziwi zwyrodnialcy potrafią doskonale się maskować i jeszcze lepiej wtapiać w społeczeństwo. Wiem o tym aż za dobrze.

I jeszcze ten nowy lek... Co, jeśli wyrządza mi on więcej szkód niż pożytku? Stres związany z jego przyjmowaniem, zawroty głowy po aplikacji, a teraz jeszcze coś jest nie tak z moją pamięcią!

Chryste, w co ja się wpakowałam!

- Sabina?! - Ktoś wali do drzwi łazienki. Rozpoznaję głos Konrada. - Co ty tyle tam robisz?

- Już wychodzę! - odkrzykuję, odwieszając ręcznik na miejsce. Zerkam jeszcze raz na siebie w lustrze. Na pierwszy rzut oka wyglądam normalnie. Z zewnątrz nikt nie zauważy, że coś jest nie tak. To, co dzieje się w naszych duszach, należy

tylko do nas. A im więcej bólu w życiu zaznajemy, tym grubszym pancerzem się okrywamy. Zdarza się, że ten twardy, sprawiający wrażenie niezawodnego pancerz jednak pęka. A wtedy jest już za późno. Dobrze wiem, o czym mówię, bo moja pokrywa już raz się rozleciała.

- Sabina, do cholery, sraczkę masz czy co? - woła Konrad.

Odrywam wzrok od swojego odbicia w lustrze i wychodzę z łazienki.

- Sorry - rzucam w stronę kolegi. - Straciłam poczucie czasu.

- Spoko - odpowiada - ale muszę do klopa! I to natychmiast!
- Chłopak wślizguje się do łazienki i zamyka za sobą drzwi, a ja wracam do swojego pokoju.

Kładę się na łóżku, przez moment leżę na plecach i gapię się w sufit. Za chwilę jednak przekręcam się na bok i zwijam w ciasny kłębek. Ta sprawa mnie nie dotyczy, myślę, zaciskając mocno powieki. Nie chcę kontaktować się z policją, a już najbardziej nie mam ochoty rozmawiać z Miłkiem.

Obracam się na drugi bok i sięgam po telefon. Podłączam się do sieci wi-fi i... zaczynam wyszukiwać informacje o morderstwie Jowity. Przetrzaśnięłam internet już wcześniej, ale po telefonie od Miłka nie mam innego wyjścia jak zrobić to ponownie. Może w mediach krążą nowe fakty, o których nie mam pojęcia. Nie chcę, aby komisarz mnie czymś zaskoczył. Przynajmniej w ten sposób mogę przygotować się na jutrzejsze spotkanie z nim.

Znajduję serię artykułów. Nie pada w nich nazwisko, ale skrót „Jowita N.” jest wystarczająco sugestywny, abym miała pewność, że chodzi o moją byłą zwierzchniczkę. Czytam kilka dłuższych notek prasowych i z każdą kolejną jestem coraz bardziej rozczarowana. Wygląda na to, że policja nie zdradza opinii publicznej żadnych szczegółów sprawy. Najwyraźniej nie doszło też do jakichkolwiek przecieków. Artykuły są jałowe,

wręcz nudne. Wciąż jedyne, co wiem, to to, że Jowita nie żyje, a jej ciało znaleziono na zapleczu sklepu. Nie mam nawet pojęcia, jak zginęła.

Odkładałam telefon, na nowo zwijając się w kłębek. Chwilę bronie się przed napływającymi wspomnieniami, ale w końcu zamykam oczy i znów mam jedenaście, dwanaście lat. Trudny nastoletni czas, kiedy otaczający świat zdaje się niemożliwym do przetrwania chaosem. Wszystko jest nie tak, nic nie idzie po myśli, jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko tobie. Dorastanie, hormony, zmiany. Nic z tego mnie nie dotyczyło. Życie toczyło się jakby obok. Mój świat ograniczał się do domu, który wcale nie był domem, i szkoły, która była tylko szkołą. Ograniczał się do próby przetrwania.

Nigdy nie byłam wybitną uczennicą, otrzymywałam raczej przeciętne stopnie. Dopóki bez problemów przechodziłam z klasy do klasy, nie było najgorzej. Jednak kiedy dostałam kolejną jedynkę z klasówki i stało się jasne, że nie uda mi się uniknąć zagrożenia z matematyki, omal nie zwymiotowałam na szkolną ławkę. Cały dzień modliłam się o to, aby wydarzyło się coś, dzięki czemu nie będę musiała wracać do domu. Nic się jednak nie stało, a zabrakło mi odwagi, aby wpakować się pod koła rozpędzonego samochodu czy skoczyć z balkonu sali gimnastycznej. Musiałam wrócić do murów, które nazywały się moim domem, i poprosić mamę o podpis pod otrzymaną oceną niedostateczną. Gdybym tego nie zrobiła, prędzej czy później mama zostałaby wezwana do szkoły, a tego to już moja rodzicielka w ogóle nie tolerowała.

*

- Ty głupia, tępą suką - ryczy mama, wrywając mi sprawdzian z ręki.

Jej głos jest lodowaty, przesywa mnie do szpiku kości, tak bardzo inny, niż gdy mówi spokojnie. Wtedy jest niski i jedwabście gładki, taki, jakiego chciałabym słuchać bez końca. Jej oczy iskrzą się furją, tęczówki o pięknej miodowej barwie, które nigdy nie chciały spojrzeć na mnie z miłością, tak często wpatrują się we mnie z pogardą.

- Nic nie potrafisz, tępy bachorze! Największe głąby łapią dwójki i trójki, ale nie ty! - wrzeszczy, wymachując kartką, a ja błagałam w duchu, aby papier się nie rozerwał. Wtedy będę mieć kolejne kłopoty. - Jak nie przejdiesz do następnej klasy, to ci żreć nie dam! Kapujesz, tumanie?!

- Poprawię to, mamó - szepczę.

- Co tam bełkoczesz?! - krzyczy w odpowiedzi. RzUCA przy tym we mnie podpisaną klasówką.

Przykucam i trzęsącymi się dłońmi zbieram kartki z podłogi. Wciąż martwię się o ich stan, kiedy czuję szarpnięcie. Głowa w jednej chwili odskakuje mi do tyłu, a skóra pod włosami zaczyna potwornie piec.

- Nie chcę słyszeć o żadnych kolejnych jedynkach, tępa strzało! - warczy mama, zaciskając mocniej dłoń na moich włosach. Łzy bólu napływają mi do oczu, ale wiem, że nie mogę się rozplakać. To rozjuszy ją jeszcze bardziej. Nie mogę do tego doprowadzić, w chwilach, kiedy mama nad sobą nie panuje, staje się kompletnie nieobliczalna. Po przekroczeniu pewnej granicy już nic nie jest w stanie jej zatrzymać. - Mam dość użerania się z tobą, rozumiesz, gówniaro?!

Puszcza mnie, ale robi to z taką siłą, że wpadam na ścianę. Odbijam się od niej i upadam na podłogę. Skóra głowy w miejscu, gdzie chwilę temu mama szarpała moje włosy, rwie, a po drugiej stronie tkanka pulsuje

przenikliwym bólem. Pewnie lada chwila pojawi się tam sporej wielkości guz.

To wcale nie moje pierwsze obrażenia i nawet nie najdotkliwsze, nazwałabym je nawet błahymi, ale coś we mnie pęka i zaczynam się mazać. Chlipię pod nosem, że chcę do taty.

- Ty skończona kretynko! - wrzeszczy mama. - Nie ma go tutaj przez ciebie! Rozumiesz?! Przez ciebie!

*

Wtedy nie rozumiałam jej słów. Dopiero wiele lat później miałam dowiedzieć się prawdy. Prawdy o moim ojcu. Prawdy o mojej matce. Prawdy, która zmieniła mnie na zawsze. Prawdy o nienawiści, z której zostałam ulepiona.

Wspomnienia trzymają mnie w swoich objęciach jeszcze długo, a sen przychodzi dopiero późną nocą.

12.

Witold Miłek się postarzał. To oczywiste, minęło ponad dwadzieścia lat, od kiedy wcześniej go widziałam. Siedzę naprzeciw niego, zastanawiając się, czy mnie w ogóle pamięta. Szukam oznak, które zdradzałyby, że wie, kim jestem. Komisarz przegląda jakieś notatki, nie patrzy na mnie, więc mam utrudnione zadanie. To oczy są odzwierciedleniem naszej duszy. O ile całym naszym ciałem, naszym wyglądem zewnętrznym jesteśmy w stanie zatuszować to, co dzieje się wewnątrz nas, o tyle oczy zawsze zdradzają prawdę. Przyglądając się im uważnie, można dostrzec to, co z pozoru nieuchwytnie, to, o co nigdy nie podejrzewałoby się drugiego człowieka.

- Dziękuję, że wykazała się pani dobrą wolą i tutaj przyszła - mówi, nadal wpatrzony w papiery. - To z pewnością ułatwi procedurę.

Milczę. Aby tutaj przyjść, musiałam nafaszerować się lorazepamem. Nie wiem, czy powinnam go w ogóle brać w sytuacji, kiedy w moich żyłach krąży Deprotiksol, ale inaczej naprawdę nie dałabym rady.

- Dowiedzieliśmy się ciekawych rzeczy o pani - informuje Miłek, wreszcie zaszczycając mnie spojrzeniem.

Przez jedną krótką chwilę patrzymy sobie prosto w oczy, potem speszona uciekam wzrokiem w bok. Jednak ten moment wystarcza, abym zyskała pewność, że policjant mnie nie pamięta.

Pewnie, że nie, pry cham w duchu, jakby zawiedziona. Pewnie nie powinnam się tak czuć, bo kto by tam pamiętał o małej, bezbronnej dziewczynce, której przerażenie nigdy nie robiło na nikim wrażenia? Nie wierzę, że nie było widoczne na

mojej dziecięcej twarzy. Ale prawda jest okrutna – ludzie nie chcą pomagać innym bez poklasku. Nawet funkcjonariusze służb, które zostały powołane właśnie w celu niesienia pomocy. To naprawdę nie działa. Współczesnemu społeczeństwu brak empatii i bezinteresownej troski o drugiego człowieka. Czy zdarzają się wyjątki? Ja się z takimi nie spotkałam.

Siedzący przede mną policjant też takim wyjątkiem nie był.

– Może jest coś, o czym chciałaby mi pani powiedzieć? – pyta komisarz.

Unoszę brwi skonsternowana, kompletnie nie wiem, czego ten mężczyzna tak właściwie ode mnie oczekuje. Przyznania się do winy? Potwierdzenia, że zabiłam kierowniczkę sklepu, bo wylała mnie z roboty?

– Pani Sabino, porozmawiajmy – odzywa się, kiedy milczę.

– Nie bardzo rozumiem pańskie pytanie... – oświadczam tonem, który ocieka lękiem.

Policjant rozkłada bezradnie ręce, jakby nie miał wpływu na to, co się stało z moim życiem.

Tak bardzo się myli. Mógł mi wtedy pomóc, mógł zmienić moje losy, wyrwać mnie z wyniszczającego mnie dzień po dniu matczynego jadu.

Mógł, ale nie zrobił tego. W pewnym sensie przez niego znów tu jestem.

– Widzi pani, rozmawialiśmy z pani współlokatorami – oznajmia Miłek – i żaden z nich nie był w stanie potwierdzić, że środowy wieczór spędziła pani w mieszkaniu. Tak, zgadza się, chodzi o pani alibi, sprawdziliśmy je – dodaje.

Chwytam się kwestii w zaistniałych okolicznościach zupełnie nieistotnej: dlaczego Konrad mi o tym nie powiedział?

A może powiedział, myślę, tylko tego... nie pamiętam?

– Żaden z nich nie słyszał nawet, kiedy wróciła pani do mieszkania – dorzuca jeszcze policjant.

Wiem, że zrobił to, aby wyrzucić na mnie presję, może nawet wzbudzić mój lęk, chce mnie zmusić do mówienia. Ale ja naprawdę nie wiem, co mogłabym jeszcze powiedzieć. Poza tym bardzo nie lubię, kiedy ktoś się bawi moim strachem. A komisarz to właśnie robi. Czy sprawia mu to przyjemność? Może zawsze sprawiało? Dlatego zaciągnął się do policji. Dlatego też mi wtedy nie pomógł. Zostawił na pastwę losu dziecko, które błagało o pomoc.

- Pani Sabino, najprościej mówiąc... - podejmuje funkcjonariusz, kiedy cisza z mojej strony się przedłuża - nie ma pani alibi na czas zgonu Jowity Niedbalec.

Zaciskam zęby, kiedy to słyszę. Nie jestem tępą, wbrew temu, co sądziła o mnie mama, przynajmniej nie na tyle, abym nie potrafiła zrozumieć tego, co Miłek chce mi w tej chwili powiedzieć. Jego postawa wytrąca mnie z równowagi tak bardzo, że pozwalam mu uchwycić swój wzrok. Chcę natychmiast nim uciec, ale to, co widzę w oczach mężczyzny, sprawia, że zamieram. Hardość i determinacja wyraźnie malują się w jego tęczęwkach, ale poza tym oczy komisarza pałają... szczerością. I to taką, której przecież nie może przejawiać ktoś, kto kiedyś porzucił w potrzebie zgnębione dziecko.

- Ustosunkuje się pani jakoś do tego? - domaga się.

- Nic na to nie poradzę - dukam z przebłyskiem niewygodnej myśli, że może jednak źle oceniłam tego człowieka. Miłek był wtedy młody i niedoświadczony, a moja mama potrafiła świetnie grać. Zwodziła otoczenie z zaskakującą łatwością. - Byłam wtedy w mieszkaniu - zapewniam, bo tylko tyle mogę zrobić.

- Cały wieczór? - pyta takim tonem, jakby robił to po raz pierwszy.

- Tak.

- No dobrze... - Komisarz wzdycha, ani na moment nie przestaje mi się przyglądać. Wciąż widzę w jego oczach tę

samą autentyczność. - Mam nadzieję, że jest pani ze mną szczerą, nie chciałbym przyłapać pani na kłamstwie.

Przygryzam dolną wargę, nic więcej nie mówiąc. Jak, do cholery, mam być szczerą, skoro... nie pamiętam? Nie pamiętam, że skrzywdziłam Jowitę.

- W porządku zostawmy to - odzywa się policjant. - Dziś chciałbym porozmawiać z panią o czymś innym.

- O czym? - wymyka mi się z ust.

- Była pani kiedyś... wolontariuszką?

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

13.

- Była pani kiedyś wolontariuszką. W Interwencyjnym Ośrodku Preadopcyjnym w Chorzowie - mówię, a oczy Sabiny robią się wielkie jak spodki.

Czekam chwilę, aby przytaknęła albo jakkolwiek zareagowała na moje słowa, ale ona siedzi w milczeniu. Mówię więc dalej:

- Do tego typu placówek trafiają noworodki i niemowlęta z rodzin przemocowych. Do niedawna taki ośrodek istniał jedynie w Otwocku, ale ze względu na dużą liczbę przypadków wymagających interwencji instytucji tego typu powstał drugi u nas, na Górnym Śląsku.

Dziewczyna nadal nic nie mówi. Spuszcza jedynie wzrok i za nic nie pozwala mi go uchwycić.

- Dlaczego zrezygnowała pani z wolontariatu? - pytam, zanim przyjdzie jej do głowy zaprzeczać. Nie mam zamiaru bawić się w uniki. Informacje są potwierdzone, Sabina pojawiała się w Chorzowie regularnie, aby nieodpłatnie wspierać działanie placówki. Magda to wyszukała. Trop nie jest może mocny, ale w sytuacji, gdy nazwisko Gancarek wypływa po raz drugi, nie do zbagatelizowania. - Co takiego się wydarzyło, że przestała pani pomagać w ośrodku? - ponawiam pytanie.

- Po prostu tak wyszło - rzuca Sabina krótko.

Unoszę brwi zdumiony, spodziewałem się nieco większej wylewności ze strony dziewczyny. Nie mogę powiedzieć, że

ostatnio była gadułą, ale wydawało mi się, że chce współpracować. Właśnie - wydawało mi się. Może jednak Magda słusznie stwierdziła, że Gancarek gra na zwłokę i stąd to jej z pozoru przychylnie zachowanie.

A teraz co? Poczula, że pali jej się grunt pod nogami? Dlatego mówi coraz mniej? I czy to oznacza, że... trafiliśmy?

- Po prostu tak wyszło - powtarzam słowa przesłuchiwanej.
- Czyli jak dokładnie wyszło?

- Byłam wolontariuszką - odpowiada dziewczyna powściągliwie. - A to oznacza, że mogłam zrezygnować z pracy w ośrodku w każdej chwili. Właśnie tym charakteryzuje się wolontariat.

- Zgadza się - przytakuję. - Ale dlaczego zrezygnowała pani akurat wtedy? - Czyli jakieś dwa miesiące temu, według informacji zdobytych przez Magdę.

- Wszystko się kiedyś kończy. - Gancarek nadal próbuje mnie zbyć.

- Dlaczego pani wolontariat w Chorzowie skończył się akurat wtedy? - nie odpuszczam.

Sabina wzdycha. Odnoszę wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale z jej ust nie pada ani jedno słowo.

- Co takiego się wydarzyło, że pani zrezygnowała? - dociekam dalej.

- Nic. Po prostu zaczęło brakować mi czasu - odburkuje wreszcie dziewczyna, a mnie zapala się w głowie kolejna czerwona lampka. Magda zwykle ma dobrego nosa, może i teraz powinienem zaufać jej intuicji?

- Doprawdy? - dopytuję. - Od dłuższego czasu jest pani bezrobotna - przypominam przesłuchiwanej. - Więc skąd ten nagły natłok zajęć?

- Dojazd kosztuje. - Tym razem muszę przyznać, że zdobyła się na bardzo sensowną odpowiedź. - Ośrodek nie finansował

biletów.

- W porządku - pasuję w tej sytuacji. - Bywa pani na Stawikach?

Gancarek unosi na mnie wzrok, oczy ma jeszcze większe, niż kiedy zagadnąłem ją o wolontariat w chorzowskim ośrodku. Posyłam jej ponagląjące spojrzenie i czekam, aż odpowie na moje pytanie. Wreszcie kręci przecząco głową.

- Ale orientuje się pani, gdzie to jest? - pytam, choć nie wierzę, że mieszkanka Sosnowca mogłaby tego nie wiedzieć.

- No tak - przyznaje. - Chyba każdy wie, gdzie są Stawiki.

- Ano właśnie. Na granicy Sosnowca i Katowic, tuż przy Szopienicach. I nigdy pani tam nie była?

- No nie... - Dziewczyna znów kręci głową. - Jakoś nigdy się nie złożyło.

Przyglądam się jej badawczo. Spodziewałem się, że wzmianka o Stawikach zrobi na Sabinie większe wrażenie, że wzbudzi w niej coś więcej niż tylko konsternację. Tymczasem, owszem, Gancarek wygląda na zaskoczoną tematem rozmowy, ale nic poza tym. Chyba że tak świetnie potrafi maskować swoje reakcje - tego nie wiem.

Marszczę czoło niezadowolony. Jest dokładnie tak samo jak przy przesłuchaniu w sprawie Jowity Niedbalec, trudno mi dziewczynę rozszyfrować. Nie wiem, czy patrzę na świetny kamuflaż, czy po prostu mam przed sobą nie tę osobę, której szukam.

- Z całym szacunkiem - odzywam się - ale wydaje mi się to mało prawdopodobne.

- Ale co? - rzuca jakby zagubiona.

- To, że nigdy nie była pani na Stawikach.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle pan pyta mnie o Stawiki - oświadcza.

- Zna pani Katarzynę Jaworską? - atakuję z innej beczki.

Dziewczyna po raz kolejny kręci głową. Znów wygląda na kompletnie skonsternowaną, z jej mowy ciała nadal nie potrafię wyczytać niczego więcej.

- Katarzyna Jaworska została potrącona przez tramwaj - informuję więc, jak się sprawy mają. - Niestety nie przeżyła tego zdarzenia. A stało się to w okolicy Stawików właśnie. Tuż przy przystanku tramwajowym Szopienice Stawiki.

Reakcja Sabiny nadal jest nijaka, dziewczyna nic nie mówi, nie porusza się, nawet dłonie, które ostatnio naprzemiennie zaciskała i rozluźniała, teraz ma nieruchome. Tylko na mnie patrzy, a z jej spojrzenia wycziera wielka dezorientacja.

Postanawiam trochę podkoloryzować sytuację.

- Świadcowie widzieli, jak ktoś wepchnął Jaworską na tory - mówię, choć w rzeczywistości nie mam żadnych świadków tego zdarzenia, a motorniczy nie widział nic oprócz nagle pojawiającej się na torach postaci, zanim całkowicie skupił się na hamowaniu. - Zrobiła to kobieta, miała długie brązowe włosy, przynajmniej na takie wyglądały w nocy. Dość drobna, nie za wysoka...

Wbijam w siedzącą przede mną dziewczynę wymowne spojrzenie, aby nie miała wątpliwości, co sugeruję. Gancarek nadal jednak wybiera milczenie.

- Czy to była pani?

- Ja? - Oczy Sabiny wytrzeszczają się nienaturalnie.

- Rysopis, choć dość oględny, to jednak pasuje do pani... - stwierdzam i wreszcie obok konsternacji na twarzy przesłuchiwanej pojawia się coś więcej. Niepokój.

- Dlaczego to miałabym być j-ja? - pyta. Zauważam, że drżą jej wargi, kiedy mówi.

- Liczyłem, że tego właśnie dowiem się od pani.

Gancarek zaczyna dygotać. Wciska dłonie między uda, aby to ukryć, ale to nic nie daje, bo trzęsą się jej ramiona. Szybciej też oddycha, a jej policzki przybierają coraz ciemniejszą barwę. Nie przestaje przyglądać się dziewczynie, wreszcie dzieje się coś, co będę mógł wykorzystać. Koncentruję się na tym, aby wyciągnąć z jej reakcji jak najwięcej.

- Śmiało - odzywam się, kiedy nie padają żadne słowa - niech mi pani opowie, co się tam wydarzyło.

- Boże... - Z ust przesłuchiwanej wydobywa się cichy jęk.

- Co pani powiedziała? - dopytuję, niepewny, co to stęknienie ma oznaczać.

- Co tu się dzieje? - słyszę w odpowiedzi. - Boże jedyny... - mamrocze dalej pod nosem, wydaje mi się, że do samej siebie. Sprawia przy tym wrażenie, jakby kompletnie zapomniała, gdzie jest i z kim rozmawia.

- Wepchnęła pani Katarzynę Jaworską pod tramwaj? - nacieram, aby nie zmarnować okazji. Jeśli dziewczyna właśnie się łamie, muszę to wykorzystać. - Wepchnęłaś Jaworską pod tramwaj? - Rezygnuję z form grzecznościowych, żeby pytanie mocniej wybrzmiało. - Zrobiłaś to? Popchnęłaś ją na tory?

- Ja jej nawet nie znam! - wybucha Gancarek.

- Czyżby? - pry cham, nie dając się jej zwieść. Czuję, że jestem już blisko, aby ją złamać.

- Skąd miałabym ją, do diabła, znać?! - syczy dziewczyna.

- Z Interwencyjnego Ośrodka Preadopcyjnego - podpowiadam.

- Nie znam wszystkich, którzy tam pracowali. A tym bardziej wolontariuszy, wielu się ich tam przewija!

- Katarzyna Jaworska nie była wolontariuszką. Ani nie pracowała w ośrodku.

Mierzymy się wzrokiem, szukam w oczach Sabiny potwierdzenia, że jest osobą, której poszukujemy. Tymczasem

Gancarek udaje się zapanować nad swoim ciałem, jej ramiona przestają się trząść, teraz na powrót drżą jej tylko wargi.

- To kim? - pyta niemal szeptem.

- Kobieta, której odebrano trzymiesięczną córeczkę - oznajmiam.

Dziewczyna bierze głęboki wdech, po czym ukrywa twarz w dłoniach. Nasłuchuję uważnie - nie płacze. To dobrze, nie rozkleiła się całkowicie. Jest jednak na tyle przejęta, że zaraz się przyzna.

- Proszę posłuchać... - odzywam się, na nowo wracając do stosownej etykiety. - Najlepiej będzie, zwłaszcza dla pani, jeśli powie pani po prostu prawdę. Wystarczy opowiedzieć, co się tam wydarzyło.

- Nie znam żadnej Katarzyny Jaworskiej - mówi, wciąż ukrywając twarz w dłoniach. Kręci przy tym zawzięcie głową. - Naprawdę nie wiem, kim jest ta kobieta.

- A gdzie pani była w sobotę wieczorem?

- W domu.

- Cały wieczór?

- Tak, cały wieczór - zapewnia.

- Nigdzie pani nie wychodziła? - Nie odpuszczam.

- Nie, naprawdę nie - mówi, teraz już kręcąc głową jak opętana. - Jestem bezrobotna, nie mam przyjaciół, nie stać mnie na wieczorne włóczenie się po mieście... - Głos się jej załamuje. - Nawet gdybym chciała wyjść, to nie miałabym dokąd.

Przypatruję się dziewczynie z poczuciem pewnego zawodu. Jeszcze chwilę temu byłem przekonany, że zaraz usłyszę przyznanie się do winy. Wygląda na to, że dałem się zwieść perspektywie szybkiego sukcesu.

- Naprawdę nie znam tej kobiety - odzywa się znów Sabina.

- Nie wiem, kim jest Katarzyna Jaworska.

14.

Wracam do swojego biurka może nie zniechęcony, ale na pewno przytłoczony obrotem spraw. Dwie mieszkanki Sosnowca straciły życie i to na mnie spoczywa obowiązek znalezienia odpowiedzi na krążące wokół ich losu pytania. A ja stoję w miejscu.

- No i co? - zagaduje Magda, kiedy tylko opadam na swój fotel. Słyszę ciekawość w jej głosie, Mikulska zawsze trzyma rękę na pulsie i wie, co się dzieje na komendzie. To najbardziej ambitny człowiek, jakiego znam. Lubię z nią pracować.

- Nic. - Pocieram oczy palcami. - Jedno wielkie gówno.

- No a ta Gancarek?

- Nie ma podstaw, aby ją o cokolwiek oskarżyć. Ani o morderstwo Niedbalec, ani tym bardziej o śmierć Jaworskiej.

- Do niczego się nie przyznała? - dopytuje aspirantka.

Unoszę spojrzenie na koleżankę. Policjantka jest dwa lata starsza ode mnie, ale wygląda bardzo młodo. Gdybym jej nie znał, dałbym sobie rękę uciąć, że nie przekroczyła jeszcze czterdziestki. Jej stale związane w koński ogon włosy sięgają łopatek, są czarne jak smoła, a cywilne ubranie sprawia, że mało kto poprawnie odgadłby jej profesję. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie pociąga mnie ta kobieta.

- Nie. Niczego nie chlapnęła - oznajmiam. Wiele bym dał, aby zyskać pewność, że tropię faktycznego sprawcę, a nie zajmuję się dręczeniem niewinnej osoby.

- Poczekajmy na wyniki badań laboratoryjnych - mówi Magda. - Na zapleczu sklepu znaleziono mnóstwo śladów, nie wierzę, że sprawca niczego po sobie nie zostawił.

- Pytanie, czy udało się te ślady zabezpieczyć. Wiesz o tym, że nie zawsze jest to takie oczywiste.

- Od kiedy jesteś takim pesymistą? - śmieje się policjantka. - Zawsze widzisz szklanę do połowy pełną, a teraz co? - prycha. - Ja tam wierzę, że mamy te ślady.

- Oby tak właśnie było.

- A materiał porównawczy mamy już w bazie. - Magda nawiązuje do Sabiny.

- Tyle że dziewczyna pracowała w tym sklepie - przypominam. - Jej odciski palców na zapleczu nie będą niczym niezwykłym. A już na pewno żadnym kluczowym dowodem. - Wzdycham ciężko.

Magda ma rację, zawsze widzę szklanę do połowy pełną, jednak teraz jest inaczej. Podświadomie czuję, że tym razem nie będzie łatwo dotrzeć do prawdy.

- Ale naskórek na ciele ofiary to już mocny dowód - zauważa aspirantka.

- Owszem - przytakuje, bo rzeczywiście, gdyby udało się potwierdzić obecność materiału genetycznego Gancarek na przykład za paznokciami kierowniczkę sklepu, mielibyśmy mocną podstawę oskarżenia.

- Jowity Niedbalec albo Katarzyny Jaworskiej - dorzuca koleżanka.

Cmokam nieprzekonany, bo przecież Jaworska zginęła na torach tramwajowych. Do wiosny już niedaleko, ale wciąż chodzimy grubo ubrani, więc nawet gdyby doszło do szarpaniny między kobietą a sprawcą, jest bardzo duże prawdopodobieństwo, że nie pozostawiłoby to trwałych śladów, które moglibyśmy zabezpieczyć. Zakładając oczywiście, że Jaworska nie zginęła w wyniku wypadku ani nie targnęła się na własne życie.

- Nie wiem, czy powinniśmy te dwie sprawy łączyć ze sobą - wyrzucam wreszcie myśl, która zaprzęta mi głowę, odkąd Magda poczęstowała mnie rewelacją potencjalnie pozwalającą powiązać Sabinę Gancarek z Katarzyną Jaworską. - Nic przecież nie wskazuje na to, żeby zmarłe kobiety się znały albo miały ze sobą cokolwiek wspólnego.

- Jasne - zgadza się ze mną Magda. - Tyle że naszym spoiwem nie jest relacja między nimi dwiema, ale Sabina Gancarek.

Przenoszę wzrok na policjantkę. Z jej twarzy bije znajoma determinacja i hardość, dziś towarzyszy im także przekonanie, że to, co mówi, jest słuszne.

Wzdycham, bo wcale nie podzielałam pewności koleżanki. Górny Śląsk to rozległa aglomeracja z licznymi sąsiadującymi ze sobą miastami, ale jednak daleko jej do wielomilionowej metropolii, więc pewne zbiegi okoliczności po prostu się przytrafiają. Łańcuch wzajemnych powiązań często jest bardzo ciasny.

- Tego także nie możemy być pewni - rzucam. - Podejrzenia co do Gancarek nie są wcale większe niż wobec innych osób, choćby męża Jowity Niedbalec. A Jaworska, z tego, co udało się nam ustalić, miała w ostatnim czasie kilku partnerów i bardziej przekonuje mnie możliwość, że za jej śmiercią stoi któryś z nich. Nie możemy też wykluczyć zwykłego wypadku. Jaworska miała ponad pół promila alkoholu we krwi, może po prostu weszła na tory nie w pełni świadoma tego, co robi, i to w najgorszym momencie z możliwych - przypominam Magdzie.

Koleżanka wydyma usta, jakby się głęboko się nad czymś zastanawiała.

- Czuję, że to ona - stwierdza po chwili. - Ma w sobie coś... mrocznego.

- Przeczucie to za mało - odpowiadam, choć z ostatnim stwierdzeniem policjantki trudno się nie zgodzić. Sabina

Gancarek rzeczywiście ma w sobie pewien mrok, zauważyłem to już podczas pierwszej rozmowy z nią. - Potrzebujemy dowodów.

SABINA

15.

Katarzyna Jaworska, Katarzyna Jaworska, Katarzyna Jaworska – powtarzam w kółko, usiłując przypomnieć sobie tę kobietę. A może Kasia? Kasia Jaworska. Tak też pamięć nie podsuwa mi nic konkretnego. Do jasnej cholery, jeśli ją faktycznie znam, muszę cokolwiek o niej pamiętać!

W głowie mi wręcz huczy, w uszach szumi. Pocieram mocno powieki, tak, że aż boli. Muszę zadzwonić do mojego lekarza.

Wyszarpuję z torebki komórkę, potem szukam wizytówki. Wpada mi w ręce paczka papierosów, wyciągam jednego i zamykam go w dłoni, jakby był dla mnie ostatnią deską ratunku. Wreszcie znajduję pomietaną wizytówkę i bez dalszego namysłu wystukuję numer do lekarza. Przykładam telefon do ucha, wolną ręką nerwowo miętoszę papierosa.

- Dzień dobry, pani Sabino. - Doktor zgłasza się po kilku sygnałach. Jak zwykle mówi spokojnie, a jego głos przybiera serdeczny, niemal przyjacielski ton. W jednej chwili wyzbywam się niepewności, jego życzliwość nadal jest jak kojący balsam na moje zszargane nerwy. - W czym mogę pomóc? - pyta.

- Muszę z panem porozmawiać - wyrzucam z siebie szybko.
- Naprawdę muszę!

- Co się dzieje? - Głos Niemczyka natychmiast poważnieje. - Pojawiły się jakieś nowe dolegliwości?

- Tak! To znaczy nie. Chodzi o to samo, ale... - płaczę się. Biorę głębszy oddech i oznajmiam: - Chyba nie pamiętam więcej, niż myślałam.

- A-aha - bąka przeciągle. - Czyli dalej pani uważa, że dokuczają pani zaniki pamięci...?

- Tak. Tak właśnie sędzę.

- Hmm - zastanawia się lekarz. - A może pani opowiedzieć mi o tym dokładniej?

Kiwam głową, choć psychiatra mnie nie widzi.

- Znów pojawiło się coś, czego mogę nie pamiętać - odzywam się. - Sytuacja, która mi umknęła. Możliwe też, że nie pamiętam osób, które znam. Że nie mogę ich sobie przypomnieć. Że...

- Chyba lepiej będzie, jeśli się spotkamy - wchodzi mi w słowo doktor.

- O tak! To świetny pomysł - zgadzam się od razu.

- Zaraz mam lukę między kolejnymi pacjentami i planowałem wyskoczyć na szybki lunch - informuje Niemczyk.

- Dołączy pani do mnie?

- L-lunch? - dukam, zaskoczona propozycją.

- Przepraszam, jeśli zabrzmiało to niestosownie, po prostu wtedy będę miał czas, później mam umówionych pacjentów do samego wieczora...

- Jasne, rozumiem - wtrącam pospiesznie, obawiając się, że doktor może się rozmyślić. Spotkanie w cztery oczy może okazać się znacznie bardziej owocne niż rozmowa telefoniczna.

- Dokąd mam przyjść?

Niemczyk podaje mi adres lokalu, do którego się wybiera. Dziękuję mu, jestem naprawdę wdzięczna za jego gotowość do pomocy.

Kiedy połączenie zostaje zakończone, nadal trzymam telefon przy uchu. Lekarz wzbudza we mnie uczucia, na które nie ma miejsca w łączącej nas relacji. Jego życzliwość i ciepło otumaniają mnie, inteligencja i wykształcenie sprawiają, że nie

potrafię go nie podziwiać, a troska, którą mi okazuje, pozbawia mnie samokontroli. Czuję do tego faceta więcej, niż powinnam.

Zaciskam mocno wargi, zalewa mnie gorycz, bo przecież wiem, że to, co chodzi mi po głowie, nie ma najmniejszych szans się wydarzyć. To zwyczajnie niemożliwe. Jestem tylko pacjentką Niemczyka, ma takich dziesiątki.

Przymykam oczy i zatapiam się we wspomnieniach, które tylko czekały na chwilę, kiedy będą mogły mnie zaatakować. Mama szarpie mnie za włosy, a z jej ust sypią się wyzwiska. Są ciężkie, o nierównych, ostrych brzegach, każde z nich trafia głęboko i bezlitośnie rozszarpuje moją młodą, niewinną wówczas duszę. Rozgniała ją na miazgę. Wtedy jeszcze nie wiem, że już nigdy nie uda mi się poskładać jej na nowo.

Tamtego wieczoru było inaczej niż zwykle. Nie zwinęłam się w kłębek na sfatygowanej kanapie, która odkąd pamiętam, służyła mi za łóżko. Kilka dni wcześniej w szkole odbyło się spotkanie z dwiema bardzo sympatycznymi policjantkami, które mówiły o przemocy w rodzinie i wsparciu. Zapewniały, że pomoc czeka, jest na wyciągnięcie ręki. Nie miałam odwagi wyznać im, co dzieje się w moim domu, zresztą tego typu zwierzenia na forum publicznym i tak nie byłyby najlepszym pomysłem. Zapamiętałam za to numer na Niebieską Linie. Powtarzałam sobie w myślach ciąg cyfr, tak dla odwrócenia swojej uwagi, aby nie rozsypać się przy całej klasie, bandzie rozwyrzonych dzieciaków, które nigdy nie zaznały tego, co ja.

Tamtego wieczoru chwyciłam za telefon i wykręciłam numer. W momencie gdy pogodny kobiecy głos zgłosił się po drugiej stronie, mama mnie przyłapała. Wyrwała mi słuchawkę z ręki, a ja zaczęłam histerycznie wzywać pomocy. Chwilę później w mieszkaniu zjawił się patrol policji. Zamiast miłych, pełnych troski policjantek, które pamiętałam ze szkoły, pojawiła się dwójka młodych funkcjonariuszy. Wyglądali na zmęczonych, sprawiali wrażenie mało zainteresowanych interwencją, do

której zostali wezwani. Mimo to patrzyłam na nich jak na swoich wybawców, przez moment nawet spłynęło na mnie wszechogarniające uczucie ulgi, że mój koszmar dobiegł końca. Że właśnie przyszła pomoc, na którą tak długo czekałam.

Para funkcjonariuszy skupiła się na mamie, na mnie nikt nawet nie spojrział. Uwierzyli w opowieść o rozkapryszonej dziewczynce i... wyszli.

Jednym z nich był komisarz Miłek. Wtedy zapewne zaledwie aspirant, może nawet jedynie sierżant, młody i bezduszny. Człowiek, który miał szanse zatrzymać tę wyniszczającą mnie maszynę nienawiści. Ale nie zrobił tego. Nikt mnie nie uratował. Musiałam ratować się sama.

16.

Lokal, w którym umówiłam się z Niemczykiem, jest zatłoczony. Jasny, dość klasyczny wystrój sprawia przyjemne wrażenie, a unoszący się w powietrzu aromat świeżo mielonej kawy tylko je potęguje. Nie bywam w takich miejscach. Zwyczajnie mnie na to nie stać. Jadanie na mieście jest właściwie poza moim zasięgiem, przez co teraz pomimo panującej tu sympatycznej atmosfery czuję się skrępowana i przytłoczona nawałem nieznanym mi wcześniej bodźców.

Rozglądam się nerwowo po kawiarni i zaczynam żałować, że zgodziłam się na spotkanie w takim miejscu. Kiedy przychodzi mi przez myśl, aby po prostu stąd uciec, przy jednym ze stolików dostrzegam lekarza. Okazuje się, że on także mnie zauważył, i na odwrót jest już za późno. Podnosi się z miejsca i macha do mnie ręką.

Ruszam w jego kierunku na miękkich nogach. Stawiam kolejne kroki, ale niezdarnie, jakbym poruszała się ubrana w skafander kosmiczny. Mijam kolejne stoliki, starając się ich nie staranować, jednak i tak zahaczam o siedzące przy nich osoby. Mamroczę przeprosiny na lewo i prawo, zastanawiając się, co mi strzeliło do głowy, aby zgodzić się tutaj przyjść. Naprawdę nie myślę trzeźwo w towarzystwie Niemczyka. Świadomość, że ten na dodatek właśnie obserwuje, jak fajtłapowato ku niemu zmierzam, zupełnie pozbawia mnie wiary w siebie.

- Dzień dobry, pani Sabino! - mówi wesoło.

Mamroczę przywitanie, skrajnie onieśmielona sytuacją, a lekarz gestem dłoni zaprasza mnie do stolika. Zajmuję wolne miejsce, mężczyzna siada na krześle naprzeciw mnie.

- Pozwoliłem sobie zamówić już wodę, bo długo pani nie było i kelner zaczął mi się dziwnie przyglądać - oznajmia, śmiejąc się pogodnie.

Dopiero w tym momencie zdaję sobie sprawę, że się spóźniłam, i to najwyraźniej nie w granicach taktownego kwadransa. Otwieram usta, aby wydusić przeprosiny, ale Niemczyk mnie ubiega i pyta:

- Czego się pani napije?

- Wystarczy woda. - Wskazuję na dzbanek stojący na stole.

- Woda najzdrowsza - komentuje, napełniając szklanki. - Może najpierw zamówmy... - mówi, gdy przy naszym stoliku zjawia się kelner.

Przytakuję skinieniem głowy, a młody chłopak wręcza nam menu lunchowe. Wpatruję się w dania wypisane na karcie i z przerażeniem stwierdzam, że większości z propozycji nie znam. Nazwy brzmią dla mnie obco.

- Trudny wybór, prawda? - zagaja Niemczyk po dłuższej chwili.

- O tak, bardzo.

- Jeśli mogę coś polecić, to carpaccio z buraka mają wysmienite. Ale nie tylko, często tutaj jadam i właściwie jeszcze się nie zdarzyło, żeby mi nie smakowało.

Znów milcząco potakuję, nie odrywając przy tym wzroku od menu.

- Widzę, że ma pani głowę zajęętą czym innym...

- Niestety. - Wzdycham.

- Może weźmy więc to carpaccio z buraka? Jeśli nie spełni pani oczekiwań, będzie na kogo narzekać.

- Dobrze - zgadzam się, choć naprawdę nie mam pojęcia, co to za potrawa. Z opisu mogę jedynie wnioskować, że jest bez mięsa i zawiera buraki, które na szczęście moje kubki smakowe tolerują.

Niemczyk przywołuje kelnera skinięciem dłoni, po czym składa zamówienie. Kiedy znów zostajemy przy stoliku sami, mówi:

- Zjemy najpierw? Dania z lunchowego menu przynoszą bardzo szybko. Góra piętnaście, dwadzieścia minut.

- Dobrze, więc zjedzmy najpierw - zgadzam się, choć najchętniej przesłabym od razu do rzeczy. Jestem jednak tak onieśmielona sytuacją, że nie pozostaje mi nic innego jak się dopasować.

- Była pani tu kiedyś? - zagaduje lekarz.

- Nie, nigdy. - Próbuję się uśmiechnąć.

- Ja z kolei jestem tu bardzo często, bo mam niedaleko z gabinetu, a karmią bardzo dobrze.

- Przyjemne miejsce - stwierdzam, po czym Niemczyk dopytuje o kilka przyziemnych spraw.

Mówię mu między innymi, w której części miasta mieszkam i że jako mała dziewczynka nie miałam okazji bywać w Sosnowcu, choć przecież wychowywałam się w sąsiednich Mysłowicach. Psychiatra natomiast zdradza mi, że urodził się w Bytomiu, ale po rozpoczęciu praktyki lekarskiej przeniósł się do Katowic, a w Sosnowcu urzęduje dopiero od niespełna pięciu lat. Wygląda jednak na to, że zamierza osiąść tutaj na stałe, bo kupił na Sielcu apartament. Kiedy lekarz wypowiada nazwę dzielnicy, natychmiast przed oczami staje mi moja była przełożona.

- To tak jak Jowita - wymyka mi się z ust, zanim w ogóle zdążę to przemyśleć.

- Szefowa?

Zaciskam wargi, nie mając pojęcia, jak wycofać się z tej rozmowy.

- Przykra sprawa - mówi Niemczyk, a ja spoglądam na niego oniemiała. - Po gazety nie sięgam, ale teraz nie trzeba tego

robić, aby być na bieżąco. W sieci wszystko jest. Kiedy tylko przeczytałem o zamordowanej na zapleczu sklepu kobiecie, Jowicie N., od razu przyszło mi na myśl, że to może być ta Jowita.

Wbijam wzrok w stojącą przede mną szklankę wody. Jasne, że powiedziałam Niemczykowi o tym, co mi zrobiła, to mój psychiatra. Tak samo oczywiste jest to, że lekarz orientuje się w tym, co dzieje się w mieście. A teraz pokojarzył fakty - sama się podłożyłam.

- Strasznie rzeczy dzieją się na świecie, czasem tak bardzo blisko nas - bąkam, chcąc jakoś odbiec od tematu Jowity. Wystarczy, że razem z tą drugą, Jaworską, nie opuszczają mojej głowy ani na chwilę. - A jak się panu mieszka na Sielcu?

Niemczyk zaczyna opowiadać o swoim mieszkaniu. Z ulgą przyjmuję to, że nie drąży kwestii Jowity, najwyraźniej wzmianka o kobiecie nie wzbudziła jego czujności. Muszę bardziej uważać na to, co mówię. Gdy lekarz wspomina, że mieszka sam, przy stoliku zjawia się kelner.

Zerkam podejrzliwie na talerz, który właśnie przede mną wylądował. Nie dość, że nie znam potrawy, to wcale nie jestem głodna. A nieumyślne poruszenie tematu Jowity sprzed chwili wciąż ścisza mnie za gardło. Jestem tak spięta, że nie wiem, czy zdołam w ogóle cokolwiek przełknąć.

Muszę jednak przyznać, że posiłek ładnie wygląda. Czerwień buraków kontrastuje z zielenią rukoli - chyba rukoli - i bielą sera pokruszonego na wierzchu. Jego konsystencja przypomina mi fetę, ale tego też nie jestem pewna. Na talerzu dostrzegam jeszcze nasiona słonecznika. Chyba prażone.

- Smacznego! - mówi lekarz, chwytając za sztućce.

- Smacznego - odpowiadam, idąc za jego przykładem.

Nie mam innego wyjścia jak wziąć kęs do ust. Przeżuwam go ostrożnie i okazuje się, że to wcześniej nieznanne mi połączenie smakowe jest bardzo ciekawe. Odpowiada mi. Przy drugim

kęsie żołądek przypomina, że ostatnio bardzo go zaniedbuję, i zaczynam jednak odczuwać głód.

- Pycha - mruczę.

Niemczyk reaguje śmiechem. Jest serdeczny i gdyby nie to, że wisi nade mną fatum niewyjaśnionych zbrodni, też bym się roześmiała. Wysiłam się na uśmiech, aby całkowicie nie zepsuć atmosfery.

- Cieszę się, że trafiłem w pani gust smakowy!

Znów tylko lekko się uśmiecham, po czym wracamy do jedzenia. Podczas posiłku mówię jeszcze mniej, niż gdy na niego czekaliśmy. Teraz głos zabiera właściwie tylko psychiatra. Coraz baczniej mi się przy tym przygląda. Zgaduję, że od razu wyczuł moje zdenerwowanie, pewnie sądził, że posiłkiem i zwyczajną rozmową zdoła mnie nieco uspokoić.

Kiedy kończymy jeść, zamawia dla nas kawę. Upijam łyk kremowego latte, czując, że nie wytrzymam ani minuty dłużej.

- Dziękuję, że znów zgodził się pan ze mną porozmawiać - podejmuję. - Doktorze...

- Grzesiek - wchodzi mi w słowo, a ja zamykam usta i unoszę na lekarza zaskoczone spojrzenie. - Po prostu Grzesiek - powtarza mężczyzna, uśmiechając się pogodnie.

Kompletnie nie wiem, jak powinnam się w tej sytuacji zachować. Przed chwilą lekarz próbował gawędzić ze mną jak ze starą znajomą, a teraz jeszcze bardziej skraca dystans między nami.

- Chyba że masz coś przeciwko... - rzuca pospiesznie, kiedy milczę.

- Nie, pewnie, że nie. - Wreszcie wydobywam z siebie głos.

- Uff! - Grzegorz, a właściwie Grzesiek, udaje, że ociera pot z czoła. - Już myślałem, że się wygłupiłem. - Znów się życzliwie śmieje.

Patrzę na niego skonsternowana. Wiele razy sobie wyobrażałam, że moja relacja z Niemczykiem wychodzi poza twarde ramy lekarz-pacjent, ale nie sądziłam, że jest na to choćby cień szansy. Przecież jesteśmy z zupełnie różnych światów, Grzegorz nie może okazywać mi niczego więcej poza profesjonalną troską. A jednak sporo mi dzisiaj o sobie opowiedział i przeszliśmy na poufalone „Grzesiek”.

- Dobrze, w takim razie do rzeczy. - Lekarz poważnieje. - Co się dzieje? Opowiedz mi.

Odkładałam na bok to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkadziesiąt minut.

- Boje się, że... - Wypuszczam ciężko powietrze z płuc, rozmasowując przy tym czoło, jakby miało mi to pomóc zebrać myśli. Muszę działać ostrożnie, zwłaszcza że chwilę wcześniej sama wywołałam postać Jowity. Nie mogę dopuścić do tego, aby lekarz połapał się w tym, co krąży mi po głowie. - Że naprawdę nie pamiętam wielu rzeczy. I nie chodzi mi o zacierające się z czasem wspomnienia, ale... o takie typowe zaniki pamięci. Luki.

Niemczyk przechyla głowę i lustruje mnie bardzo uważnym spojrzeniem.

- Myślę, że naprawdę część zdarzeń z mojego życia mogła mi umykać.

- Ale dlaczego tak sądzisz? - docieka lekarz. - Ciągłe to powtarzasz, widzę, że jesteś coraz bardziej o tym przekonana, ale Sabino, na jakiej podstawie?

Przygryzam wargę, zastanawiając się, jak wiarygodnie uargumentować to, co mi się wydaje. Czuję się, jakbym stąpała po polu minowym. To oczywiste, że nie mogę choćby zasugerować Niemczykowi, że podejrzewam się o morderstwo. Właściwie teraz to już o dwa morderstwa. Na pewno wiele bym straciła w oczach lekarza, ale na tym mogłoby się to nie skończyć. Nie mam pojęcia, jak Grzegorz zareagowałby na

takie wieści. Czy przyjąłby to ze spokojem i szukał ze mną rozwiązania, czy może jednak od razu poszedłby z tym na policję? Obowiązuje go tajemnica lekarska, nie wiem jednak, jak wyglądają zasady, gdy w grę wchodzi przestępstwo. Ani co podpowiedziałyby Niemczykowi jego wewnętrzna moralność. Niewykluczone, że jego priorytety uległyby zmianie i bez wahania złamałby ową tajemnicę lekarską.

Ale ja przecież nie mogłam zabić tych kobiet, zaraz odzywa się we mnie głos sprzeciwu. Katarzyny Jaworskiej nawet nie znam, do diabła!

- Sabino, powiedz, co cię gryzie - prosi Grzesiek, kiedy długo milczę.

- To... naprawdę skomplikowane.

- Rozumiem, ale spróbuj, inaczej nie będę w stanie ci pomóc - przekonuje.

- Mam podstawy sądzić, że pewnych rzeczy nie pamiętam - oświadczam. - To delikatne sprawy, o których, musisz mi wybaczyć, ale wolałabym nie mówić. Chciałabym za to wiedzieć... - Znów biorę głęboki oddech. - Chciałabym mieć pewność, że Deprotiksol powoduje tego typu problemy, albo definitywnie to wykluczyć.

- To nie takie proste. - Niemczyk się krzywi. - Obawiam się, że tak jednoznacznej odpowiedzi nie będę w stanie ci udzielić.

Zaciskam kurczowo usta, to dla mnie najgorsza opcja z możliwych.

- Rozmawiałem z innymi lekarzami zaangażowanymi w program - podejmuje Grzesiek. - W ofercie znajduje się kilka różnych leków psychoaktywnych, ale udało się dotrzeć do tych, którzy mają pod swoją opieką pacjentów przyjmujących Deprotiksol. I... - Mężczyzna rozkłada ręce w geście bezradności. - Nie spotkali się z tego typu symptomami.

- Czyli to niemożliwe? - Szukam jasnego potwierdzenia, choć przed chwilą Grzegorz uprzedził mnie, że może okazać się

to niemożliwe.

- Znaczy to tyle, że nie odnotowano do tej pory tego typu dolegliwości w grupie pacjentów, którzy ten lek przyjmują - tłumaczy Niemczyk. - Poza tym Deprotiksol przeszedł testy kliniczne, został dopuszczony do stosowania, zatem jest bezpieczny.

- Więc nie ma możliwości, aby powodował u mnie takie rzeczy? - Nie daję za wygraną.

Grzesiek głośno wypuszcza powietrze z płuc.

- Mamy do czynienia z substancją psychoaktywną, lekiem silnie działającym na ośrodkowy układ nerwowy. Mózg człowieka jest tak skomplikowaną strukturą, że wciąż nie udało nam się poznać wszystkich procesów, które w nim zachodzą. Do tego każdy organizm jest inny. Może zatem pojawić się przypadek, mam tutaj na myśli pacjenta, u którego dany lek zadziałał w niepożądany, nawet wcześniej nieodnotowany sposób.

Przyglądam się lekarzowi skonsternowana. Nikt nie musi mnie przekonywać, że jestem szczególna. Ile jest na świecie takich kobiet jak ja? Takich, które zabiły własną matkę? Czy moja głowa jest tak poturbowana, że nawet leki działają w niej inaczej, niż powinny?

- Jaka jest szansa na coś takiego? - Nadal nie odpuszczam.

- Niewielka, właściwie ułamek procenta. Sabino... - Lekarz wbija we mnie twarde spojrzenie. - Gdybyś powiedziała mi, o co dokładnie chodzi, na pewno byłbym w stanie bardziej ci pomóc.

Przez moment kusi mnie, aby tak właśnie zrobić, wyznać, czego się tak naprawdę obawiam.

- A gdybym zrezygnowała z leczenia? - rzucam zamiast tego.

Grzegorz posyła mi zaskoczone spojrzenie.

- Jak to? - pyta.

- Po prostu. Gdybym po prostu zrezygnowała z leczenia.

- Wiesz, że nie powinnaś. - Doktor kręci głową. - Cierpisz na silne zaburzenia depresyjno-lękowe, w twojej sytuacji przyjmowanie leków jest najlepszym, co możesz zrobić.

- Wiem - przytakuje. - Nie chodzi mi o całkowite zaprzestanie leczenia, ale o powrót do dawnych leków, tych, które brałam przed Deprotiksolem. Może po prostu byłoby lepiej, żebym z niego zrezygnowała.

- Leki długodziałające mają szereg korzyści, o których nie powinnaś zapominać. - Niemczyk ze spokojem zaczyna tłumaczyć mi kwestie, które omawiał ze mną już niejednokrotnie. - Nie tylko pozwalają na zmniejszenie częstotliwości przyjmowania leku, ale też utrzymują stabilny poziom substancji czynnej we krwi, a przez to nie dochodzi w organizmie do wahań stężenia leku, a to z kolei zwiększa szansę na osiągnięcie długotrwałej remisji objawów chorobowych.

Kiwam głową, bo naprawdę o tym wszystkim wiem, a Grzegorz wymienia kolejne korzyści stosowania nowej generacji medykamentów:

- Leki te umożliwiają też leczenie przy zastosowaniu możliwie najniższych dawek preparatu, co eliminuje ryzyko pojawienia się skutków ubocznych kuracji. Poza tym minimalizują one niebezpieczeństwa wynikające z nagłego odstawienia leku albo co gorsza z jego przedawkowania.

- Eliminuje ryzyko pojawienia się skutków ubocznych kuracji... - podchwytuję. - Więc nawet jeśli Deprotiksol może spowodować zaniki pamięci, to nie powinien, bo jest aplikowany w możliwie najniższej dawce.

Niemczyk znów ciężko wzdycha.

- W specyfikacji Deprotiksolu wymienione jest osłabienie pamięci jako jeden z możliwych skutków ubocznych - przypomina mi.

- Kręcimy się w kółko. - Teraz ja wzdycham.

- Niestety. Uprzedzałem, że tak będzie. Zwłaszcza że nie powiedziałeś mi, o co dokładnie chodzi. W tej sytuacji możemy sobie tak dywagować godzinami.

Przykładam dłoń do czoła i zaczynam je rozmasowywać. Nie mam pojęcia, co powinnam zrobić, aby zyskać jakąś pewność.

- Długie i żmudne badania najpierw laboratoryjne, a później kliniczne są po to, aby wyeliminować możliwe skutki uboczne - podejmuje znów lekarz. - Trwają one całe lata. Chodzi o to, aby leki wprowadzane do obiegu były nie tylko skuteczne, ale także bezpieczne.

- Co wobec tego z Mediatorem? - pytam, przypominając sobie, czego naczytałam się niedawno w internecie i do czego zdolne są niektóre firmy farmaceutyczne.

Grzesiek zastyga na chwilę w bezruchu. Moje pytanie go zaskoczyło, jego dezorientacja jest widoczna jak na dłoni.

Mediator to lek na cukrzycę wypuszczony na rynek przez francuski koncern farmaceutyczny dobrych parę lat temu. Rewelacyjny, gdyby nie to, że ten wspaniały lek okazał się podstępny zabójcą uszkadzającym serce. Według niektórych źródeł zebrał już dwa tysiące ofiar śmiertelnych, a liczba ta może okazać się znacznie większa, choć medykament został wycofany z obrotu. Wszystko dlatego, że choroby układu krążenia, prowadzące do niewydolności serca, mogą pojawić się nawet dopiero po kilku latach od zakończenia kuracji Mediatorem.

Jakim cudem nie zauważono tak poważnych skutków ubocznych leku, zanim trafił on do chorych? Nie zadaję tego pytania głośno, ale jestem pewna, że Grzesiek wie, że właśnie tego typu kwestie chodzą mi w tym momencie po głowie.

- To była głośna afera - przyznaje po chwili namysłu - która nigdy nie powinna była się wydarzyć. Coś zawiodło...

- Czy jest możliwe, że przeoczono tak poważne skutki uboczne?

Już gdy czytałam artykuły o Mediatorze i skandalu, który wybuchł wokół niego, zastanawiałam się, czy faktycznie mogło dojść do przypadkowej katastrofy. Na ile prawdopodobne jest to, że fantastyczne działanie badanego leku w jednej sferze, w tym przypadku Mediatora w diabetologii, zachwyciło, a może nawet zaślepiło naukowców tak bardzo, że nie dostrzeżono działań niepożądanych?

- Akurat w przypadku Mediatora doszło do celowego oszustwa - wyznaje Grzesiek, wzbudzając we mnie dodatkowy niepokój.

Oczywiście cieszę się, że lekarz jest ze mną szczery, w żadnym razie nie chciałabym być okłamywana, ale perspektywa umyślnej nieuczciwości osób, w których rękach spoczywa ludzkie zdrowie i życie, jest skrajnie zatrważająca. Mimowolnie zaczynam się zastanawiać, czy w przypadku Deprotiksolu na pewno wszystko jest w porządku. Jest tyle kuracji, które mogłyby uratować życie wielu ludzi, a jednak Narodowy Fundusz Zdrowia ich nie refunduje, co innego Deprotiksol i innego tego typu leki oferowane w ramach Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego.

- Niestety intencjonalnie zatuszowano działania uboczne Mediatora. Pytanie brzmi, jak dużo wiedzieli? Jaką faktycznie to oszustwo przybrało skalę? - brnie dalej Grzesiek. - Możliwe, że świadomie narazili tysiące ludzi, ale równie dobrze mogło być tak, że zaobserwowano jedynie niewielkie efekty niepożądane, ale były one na tyle małe, że popchnięto projekt dalej.

Przechodzą mnie kolejne dreszcze niepokoju, bo to, co mówi Niemczyk, pozbawia mnie pewności, że program, w którym biorę udział, nie ma drugiego dna. Afer nie brakuje, nieszczerych intencji również, podobnie jak zachłannych ludzi,

k którzy dla finansowego zysku są zdolni posunąć się bardzo daleko.

- Chcę wierzyć, że nie mieli pojęcia, jakie przyniesie to skutki - mówi jeszcze lekarz - że postanowiono je przemilczeć dla wyższego dobra.

- Tak można? - wtrącam.

- Nie. - Grzesiek kręci energicznie głową. - Coś takiego nie powinno mieć nigdy miejsca, ale nie zapominajmy, że naukowcy to też tylko ludzie, którym zdarzają się pomyłki i którzy czasem podejmują niewłaściwe decyzje. Na szczęście cała ta sprawa z Mediatorem jest jedynie niechlubnym wyjątkiem na karcie pięknej historii postępu biotechnologicznego.

- Często tak jest? - pytam, choć tak naprawdę chcę zapytać, czy coś takiego mogłoby się wydarzyć w przypadku Deprotiksolu. - Tak, że pojawiają się wyniki, które mogą zaniepokoić?

- Bardzo często - przyznaje lekarz. - Właściwie to norma. Stąd taki długi proces badawczy przed wprowadzeniem nowej substancji na rynek medyczny. Zanim trafi on do ludzi, przechodzi naprawdę bardzo długą drogę.

I nadal nie wiem, jak jest z Deprotiksolem. Niemczyk nie potrafi rozwiać moich wątpliwości. Możliwe, że nikt nie jest w stanie tego zrobić. Przychodzi mi na myśl, że w tej chwili nie pozostaje mi nic innego jak czekać na ustalenia Miłka. Wyczekiwać dnia, kiedy przyjdzie mnie aresztować.

Nie, zaraz, jest coś, co jeszcze mogę zrobić. Mogę wycofać się z nowej formy leczenia. Nie wróci to nikomu życia, ale może... zapobiegnie kolejnej tragedii.

- Spokojnie - mówi Grzesiek, delikatnie odciągając moje dłonie, które jak się okazuje, kurczowo zaciskam na włosach. Nawet nie pamiętam, kiedy zaczęłam to robić. - Wszystko jest w porządku. Tych kilka drobnych dolegliwości, które zaobserwowaliśmy u ciebie po aplikacji deprotiksolu, to nic

wielkiego. W zupełności mieszczą się w dopuszczalnych normach.

- A utrata p-pamięci? - pytam, jękając się. - To też nic wielkiego?

Niemczyk nadal obejmuje moje dłonie swoimi, zastanawia się.

- Wydaje mi się, że żyjesz ostatnio w bardzo wielkim stresie - stwierdza. - Możliwe, że to on jest winowajcą.

- A jeśli nie? Jeśli lepiej zrezygnować i... - Milknę, bo zastanawiam się, jak faktycznie by to wyglądało, gdybym się na to zdecydowała. Skąd wezmę pieniądze na wizyty u specjalisty i leki?

- Stan naszej pamięci zależy od ogólnej kondycji organizmu - przekonuje mnie dalej doktor - a ty jesteś spięta jak nigdy wcześniej. Naprawdę uważam, że nie powinnaś się wycofywać.

Przygryzam wargę. Nie mam żadnych dowodów na to, że Deprotiksol sieje spustoszenie w mojej głowie. Wiem za to, że bez prochów może być tylko gorzej.

- Sabino, wybacz, ale muszę wracać do gabinetu - informuje Niemczyk. - Przepraszam, że nie mogę w tej chwili poświęcić ci więcej czasu...

- Poświęcił mi pan już bardzo dużo swojego czasu.

- Pan? - Grzesiek obdarza mnie pogodnym uśmiechem.

- Poświęciłeś mi już wystarczająco dużo czasu - poprawiam się. - Dziękuję.

- Mam nadzieję, że choć odrobinę cię uspokoilem - mówi, spoglądając na mnie z troską.

- Tak, bardzo mi pomogłeś - kłamię.

- Odezwę się wieczorem - obiecuje, na co moje policzki zalewa rumieniec.

- Dobrze - szepczę tylko w odpowiedzi.

Grzegorz podnosi się z miejsca, ja także wstaję. Kiedy jesteśmy już na zewnątrz, lekarz kładzie dłonie na moich barkach i lekko je ściska.

- Odezwe się wieczorem - zapewnia mnie ponownie.

Kiwam w milczeniu głową, obawiając się, że tak naprawdę to wszystko tylko mi się śni. Z jednej strony bardzo bym chciała, aby tak właśnie było. Aby Miłek i jego podejrzenia wobec mnie były koszmarem, z którego zaraz się obudzę. Z drugiej...

Patrzę, jak Niemczyk odchodzi, i wiem, że dziś wydarzyło się coś, czego od dawna pragnęłam. Zbliżyliśmy się do siebie, już nie łączy nas tylko relacja pacjent-lekarz. Boli mnie, że wydarzyło się to w tak niewłaściwym czasie.

Zaciskam usta. Muszę się dowiedzieć, jak wygląda prawda, przekonać samą siebie o własnej niewinności. Kiedy Grzegorz znika z mojego pola widzenia, ruszam przed siebie. Nie mam innego wyjścia, muszę tam pójść.

Boję się. Mój strach jest iście fizycznym doznaniem. Czuję, jak pełźnie mi po plecach, wprawiając całe ciało w drżenie. Chwyta mnie bezlitośnie za gardło, jestem pewna, że w razie potrzeby nie zdołałam nawet wezwać pomocy. Mimo to idę przed siebie, powoli i niepewnie, płochliwym krokiem.

Teren spowija gęsty mrok, a siąpiący z nieba deszcz pogarsza widoczność. Naprawdę niewiele dostrzegam w tych warunkach, ale wiem przynajmniej, że mnie też trudno dostrzec. Trzęsę się nie tylko z buzującego we mnie niepokoju, ale także z zimna. Sałatka buraczana, którą z takim apetytem zjadłam podczas spotkania z Grzegorzem, teraz podchodzi mi do gardła.

Rozglądam się czujnie dookoła. Nie jest jeszcze zbyt późno, ale okolica wydaje się opustoszała. Z jednej strony mi to odpowiada, z drugiej niszczy resztki opanowania. Nigdy nie byłam ani waleczna, ani przesadnie odważna, dlatego teraz ta ciemna, zaniedbana okolica wytrąca mnie z równowagi bardziej, niż powinna. Stawiki nocą okazały się nieprzystępnym, wręcz mrocznym miejscem. Unosi się tutaj jakaś złowroga aura, którą odczuwam wszystkimi zmysłami.

Kiedy ktoś niespodziewanie pojawia się na chodniku, serce jeszcze mocniej trzepocze mi w piersi. Reaguję bardziej nerwowo, niżbym tego chciała. Wzdrygam się na tyle gwałtownie, że przechodzący obok mężczyzna ogląda się na mnie. Przypatruje mi się chwilę z podejrzliwością i irytacją zarazem, a mnie zaczyna dławić jeszcze większy strach. Natychmiast odrywam od nieznanomego spojrzenie i przyspieszam kroku, aby jak najszybciej zwiększyć dystans. Oglądam się kilkakrotnie przez ramię, aby ocenić sytuację. Na

szczęście facet wcale się mną nie interesuje, wkrótce w ogóle tracę go z oczu.

Idę dalej. Podążam wzdłuż torów tramwajowych linii numer piętnaście. Kiedy zostawiam za sobą przystanek Sosnowiec Brynica, robi się jeszcze mniej przyjemnie. O ile wcześniej obszar wydawał się pustawy, o tyle tutaj sprawia wrażenie już całkowicie wyludnionego.

Zerkam na boki. Teren do złudzenia przypomina pieprzone odludzie. Osiedlowe bloki zniknęły z pola widzenia kilka kroków temu, a zastąpiły je złowieszcze kontury roślinności, która jeszcze nie przebudziła się z zimowego letargu. Bezlistne konary drzew rzucają upiorne cienie, które kołyszają się na wietrze.

Oddycham głęboko i biorę się w garść. Próbuję sobie przypomnieć, czy kiedyś, kiedykolwiek, tutaj byłam. Albo przynajmniej czy odwiedziłam granicę między Katowicami a Sosnowcem kilka dni temu. Angażuję w to wszystkie swoje zmysły, nie chcę przegapić żadnego, nawet najmniejszego bodźca, który mógłby mi w tym pomóc. Wsłuchuję się w otaczające mnie dźwięki, chłonę unoszące się w powietrzu zapachy, zwracam uwagę na każdą nierówność podłoża pod obuwie. Choć jest cicho, wychwytyuję całe mnóstwo szelestów. Powietrze jest gęste od smogu, przesiąknięte tym wszystkim, czego nie powinny wdychać płuca. Nic szczególnie nie przykuwa mojej uwagi, ale nie poddaję się. Idę powoli przed siebie.

Cholera – syczę pod nosem, kiedy upływają kolejne minuty, a w głowie nie udaje mi się odnaleźć żadnych wspomnień związanych z tym miejscem. Ani ze Stawikami, ani z przystankami tramwajowymi linii numer piętnaście. Granica z Szopienicami wydaje mi się obca, choć mieszkam w Sosnowcu już ładnych parę lat.

Kolejna luka w pamięci? Czy po prostu nie mam z tym miejscem nic wspólnego?

Decyduję się zmienić nieco taktykę. Usiłuję wyobrazić sobie sytuację, że jednak kiedyś tutaj byłam, że z jakiegoś powodu pojawiłam się w okolicy Stawików. Próbuję usytuować siebie w tym miejscu, wymyślić potencjalną scenerię, wpasować się w to nieprzyjazne otoczenie.

Wreszcie podejmuję próbę wyobrażenia sobie, że... wpycham kogoś na tory tramwajowe.

Kobieta stoi na przystanku, jest sama. Zaraz ma nadjechać tramwaj. Czekam cierpliwie, aż do ostatniej chwili. Kiedy błyskają światła pojazdu, szybko wychodzę z okolicznych krzaków i z impetem popycham kobietę. Nie oceniam efektu, natychmiast uciekam.

Nie! Chce mi się wyć z rozpacz. Przecież ja nawet nie mam pojęcia, kim jest ta cała Jaworska! Nigdy wcześniej o niej nie słyszałam, nie wiedziałam, że jest związana z Interwencyjnym Ośrodkiem Preadopcyjnym, dopóki nie wspomniał o tym Miłek. Na Boga, nie wiedziałam nawet o jej istnieniu!

Ale czy na pewno tak właśnie jest? Muszę przyznać, że personalia tej kobiety brzmią dla mnie osobliwie znajomo, tak jakbym faktycznie gdzieś wcześniej się z nimi zetknęła, tyle że niczego konkretnego mi nie mówią. „Katarzyna” to popularne imię, przez moje życie przewinęło się z pewnością kilka Kasięk. „Jaworska” może nie jest najczęstszym nazwiskiem, ale brzmi tak zwyczajnie, że może sprawiać wrażenie znajomego.

Kim ona, do kurwy nędzy, jest?! I dlaczego miałabym chcieć ją skrzywdzić?!

Tu nic do siebie nie pasuje. JA nie pasuję do tego wszystkiego, a jednak jakiś cudem w tym tkwię. Ugrzęzłam nie wiadomo kiedy i zapadam się w tym chaosie coraz głębiej. Głębiej i głębiej. Czy w nim utonę?

Analizuję słowa komisarza.

Może rzeczywiście kiedyś zetknęłam się z tą kobietą w ośrodku? Jaworskiej odebrano córeczkę... Dziewczynka trafiła do placówki... Może nawet kiedyś się tym maleństwem zajmowałam? Może to jedno z tych dzieci, które szczególnie mocno poruszyły moje serce?

Dlaczego w takim razie nie pamiętam tej kobiety?

I dlaczego ja nie trafiłam do takiej placówki? Z mojej perspektywy to właśnie matka mnie zniszczyła. Zrujnowała bardziej niż facet, który mnie spłodził i przez którego to wszystko się zaczęło.

Kiedy myślę o moich rodzicach i o tym, co mi zrobili, stale gorejący we mnie ból wybucha z taką siłą, że zaczyna brakować mi tchu. Chwyta mnie za gardło, przygniata płuca. Ścisną z mocą, która jest w stanie zmiażdżyć kości.

Łapię powietrze urywanymi haustami, zataczając się coraz bardziej. Ciało zaczyna odmawiać mi posłuszeństwa, jestem nie tylko wyczerpana mentalnie, ale i fizycznie zaczynam opadać z sił. Płaczę.

Dlaczego niczego nie pamiętam?! - wołam w duchu z rozpaczą i mam ochotę wrzeszczeć z tej całej bezsilności na głos, ale to ponad moje siły.

Upadam.

Łąduję na czworakach, nie mogę się z nich podnieść. Zwieszam głowę między barki i mocno zaciskam mokre od łez powieki. Niczego nie czuję. Miałam nadzieję, że gdy pojawię się w tym miejscu, będę wiedzieć, czy Miłek słusznie mnie podejrzewa. Że instynktownie to poczuje. Że moja świadomość odzyska jasność, umysł dotrze do zatartych wspomnień. Ale nie. Nic podobnego się nie dzieje. Nic się nie wyjaśnia, nic nie nabiera sensu. Nie wychwytyuję żadnych bodźców, które pomogłyby mi odnaleźć się w rzeczywistości. Przyjście tutaj było bez sensu.

Otwieram oczy i nagle oślepia mnie jasne światło. W jednej chwili docierają do mnie również głośne, początkowo trudne do zidentyfikowania dźwięki. Z sekundy na sekundę stają się jednak wyraźniejsze i bardziej sugestywne. Wreszcie przerażające. Stukot metalu i jęk zardzewiałych szyn. Hałaśliwy dźwięk klaksonu.

Przekręcam głowę w prawo i widzę go. Tramwaj. Jest coraz bliżej mnie. Przenoszę wzrok na nierówne podłoże, na którym opierają się moje kołczyny. Tory. Klęczę na samym środku torów tramwajowych. Jeszcze jedno spojrzenie w bok i podrywam się na równe nogi. W panice się prostuję, ale niemal natychmiast tracę równowagę i ponownie upadam. Huk nadjeżdżającego tramwaju wdziera się w moje uszy i odbija bolesnym łoskotem o czułą tkankę. Zbieram się w sobie i ponownie się podnoszę. Uciekam najszybciej, jak potrafię. Pokonuję metalowe szyny, potykając się o jedną z nich.

Kiedy udaje mi się zniknąć z torowiska, zerkam przez ramię i widzę, że tramwaj stanął. Oddycham z ulgą, bo wygląda na to, że nawet gdybym nie zdołała uciec, motorniczy wyhamowałby w porę.

Z tramwaju wychodzą ludzie. Zmierzają w moją stronę, mówią coś. W popłochu zrywam się do ucieczki. O dziwo, sprawnie przebieram nogami i szybko oddalam się na bezpieczną odległość. Adrenalina dodaje mi sił i zanim dociera do mnie, że biegnę, mijam przystanek Sosnowiec Brynica. Kiedy orientuję się, że nikt za mną nie podąża, przystaję. Ocieram pot z czoła, ale skórę nadal mam nieprzyjemnie wilgotną. Uświadamiam sobie, że całe moje ubranie jest przemoczone.

Unoszę głowę, na twarz spadają mi duże, zimne krople. Deszcz. Pada deszcz. Zamykam oczy i biorę głęboki wdech. Było blisko, mogłam podzielić los kobiet, o których zabicie podejrzewa mnie Miłek.

18.

W mieszkaniu orientuję się, że nie mam telefonu. Szperam po kieszeniach kurtki w nadziei, że jednak zaraz go znajdę. Niestety, wygląda na to, że zgubiłam komórkę. Najpewniej wypadła mi gdzieś na Stawikach, może kiedy przewróciłam się na tory. Przez moment waham się, co robić. Chciałabym tam wrócić i poszukać telefonu, ale nie dość, że zrobiło się późno, to jest mi koszmarnie zimno. Jestem cała przemoczona, do tego brudna i potwornie zmęczona minionym dniem. Nie mam też żadnej pewności, że mój telefon właśnie tam jest. Mogłam go zgubić gdziekolwiek. Odpuszczam.

Biorę gorący prysznic i kładę się do łóżka, wciąż czując zimno na całym ciele. Noc mam niespokojną, budzę się, jeszcze zanim na zewnątrz zacznie świtać. Ledwo otwieram oczy, atakują mnie powidoki snu. Ponure, wręcz posępne wnętrza kościoła, dębowa trumna z zimnym, martwym ciałem w środku i rozdzierające ciszę wycie. Pogrzeb mojej matki.

Zastanawiam się, czy faktycznie tak bardzo bym rozpacziała, gdyby było mi dane pojawić się na jej pogrzebie. Nie wypuszczono mnie ze szpitala nawet na tę krótką chwilę ostatniego pożegnania, podobno byłam w zbyt kiepskim stanie. I to pewnie prawda, skoro przez kilka tygodni po tym, co zrobiłam, ani nie pamiętałam, ani nawet nie przyjmowałam do wiadomości, że mama bezpowrotnie odeszła. Długo mi się wydawało, że już zawsze będę za nią tęsknić. Jednak kilka lat temu doktor Banaszewski uświadomił mi, że żyję w błędzie. Owszem, mój ból ma swoje źródło w tęsknocie. Ale ta tęsknota nie ma nic wspólnego z osobą mojej matki. Tak naprawdę tęsknię za wyobrażeniem rodzica, które noszę w swojej głowie. Tęsknię za tym, czego nie dostałam, za miłością i akceptacją,

dokładnie za tym, czego pragnie każde dziecko, a czym nie zostałam obdarowana przez kobietę, która mnie urodziła.

Podnoszę się z łóżka. W pokoju panuje mrok, na zewnątrz wciąż nie wstało jeszcze słońce. Zaraz po śniadaniu wracam na Stawiki.

Przemierzam tę samą trasę co poprzedniego wieczoru, ale nigdzie nie znajduję swojej komórki. Kusi mnie, by wejść na tory w miejscu, w którym wczoraj się przewróciłam, aby sprawdzić je dokładniej, ale ostatecznie nie decyduję się na ten krok. Teraz, za dnia, jest tutaj całkiem sporo ludzi i na pewno moje zachowanie nie umknęłoby ich uwadze.

Lustruję tory przy przystanku jeszcze przez kilka minut, a potem staram się odtworzyć drogę swojej wczorajszej ucieczki przed pasażerami tramwaju, który o mało mnie nie rozjechał. Wszystko na nic. Mój telefon nie był najnowszy, ale nadal istnieje szansa, że ktoś go znalazł i sobie przywłaszczył. Albo rzeczywiście wypadł mi z kurtki w zupełnie innym miejscu.

Wzdycham, bo wygląda na to, że nie mam innego wyjścia jak zaopatrzyć się w nowy telefon. Rozglądam się za bankomatem, aby sprawdzić stan konta. Po opłaceniu czynszu i zrobieniu zakupów pewnie nie zostało mi zbyt wiele pieniędzy. Gdy w końcu znajduję bankomat, okazuje się, że jest tak, jak się spodziewałam – nie stać mnie na nową komórkę.

Zrezygnowana wracam do mieszkania. Przez całą drogę zastanawiam się, co robić. Telefon jest mi potrzebny, w obecnych czasach funkcjonowanie bez niego wydaje się niemal niemożliwe.

Przeglądam rzeczy w pokoju. Nie mam niczego cennego, co mogłabym sprzedać. Chyba będę zmuszona na własnej skórze się przekonać, jak to jest żyć bez komórki. Albo...

Idę do kuchni. Konrad wyjmuję właśnie z szafki czysty kubek.

- Cześć, jak leci? - zagaduję.

- O, hej! - wita się ze mną. - W porządku, w porządku. Robię kawę, chcesz? - pyta.

- Nie, dzięki.

Współlokator koncentruje się na parzeniu kawy, a ja w ciszy mu się przyglądam. Jeszcze moment biję się z własnymi myślami, w końcu się odzywam:

- Konrad...

- No?

- Nie miałbyś pożyczyć trochę kasy? - pytam.

Chłopak przenosi na mnie niepewne spojrzenie. Nigdy nie prosiłam go o tego typu przysługi.

- Zależy, ile ci trzeba - mówi ostrożnie.

- Kilka stów. Tylko że oddawałabym ci w ratach. Powiedzmy po stówce co miesiąc...?

- Kilka stów? - powtarza Konrad podejrzliwie. - Ile? Pięćset? Czy więcej?

- Tak, pięćset wystarczy - przytakuję, a pod wpływem badawczego wzroku kolegi dodaję: - Zgubiłam telefon. Muszę kupić nowy.

Z twarzy Konrada wreszcie znika napięcie, zamiast niego pojawia się nawet lekki uśmiech.

- To słabo - komentuje. - Ale wiesz, że za pięć stów to nie kupisz nic dobrego.

Wiem, myślę. Tyle że ja nie potrzebuję niczego dobrego, a jedynie czegoś, co będzie w miarę działać.

- Nie miałas komórki w abonamencie? - dopytuje kolega.

- Nie - odpowiadam, a Konrad unosi brwi zdziwiony.

- To może teraz o tym pomyśl - sugeruje. - Dostaniesz fajny telefon i pakiet do wykorzystania. Kto teraz używa telefonu na kartę! - Śmieje się.

- Pomyślę, pomyślę - mówię, choć kontrakt z operatorem nie wchodzi w grę. W mojej obecnej sytuacji w każdej chwili może zabraknąć mi środków na opłacenie zobowiązania. Wolę nie krępować się umowami, z których dotrzymaniem mogę mieć problem. - Ale te pięć stów i tak chciałabym pożyczyć. Będę ci bardzo wdzięczna.

- No dobra - zgadza się Konrad. - Muszę wyciągnąć kasę z bankomatu. Dam ci wieczorem, okej?

- Super, dzięki!

Milknjemy. Współlokator wraca do przygotowywania sobie kawy. Pija czarną z fusami, słodzi ją dwiema czubatymi łyżeczkami cukru.

- A wszystko gra? - zwraca się do mnie, kiedy miesza gęsty od fusów napar.

Unoszę ponownie wzrok na kolegę.

- Tak ogólnie pytam - wyjaśnia.

- Tak. Tak ogólnie to wszystko gra - rzucam jak najbardziej swobodnym tonem.

- Wiesz... - odzywa się ponownie, po czym upija łyk kawy i opiera się o kant wbudowanej w meble kuchenki indukcyjnej.

- Gliny znów tu były - oznajmia.

Cóż, najwyraźniej chcieli wiedzieć, czy byłam w domu, gdy zginęła Katarzyna Jaworska, myślę. Nie wezwali mnie ponownie na komendę, więc najprawdopodobniej chłopcy zeznali na moją korzyść.

- Co się dzieje? - podpytuje Konrad.

- Zmarła kierowniczka sklepu, w którym pracowałam - decyduję się wyjaśnić co nieco. Nie zaszkodzi go trochę uspokoić. - Więc wypytyują każdego, kto ją znał, standardowa procedura, kiedy okoliczności śmierci są niejasne. - Nie wspominam jednak o drugiej kobiecie.

- Chcesz powiedzieć, że ją zamordowano? - Chłopak wydaje się zaintrygowany.

- Możliwe. - Wzruszam ramionami, uzmysławiając sobie, że mogłam się porządnie wtopić. Nie mam przecież pojęcia, co Miłek powiedział Konradowi, ile mu faktycznie zdradził z toczących się postępowań. Mógł tylko zapytać, czy w konkretnych godzinach byłam w mieszkaniu, ale równie dobrze mógł uchylić rąbka tajemnicy, aby sprowokować chłopaka do mówienia.

Konrad jednak kiwa tylko głową, więc najpewniej komisarz niewiele mu powiedział. Wtedy w kuchni pojawia się też Norbert.

- Czołem, dzieciaki - rzuca, jakby dzieliły nas całe dekady, podczas gdy w rzeczywistości nie jestem pewna, czy przypadkiem Konrad nie jest od niego starszy. Ja na pewno liczę sobie więcej wiosen od jednego i drugiego. - Co tam nabroiłaś, Sabcia? - zwraca się do mnie skrajnie protekcjonalnym tonem.

Przenoszę na niego gniewne spojrzenie. Nie podoba mi się, jak zdrabnia moje imię, a robi to często i zawsze z jawną drwiną.

- No co jest, Sabcia? - Norbert nie zamierza mi dziś odpuścić. - Gliny się tobą interesują, co nawywijałaś? - Szczerzy zęby w bezczelnym uśmiechu.

- Wydedukuj, doktorku - rzucam, bo zachowanie kolegi dziś wyjątkowo szybko wyprowadza mnie z równowagi - skoro kryminalni sprawdzali moje alibi.

Norbert gapi się na mnie z rozdziawionymi ustami. Pierwszy raz udało mi się go zgasić. Nie mówiąc nic więcej, wychodzę z kuchni. Odprowadza mnie głośny śmiech Konrada.

19.

Kupuję smartfona, najtańszego na rynku, ale jednak smartfona. Nie mam komputera, tabletu ani innego sprzętu, na którym mogłabym korzystać z internetu. A przecież potrzebuję do niego dostępu.

W torebce znajduję wizytówkę Grzegorza, całe szczęście, że do tej pory jej nie wyrzuciłam. Wprowadzam numer lekarza do pamięci telefonu i dzwonię do niego.

- Słucham? - Niemczyk odzywa się po kilku sygnałach.

- Cześć, Grzegorz - mówię. - To znaczy Grzesiek - poprawiam się z nerwowym śmiechem. - Z tej strony Sabina...

- Sabina? - Lekarz wydaje się zaskoczony. - Co się stało? Co to za numer, z którego dzwonicz?

- Zgubiłam telefon. - Wzdycham. - I niestety musiałam zaopatrzyć się w nowy.

- O, to dlatego nie mogłem się z tobą skontaktować. Dzwoniłem przedwczoraj, wieczorem, tak jak obiecałem, ale ciągle byłaś poza zasięgiem.

Słowa Niemczyka mogą znaczyć tylko jedno - tak jak podejrzewałam, ktoś szybko znalazł mój telefon, pozbył się karty i przywłaszczył sobie aparat. Może nawet go sprzedał.

- Wczoraj też próbowałem się do ciebie dodzwonić... - dodaje mężczyzna.

- Chwilę mi zeszło zorganizowanie nowego telefonu. Wybacz.

- Jasne, rozumiem. Po prostu się... martwiłem.

Wyznanie lekarza sprawia, że spływa na mnie błogość. W moim życiu nie było zbyt wielu osób, które obchodziłyby mój los. A Grześka obchodzi. I to chyba nawet bardzo.

- Jak to się stało? - dopytuje Niemczyk. - Że zgubiłaś telefon?

- Naprawdę nie wiem... - mówię, a wtedy pojawia się znów ta nieznośna myśl, że może wcale nie zgubiłam telefonu, ale zostawiłam go gdzieś i po prostu tego nie pamiętam. - Ostatnio jestem dość... roztrzępana - przyznaję.

- No niestety nie da się ukryć. - Doktor wzdycha. - A co powiesz na kolację? Usiądziemy w jakimś miłym miejscu, porozmawiamy, może tego ci właśnie trzeba.

Nie wiem, co powiedzieć. Propozycja wydaje mi się tak nierealna, że mam wątpliwości, czy faktycznie przed chwilą wybrzmiała.

- Wybacz, jeśli za bardzo się zapędziłem...

- Nie, to nie tak. Bardzo bym chciała się spotkać i w ogóle... - Gubię się w tym, co chcę powiedzieć. Biorę głębszy oddech i mówię: - Po prostu zaskoczyło mnie twoje zaproszenie.

- Myślę, że pora przestać udawać, że nic się nie dzieje - oświadcza Grzegorz.

Milczę, bo zwyczajnie trudno mi uwierzyć w to, co słyszę.

- Długo nad tym myślałem. Nie będę ukrywał, że wolałbym nadal mieć cię pod swoją opieką, ale będzie lepiej, jeśli znajdziemy ci nowego lekarza prowadzącego.

- Znowu zmiana? - Przykładam dłoń do czoła i zaczynam natarczywie rozmasowywać skórę.

- Tak będzie najlepiej - powtarza. - Jeśli mamy się spotykać poza gabinetem.

- A możemy z tym trochę poczekać? - pytam. - Dopiero zaczęliśmy leczenie Deprotiksolem i... Rozumiesz... Do tego zmiana lekarza...

Cichnę, czekając na to, co powie Grzegorz. Przez chwilę też nic nie mówi. Długo się zastanawia.

- Dobrze - zgadza się w końcu. - Zróbmy tak. Poczekajmy, aż oswoisz się z nową terapią.

- Dzięki - mówię z ulgą.

- Ale na dłuższą metę nie unikniemy tego - zastrzega.

- Wiem.

- Co w takim razie z naszym spotkaniem? Może dziś?

- Dobrze, niech będzie dziś - przytakuje.

Umawiamy się na wieczór. Kiedy odkładam telefon, czuję się wewnętrznie rozedrgana. Wreszcie coś mi się układa, zaczął interesować się mną cudowny mężczyzna, a ja... Ja boję się, że popełniłam zbrodnię, za które trafię do końca życia za kratki.

To nie może się tak skończyć, mówię sobie i zaczynam się zastanawiać, co zrobić, aby nigdy do czegoś takiego nie doszło. Po chwili wychodzę z mieszkania. Mogłabym zadzwonić na komendę i poprosić o rozmowę z komisarzem Miłkiem, ale nie jestem pewna, czy udałoby mi się w ten sposób do niego dotrzeć, nie znam procedur. Wydaje mi się, że osobiste pojawienie się na miejscu będzie bardziej efektywne.

Kiedy jestem w pobliżu budynku komendy, dosłownie rozsadza mnie pewność, że dobrze robię - muszę powiedzieć Miłkowi o tym, że posługuję się nowym numerem telefonu. Nie powinnam niepotrzebnie zwracać na siebie jego uwagi, a jeśli znów z jakiegoś powodu policjant będzie próbował się ze mną skontaktować i mu się to nie uda, z pewnością tego nie uniknę.

Nagle widzę Miłka wychodzącego z budynku. Zupełnie niegotowa na takie spotkanie z policjantem, chowam się za rogiem. Komisarz zbiega po schodach, przyciskając telefon do ucha, ewidentnie się gdzieś spieszy.

- Chwilę temu rozmawiałem z tym młodym chłopakiem ze sklepu, Patrykiem - dolatują mnie wypowiedane przez mężczyznę słowa. Przywieram bardziej do muru, aby policjant mnie nie ujrzał, ale jednocześnie nadstawiam uszu, żeby móc

usłyszeć coś więcej. - Przypomniał sobie o facecie, który wygrażał Jowicie. Twierdzi, że nie wie, o co dokładnie chodziło, ale rozmowa nie wyglądała na przyjemną. I miała miejsce kilka dni przed śmiercią kierowniczkę.

Głos Miłka staje się coraz cichszy, w końcu przestaje go słyszeć. Wychylam się delikatnie, komisarz znacznie się ode mnie oddalił. Myślę gorączkowo, mam tylko moment na decyzję.

Wychodzę z ukrycia i szybkim krokiem idę za policjantem. Po kilku metrach chowam się ponownie, tym razem za niewielką metalową budą, która kiedyś była kioskiem Ruchu. Wyglądam ostrożnie na chodnik. Miłek zatrzymał się przy samochodzie zaparkowanym nieopodal, przyciska ramieniem komórkę do ucha, a dłońmi przetrząsa swoje kieszenie.

- Nie, to na pewno nie był jej mąż - mówi, po czym dolatuje mnie charakterystyczny dźwięk świadczący o tym, że samochodowy zamek został odblokowany. - Widział męża Jowity wiele razy, więc na pewno by go rozpoznał. A tamtego gościa nie zna. Nawet nie wydał mu się znajomy...

Słyszę trzask drzwi, głos Miłka znika. Nie mam odwagi wyjrzeć zza budy. Teraz policjant mógłby mnie zauważyć. Czekam.

Wychodzę z kryjówki dopiero, kiedy wóz odjeżdża. Rozglądam się dookoła, na szczęście pomimo że jest środek dnia, na chodniku nie ma wielu ludzi. Zerkam w stronę budynku komendy, mam nadzieję, że nikt nie przypatruje mi się z jego okien.

Znów patrzę na ulicę, w stronę, w którą pojechał Miłek. Wygląda na to, że Jowita miała więcej zatargów, nie tylko ja jej złorzeczyłam. W takim razie nie ma sensu się wychylać, stwierdzam. Niech komisarz spokojnie skupi się na nowych tropach, a o mnie zupełnie zapomni.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

20.

Jowita Niedbalec zmarła na skutek obrażeń głowy, zupełnie jakby ktoś chwycił ją za włosy i rozłupał jej czaszkę o twardą, kanciastą powierzchnię. Był nią metalowy regał stojący na zapleczu sklepu. Przy nim też znaleziono jej martwe ciało. Z protokołu sekcyjnego wynika, że ciosy były silne. Teraz wiem jeszcze, że wygrażał jej jakiś facet. Na razie nie udało mi się do niego dotrzeć, zeznania chłopaka ze sklepu są zbyt skąpe, aby go namierzyć. To jednak nadal nie przesądza sprawy w kwestii płci napastnika. Znam przypadki, kiedy obrażenia ofiar kobiet owładniętych furją budziły powszechny szok i niedowierzanie.

Katarzyna Jaworska zginęła pod kołami tramwaju. Od początku brałem pod uwagę, że może to być samobójstwo, teraz myślę o takim rozwiązaniu sprawy całkiem na poważnie. Kobieta miała nieciekawą życiorys, odebrano jej dziecko, bo się nad nim znęcała. Bez wątplenia była zaburzona, nikt przy zdrowych zmysłach nie krzywdzi bezbronnych istot. Problemy Jaworskiej potwierdziła ostatecznie Magda. Policjantka dowiedziała się, że denatka była pacjentką tej nowej przychodni powstałej w ramach Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego. Opiekowała się nią Krystyna Stanecka. Według lekarki Jaworska była we względnie stabilnej formie. To nieco zaburza moje podejrzenia o potencjalnym samobójstwie, ale na razie nie mam innej teorii, która pasowałaby do sytuacji.

- Szeffie... - Do pokoju zagląda Piotrek, młodszy aspirant, z którym najczęściej współpracuję. - Jest tu taki gość, który

chce z szefem gadać.

- Kto taki?

- Motorniczy.

Spoglądam na Piotrka z zaciekawieniem. Może facetowi, który kierował tramwajem, gdy zginęła Jaworska, coś się przypomniało.

- Zawołaj tu tego Nawrockiego - zarządzam.

- To nie Nawrocki.

Tym razem posyłam podwładnemu pytające spojrzenie.

- Ale facet też pracuje w sosnowieckich tramwajach. Nie powiedział, o co chodzi, tylko upiera się, że chce z szefem gadać.

- No dobra. Zawołaj go tu.

Po kilku minutach Piotrek wraca z tęgim, łysawym mężczyzną po pięćdziesiątce. Proszę faceta, aby usiadł, a młody policjant wychodzi z pokoju.

- Słucham - odzywam się, spoglądając badawczo na niezapowiedzianego gościa. - O czym chciał pan ze mną rozmawiać?

- Jerzy Szewczyk, pracuję w tramwajach - przedstawia się mężczyzna. - I to już od dwudziestu lat. Ale nigdy nie działa się tak jak teraz.

- To znaczy?

- Żeby na tory kogoś wpychać? Świat schodzi na psy.

Kiwam głową, domyślając się, że Szewczyk nawiązuje do Jaworskiej. Najwidoczniej wśród pracowników Tramwajów Śląskich werdykt już zapadł. Sensacja zawsze wygrywa.

- A teraz jeszcze to. - Wzdycha ciężko.

- Co takiego? - zachęcam go do mówienia.

- Przedwczoraj jeździłem piętnastką - oświadcza mężczyzna. - Było już ciemno, pogoda trochę nieciekawa, zaczęło padać. Dojeżdżam do przystanku Szopienice Stawiki, a tam... baba na

torach! Daję po hamulcach, a ta dalej kłęczy na torach. Mówię panu, tak się przestraszyłem, poty mnie oblały, byłem pewny, że nie wyhamuję.

- I co? - dopytuję zaintrygowany tym, co opowiada motorniczy.

- Wyhamowałem! Udało się. Ale kobieta uciekła.

- Jak to?

- No poniosła się z torów i zwała. Może była w szoku, ktoś ją wepchnął na tory, zobaczyła tramwaj...

- Widział pan to? - wchodzę mu w słowo.

- Co?

- Że ktoś tę kobietę wepchnął na tory?

- A nie, nie, nie widziałem. Ale co innego mogło się wydarzyć?

Tak, w Tramwajach Śląskich już przesądzi sprawę.

- Może się potknęła i upadła na tory? - sugeruję, nie chcąc już wspominać o innych możliwych scenariuszach.

- Może! Ale przecież niedawno na tym samym przystanku zginęła kobieta!

Kiwam głową, bo tok rozumowania mężczyzny nie jest pozbawiony sensu.

- Szaleje tam jakiś zwyrodnialec!

Sensacja, wzdycham w duchu, ludzie łakną sensacji, zapominając przy tym, że za każdym takim wydarzeniem kryje się krzywda drugiego człowieka.

- Jak wyglądała ta kobieta? - pytam.

- Ta na torach? - upewnia się Szewczyk.

- Tak.

- Było już ciemno, nie widziałem dokładnie. Ale na pewno była to kobieta.

- W co była ubrana? - drążę dalej.

- No tak normalnie. Spodnie, kurtka. Nie miała czapki.

- W jakim mogła być wieku?

- Nie wiem. - Mężczyzna kręci głową. - Było zbyt ciemno. Długie włosy miała. Chyba brązowe.

- O której to było godzinie? - dociekam.

- Siedemnasta pięćdziesiąt cztery, wjeżdżałem na przystanek Szopienice Stawiki.

Rozmawiam z mężczyzną jeszcze kilka chwil, dopytuję o szczegóły, ale motorniczy nie jest w stanie mi nic więcej powiedzieć.

Kiedy Szewczyk wychodzi z pokoju, uświadamiam sobie, że do zdarzenia doszło w dniu, w którym przesłuchiwałem Sabinę Gancarek. To dość osobliwe, ale niekoniecznie znaczące. Chodzi mi po głowie, żeby zadzwonić do dziewczyny i zapytać wprost, czy to ona tam była.

Gdy w pokoju pojawia się Magda, dzielę się z nią zeznaniami motorniczego.

- Kurde, Witek, to na pewno ona - kwituje.

- Ale po co miałyby tam pójść?

- Serio muszę ci przypominać, że sprawcy często wracają na miejsce zbrodni? - pyta koleżanka.

Obracam twarz do okna. Do pomieszczenie wpadają promienie słońca. Są bardzo jasne, ale wciąż słabe. Do wiosny już niedaleko, jednak zima nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Nie zdziwiłbym się, gdyby na dniach znów zaczął sypać śnieg.

Taką właśnie porą Magda pojawiła się u nas na komendzie. Było to już kilka lat temu, ale dobrze pamiętam tamten dzień. Została przeniesiona z Bytomia, chodziły plotki, że dyscyplinarnie i że nie przytrafiło jej się to po raz pierwszy. Nie uwierzyłem w te pogłoski, tym bardziej że policjantka od pierwszego dnia pracy sprawowała się bez zarzutów.

- Na twoim miejscu przycisnęłabym bardziej tę Gancarek - odzywa się Magda, kiedy nadal przyglądam się promieniom słońca.

- Tak naprawdę niczego na nią nie mam - rzucam, z powrotem obracając głowę w stronę koleżanki.

- A na kogoś innego masz? - ripostuje policjantka.

Na nikogo nic nie mam, myślę, wydymając z niezadowoleniem usta. Dwie śmierci i żadnych wyjaśnień.

- Właśnie - komentuje Magda, głośno cmokając. - Dlatego trzeba bliżej się jej przyjrzeć.

- Ciągle masz to przeczucie? Że to ona jest człowiekiem, którego szukamy?

- Ciągle - przytakuje. - I to coraz większe.

Krzywię się, bo nie lubię polegać na domysłach, jednak, jak mówiłem, aspirantka zwykle ma dobrego nosa.

- Pomyśl... - podejmuje. - Jaka jest szansa, że na tory upadają dwie zupełnie niezwiązane ze sobą osoby w ciągu zaledwie kilku dni? Pamiętaj, że do zdarzenia dochodzi dokładnie w tym samym miejscu.

Przyglądam się Magdzie, rozważając jej słowa.

- Mówię ci, wróciła tam - upiera się. - Po co? Może chciała jakoś przeżyć to jeszcze raz? Mordercy to lubią, wracać i napawać się tym, co zrobili.

- Porozmawiam jeszcze raz z pracownikami sklepu, dopytam, czy przypadkiem Sabina nie pojawiła się tam ostatnio - stwierdzam pod wpływem słów koleżanki.

- I to jest dobry krok - przyznaje mi rację.

21.

Popołudnie mija mi na rozpytywaniu, czy Sabina Gancarek pojawiła się w sklepie po śmierci kierowniczkii. Nikt z pracowników jej nie zauważył, wyglądało na to, że od momentu zwolnienia nie robiła zakupów w osiedlowym minimarkecie, choć to najbliższy dyskont w okolicy jej miejsca zamieszkania. Za to Patryk pod wpływem moich pytań stwierdził, że facet, który wygrażał Jowicie, pojawiał się w pobliżu sklepu też wcześniej. Raz widział gościa na tyłach marketu i nawet chciał go zapytać, po co tu stoi, ale nie zdążył, bo przyjechała ciężarówka z zaopatrzeniem. Niedbalec nie lubiła, kiedy robota czekała. Kiedy zapytałem, dlaczego nie powiedział mi o tym wcześniej, wzruszył tylko ramionami. „Wyleciało mi z głowy” – skwitował naszą rozmowę. Nie ma sensu się chłopaka czepiać, sprawia wrażenie wyjątkowo roztrzepanego człowieka, a to, co mi przekazał, właściwie nie wnosi do sprawy niczego nowego.

Mimo to czuję potrzebę przedyskutowania tematu z Magdą. Jadę więc na Klimontów, gdzie jak grzyby po deszczu powstają nowe domy jednorodzinne. To ładne szeregowce z niewielkimi ogródkami na tyłach, idealne dla młodych par z dziećmi lub dopiero planujących potomstwo.

Parkuję przed szesnastką, gdzie mieszka policjantka. Wpadam do niej regularnie, aby omówić sprawy służbowe, choć równie dobrze mógłbym to zrobić przez telefon. Magda nie ma jednak nic przeciwko moim wizytom, a ja zwyczajnie lubię odwiedzać ją po godzinach. Wygląda wtedy mniej hardo i w takiej odsłonie również mi się podoba.

Naciskam dzwonek, chwilę później słyszę ruch po drugiej stronie drzwi. Otwiera mi Przemek. Mąż Magdy jest wysoki

i szczupły, jego skronie zdążyły już posiwieć. Mężczyzna wiecznie nosi koszule, często z krawatem, i garniturowe spodnie. Wykłada biochemię na Śląskim Uniwersytecie Medycznym i jak sam powtarza, lubi elegancko wyglądać nie tylko w godzinach pracy. Pod tym względem różni się od swojej żony diametralnie – niejednokrotnie widywałem Magdę w dresie czy legginsach.

– Cześć, jak leci? – odzywam się.

– Cześć. W porządku – mamrocze Przemek. Nie przesuwam się, abym mógł wejść do środka, tak jak zwykle to robi. Dziś stoi w progu i trzyma dłoń na klamce, jakby zaraz miał z powrotem zamknąć drzwi.

– Wpadłem pogadać z Magdą – mówię, zaskoczony sytuacją. Nie wygląda, jakby mąż koleżanki zamierzał mnie dziś wpuścić do domu.

Dziwi mnie postawa Przemka, bo nigdy wcześniej nic podobnego nie miało miejsca. Mikulskiemu nie przeszkadzały moje wizyty, a ja dbałem, aby nie dawać mu powodów do zazdrości. Nic się z mojej strony nie zmieniło, więc nie rozumiem, co się kryje za dzisiejszym zachowaniem Przemka. Nie mam jednak zamiaru zrezygnować ze spotkania z aspirantką.

– Mogę wejść? – pytam, wymownie wskazując na drzwi.

– Magdy nie ma – odpowiada gospodarz.

Unoszę zaskoczony brwi.

– Nic nie wiesz? – rzuca, a moja konsternacja rośnie. – Wyprowadziła się – oznajmia krótko.

– Wyprowadziła się? – powtarzam, nie dowierzając w to, co słyszę.

– Nic nie powiedziała... – Mężczyzna kręci głową z dezaprobatą. – Cała ona. Rozsadza ją duma tak wielka, że nawet tobie nie powiedziała.

- Co się stało? - dopytuję.

Przemek wzdycha.

- Ostatnio gorzej nam się układało.

Gorzej? - prychem w duchu. Chyba fatalnie, skoro Magda podjęła tak radykalne kroki. Pamiętam, jaka była szczęśliwa, kiedy kupili z Przemkiem ten dom. Szczególnie radował ją ogródek, w którym mogła sadzić kwiaty. Marzyła, że kiedyś po tym skromnym podwórku będą biegać dzieciaki, a przynajmniej jedno. Niestety życie do tej pory nie obdarzyło ich potomstwem. Ale mimo to nigdy nie przestała cieszyć się domem, w którym osiedli. Przeciwnie, odnosiłem wrażenie, że stanowi dla niej azyl, do którego lubi wracać.

- Gdzie ona teraz jest? - pytam, właściwie już mając pewność, że w grę może wchodzić zdrada, skoro Magda porzuciła miejsce, które kocha.

Przemek wzrusza obojętnie ramionami.

- Nie wiesz? - Mój głos ocieka pretensją. Rozumiem, że się pokłócili, może nawet rozstali się w atmosferze gorącej awantury, ale facet powinien się zainteresować, dokąd wyniosła się jego żona. Do cholery, są małżeństwem kilkanaście lat!

- Nie powiedziała, dokąd się wyprowadza - mówi Przemek obronnym tonem. - Miałem ją śledzić czy jak?

- Może wystarczyło zapytać?

- Odkąd stąd poszła, nie gadaliśmy ze sobą.

Kiwam głową, ale tak naprawdę z sekundy na sekundę czuję coraz większą niechęć do tego faceta. Zawsze wydawał mi się w porządku. Chyba nawet go lubiłem, choć przecież to właśnie on stał mi na drodze do Magdy. Teraz najchętniej bym mu przypierdolił.

Mam też ochotę pociągnąć go za język i dowiedzieć się, co dokładnie się wydarzyło, ale się powstrzymuję. Skoro koleżanka nie pisnęła o niczym słowem, najwyraźniej nie czuje

się gotowa, aby mówić o swoich problemach. A ja nie mam prawa włączyć z buciarami w jej prywatne życie.

- Powinieneś przynajmniej się zainteresować, czy nic jej nie jest - rzucam z pretensją.

- Magda jest twarda.

Nie musi mi tego mówić, dobrze wiem, że policjantka to silna babka, ale to nie wyklucza, że może potrzebować pomocy.

- Dobra, to nic. Lecę - mówię i zmuszam się, aby stąd odejść. Nie mam już o czym gadać z Przemkiem, za to ogarnia mnie coraz większa wściekłość. Nie chce zrobić czegoś głupiego.

Wracam do samochodu i zaciskam mocno ręce na kierownicy. Nigdy nie skrzywdziłbym Magdy, nie doprowadziłbym do sytuacji, w której wyniosłaby się z własnego domu. Walczę z pokusą zatelefonowania do koleżanki. Nie udaje mi się. Sięgam po komórkę i wybieram jej numer. Szybko odbiera.

- Siema, Witek, co jest? - słyszę jej głos. Magda brzmi zupełnie normalnie, gdybym się przed chwilą nie dowiedział, że jej małżeństwo przechodzi kryzys, absolutnie niczego bym nie podejrzewał.

Opowiadam policjantce, co udało mi się ustalić. Koleżanka nie wysnuwa ani żadnych nowych wniosków, ani takich, do których sam bym nie doszedł.

Tak jak to było do tej pory, o swoich problemach osobistych Magda nie wspomina słowem. Muszę ugryźć się w język, żeby nie podjąć tematu. Kończę połączenie z poczuciem pewnego zawodu. Znamy się z Magdą dość długo, sądziłem, że darzy mnie zaufaniem podobnym do tego, które sam żywię wobec niej. Może jest jeszcze za wcześnie na takie zwierzenia, sprawa jest delikatna. Zaczekam, gotowy wesprzeć koleżankę, kiedy tylko będzie tego potrzebować.

SABINA

22.

Ostatnie tygodnie były trudne. Podjęłam wreszcie pracę. Ogromny hipermarket na obrzeżach miasta, celowałam w coś mniejszego, ale taka oferta się nie pojawiała. Nie chciałam czekać w nieskończoność.

Sklep przytłoczył mnie swoimi rozmiarami i liczbą klientów. Ze zbyt wieloma osobami muszę spotykać się na co dzień. Kilka razy przebywanie z tymi wszystkimi obcymi ludźmi przyprawiło mnie o lęk tak silny, że wylądowałam w kabinie toaletowej z atakiem paniki. Ale trwam, może w końcu się przyzwyczaję. Wciąż wypatruję jednak innych ofert, mniejszy osiedlowy sklepik byłby dla mnie zdecydowanie lepszym rozwiązaniem.

Miłek nie kontaktował się już ze mną, tyle że nic w tym nadzwyczajnego, bo mam przecież nowy numer telefonu. Po tym, jak przypadkowo podsłuchałam jego rozmowę, postanowiłam nie informować go, że zgubiłam komórkę. Później też ciągle wydawało mi się, że tak będzie najlepiej. I chyba faktycznie dobrze zrobiłam, bo policjant nie stanął ponownie na mojej drodze. Przecież wie, gdzie mnie znaleźć, więc z dnia na dzień mam coraz większą nadzieję, że przestał się mną interesować. Zastanawiam się, czy to równoznaczne z tym, że skreślił mnie z listy podejrzanych. Gdyby rzeczywiście tak się stało, oznaczałoby to, że wszystko jest ze mną w porządku i że nie cierpię na żadne luki w pamięci. Że nikogo nie zabiłam.

Mimo wszystko nie przestałam rozważać pomysłu wycofania się z programu, bo raz zasianą niepewność trudno wypełnić.

Zdaję sobie sprawę, że leki psychoaktywne to nie przelewki, i wiem, że nie powinno się ich zmieniać jak rękawiczek, i właśnie to sprawia, że znów tu jestem.

Przychodnia, powściągliwa pielęgniarka i gabinet zabiegowy. Stresuję się nawet bardziej niż za pierwszym razem, choć wtedy byłam przekonana, że z każdą kolejną aplikacją będzie lepiej. Wszystko przez Miłka! To przez niego cała się teraz trzęsę, miotana niepewnością tak wielką, że stale myślę o ucieczce z gabinetu.

- Kiedy skończy pani czytać, proszę podpisać tutaj. - Pielęgniarka wskazuje mi właściwą rubrykę. To inna kobieta niż ta, która podała mi deprotiksol za pierwszym razem. Jest przy kości, a mimo to bardzo przypomina mi swoją poprzedniczkę, traktuje mnie z identycznym dystansem jak tamta kobieta.

Zostawia mnie samą, spoglądam na dokumenty, które dostałam. To karta informacyjna, którą już dobrze znam. Mogłabym ją więc z marszu podpisać, ale nie robię tego, zaczynam ją czytać. Chyba chcę odwlec moment przyjęcia nowej dawki leku. Dziś każde zapisane w formularzu słowo wydaje mi się ciężkie, nawet złowieszcze. Docieram do ostatniego zdania i nie mogę myśleć o niczym innym jak o tym, że zaraz przyjmę deprotiksol. Paraliżuje mnie strach, że znów może wydarzyć się coś, czego nie będę w stanie zrozumieć albo wyjaśnić. Sobie lub policji.

Wreszcie składam podpis i odsuwam od siebie dokumenty, jakbym się obawiała, że zaraz porwę je na strzępy. W duchu pospieszam pielęgniarkę, atakuje mnie przeświadczenie, że jeśli zaraz nie wróci do gabinetu, naprawdę stąd ucieknę.

Wreszcie słyszę, że drzwi sali się otwierają. Siedzę do nich tyłem. Przymykam oczy, próbując wziąć się w garść. Za moment czuję dłoń na swoim barku. Otwieram szybko oczy, bo przecież to niemożliwe, aby pielęgniarka, która się dziś mną

zajmuje, zdobyła się na taki gest. Stojący za mną mężczyzna jest ostatnią osobą, którą spodziewałabym się tutaj zobaczyć.

- G-Grzesiek? - dukam.

Niemczyk wciąż jest moim lekarzem. Zbliżyliśmy się do siebie, ale nadal odwlekamy moment, kiedy opiekę nade mną przejmie ktoś inny. Zachowujemy jednak pozory - w czasie moich wizyt w przychodni nasz kontakt, tak jak to miało miejsce do tej pory, ogranicza się do gabinetu lekarskiego. Nigdy się nie zdarzyło, aby Grzegorz zjawił się w pokoju zabiegowym. Aż do dziś.

- Cześć! - Lekarz posyła mi uśmiech. - Przechodziłem obok. Drzwi były uchylone - tłumaczy - zauważyłem cię i... nie mogłem się powstrzymać, aby wejść i sprawdzić, jak się masz tuż przed aplikacją.

Naprawdę nie wiem, do czego zmierza ta znajomość. Ani czego mogę się po niej spodziewać. Nie mam nawet pojęcia, czego sama oczekuję. Faktem jest jednak, że czuję się przy Grześku... wartościowa. Czyli tak, jak nigdy nie miałam okazji się poczuć, nikt wcześniej mi tego nie dał.

- Wszystko w porządku? - pyta. - Jesteś blada jak ściana...

- Denerwuję się - rzucam z głośnym westchnieniem.

- Sabino... - Grzesiek sięga po krzesło pielęgniarki, przysuwa je bliżej mnie i siada na nim. Stykamy się kolanami. Muszę przyznać, że jego bliskość dodaje mi nieco otuchy. - Myślałem, że udało mi się cię uspokoić. - Wzdycha. -

Wygląda na to, że jestem jednak mało przekonujący jako lekarz.

- Przeciwnie - oponuję. - To nie twoja wina, nie masz wpływu na to, jak się czuję - mówię przyciszonym głosem.

- Posłuchaj... - Niemczyk znów wzdycha. - Wszystko jest w porządku. Naprawdę. Te leki są bezpieczne i bardzo, bardzo ci potrzebne.

Nie odpowiadam. Wiem, że wymagam farmakoterapii, ale nie mogę przestać myśleć o powrocie do starej metody leczenia. Dobrze na nią reagowałam, nie działały się żadne dziwne i niewyjaśnione rzeczy, a teraz, kiedy podjęłam pracę, znów byłabym w stanie wyłuskać trochę grosza na potrzebne mi leki.

- Przecież nie mówiłbym ci tego, gdybym nie był o tym całkowicie przekonany - odzywa się znów Grzesiek, a ja ponownie tylko kiwam głową. Trudno dyskutować z opinią specjalisty. Nie wątpię też w jego intencje, ale przytłacza mnie myśl, że lekarz może nie wiedzieć wszystkiego.

Cholera wie, co stoi za tym darmowym projektem leczniczym. Zżera mnie obawa, że za Narodowym Programem Ochrony Zdrowia Psychicznego kryje się coś więcej niż tylko chęć przypodobania się wyborcom. Może za dużo czytam o procederach, które w przeszłości miały miejsce w branży farmaceutycznej, ale nie potrafię inaczej.

- Sabino... spójrz na mnie.

Spełniam prośbę Grzeška.

- Wiesz, że... - podejmuje - zależy mi na tobie. - Lekarz wpatruje się we mnie z czymś, co przywodzi mi na myśl uwielbienie. Zawsze kiedy tak na mnie patrzy, czuję się nieswojo, bo nikt nigdy wcześniej nie spoglądał na mnie w taki sposób. Jednak dziś czuję się nieco inaczej, dziś jego admiracja mnie przytłacza.

Uciekam spojrzeniem, wbijam je w swoje dłonie. Kiedy siedzę taka pogubiona, przestraszona i nieporadna, nachodzą mnie wątpliwości nawet co do Grzegorza. Nie dowierzam, że lekarz mógłby autentycznie coś do mnie poczuć, tak samo jak nie wierzę, że może mi się zacząć układać.

- Sabino... - odzywa się ponownie Grzesiek, zakładając mi przy tym włosy za ucho - jesteś w bardzo dobrych rękach.

Zaufaj mi, proszę. Wiesz, że... - Urywa nagle i równie szybko podrywa się z krzesła.

Obracam głowę w stronę wejścia do pokoju zabiegowego i widzę stojącą w progu pielęgniarkę. Nie mam pojęcia, ile kobieta widziała, na szczęście Grzegorz bierze na siebie niezręczność sytuacji. Zaczyna rozmawiać z pielęgniarką, a ja przysmykam powieki, starając się jakoś od tego wszystkiego odciąć. Skoro Grzesiek twierdzi, że to jest dla mnie dobre, to musi tak być, powtarzam sobie.

Kiedy otwieram oczy, w pomieszczeniu jest już tylko pielęgniarka. Kobieta sprawnie przygotowuje strzykawkę, a potem dezynfekuje skórę na moim ramieniu i równie zręcznie wbija w nie igłę.

23.

Wargi Grześka są miękkie i ciepłe. Soczyście wilgotne. Przyjemnie zachłanne. Smakuję ich po tym, jak podwiózł mnie pod blok. Kusi mnie, aby zaprosić go na górę, ale nie dość, że wstydzę się tego, jak mieszkam, to zwyczajnie obawiam się postawić kolejny krok. Boję się, że jeśli pójdę za daleko, wszystko, co do tej pory się między nami działo, zniknie.

Odsuwam się od Grześka.

- Coś nie tak? - pyta.

- Nie, skąd - odpowiadam. Jestem zdyszana i zawstydzona. Dobrze, że wewnątrz samochodu spowija ciemność i Niemczyk nie może widzieć rumieńców palących moje policzki.

- To dlaczego uciekasz? - dopytuje.

- Nie uciekam - zapewniam prawie szeptem, a lekarz znów nachyla się w moim kierunku. Całuje mnie. Nie potrafię mu się oprzeć, nasze języki na nowo tańczą w zgodnym rytmie.

Tym razem to on pierwszy się ode mnie odrywa.

- Dzięki za miły wieczór - mówi.

- Nie będziesz próbował wprosić mi się do mieszkania?

- Nie. - Niemczyk uśmiecha się pogodnie. - Poczekam, aż sama mnie zaprosisz.

- To miłe z twojej strony.

- Nie, Sabino. Nie miłe, to normalne.

Obracam głowę w stronę bocznej szyby. Pomimo swojego wieku jestem taka niedoświadczona w relacjach damsko-męskich, że zwyczajnie mi wstyd. A to, w jakich warunkach dorastałam, wcale nie dostarczyło mi dobrych wzorców. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

- Pójdę już - rzucam, zbierając się do opuszczenia samochodu. - Zrobiło się późno.

- Dobrej nocy - mówi w odpowiedzi Grzesiek.

Boże, myślę z pewną dozą goryczy, to facet idealny. Za idealny, poprawiam się w duchu. Za uczciwy, za wyrozumiały, za szarmancki. Za dobry. Za dobry dla mnie. A raczej to ja nie jestem wystarczająco dobra dla niego.

- I cieszę się, że ciągle jesteś moim lekarzem - dodaję.

- Wiesz, że nie możemy tego ciągnąć w nieskończoność - przypomina mi.

- Dobrze mi tak, jak jest. Nie lubię... zmian.

Grzesiek wzdycha.

- Trudno się ode mnie uwolnić. - Zdobywam się na żartobliwy ton.

- Wiesz, że wcale tego nie chcę, jednak... to nieuniknione.

Teraz ja wzdycham.

- Ale dla twojego komfortu poczekamy jeszcze. Twoje samopoczucie jest najważniejsze - oświadcza.

- Dobranoc - wyduszam z siebie, bo znów dopadają mnie obawy, że to, co się dzieje, może w każdym momencie rozplynać się w niebycie. W moim życiu nie zdarzają się przecież takie chwile. Nie ma w nim ludzi, którym na mnie zależy.

- Śpij spokojnie - odpowiada Grzesiek, a potem całuje mnie w czoło na pożegnanie. Ten czuły gest z jego strony krępuje mnie jeszcze bardziej.

W popłochu wysiadam z samochodu. Szybko, zupełnie jakby gońiło mnie stado dzikich zwierząt, pokonuję odległość dzielącą mnie od bloku i znikam wewnątrz klatki. Trudno się do tego przyznać, ale w rzeczywistości uciekam przez samą sobą. Obawiam się tego, czy potrafię czuć coś innego niż niepewność, czy potrafię wyjść naprzeciw uczuciu innemu niż nienawiść.

Nie czekam na windę, tylko od razu ruszam schodami na piąte piętro. Wdrapuję się na kolejne stopnie w godnym podziwu tempie. Wysilek fizyczny odrobinę przyćmiewa emocje. Dzięki niemu stają się bledsze, jakby mniej odczuwalne. Takie łatwiej jest zepchnąć na skraj świadomości, choć najwygodniej byłoby je po prostu z niej wyrzucić. Niestety, to tak nie działa.

To, co rodzi się w naszym wnętrzu, nigdy nie jest łatwe i proste. Nasze doznania są skomplikowane, czasem na tyle zawile, że trudno je uzewnętrznić, a jeszcze trudniej sprawić, aby przestały nas zabijać od środka.

Gdy tylko przekraczam próg mieszkania, zsuwam buty ze stóp i szybko przemykam do swojego pokoju. Ostatnie, na co mam teraz ochotę, to spotkać kogoś z moich współlokatorów. Zamykam drzwi, a potem opieram się o nie plecami. Przysmykam oczy, ciężko oddychając.

Nie mogę się w to pakować, myślę skrajnie rozżalona. Nie poradzę sobie z kolejnym niepowodzeniem, a właśnie na to skazana jest moja relacja z Grześkiem. Jestem zbyt wybrakowana, aby stało się inaczej, a niedomówienia, na które sobie pozwoliłam, ostatecznie pogrzebią to, co pojawiło się między mną a lekarzem.

Problem w tym, że Grzesiek obudził we mnie tęsknotę za tym, co dobre. Rozpałił iskrę normalności i wzniecił potrzebę kochania, pragnienie bliskości drugiego człowieka. A przede wszystkim pokazał mi, że istnieją ludzie nietoksyczni, ludzie zdolni do miłości.

Podchodzę do okna i chwytam za zasłonę. Szarpnię za nią ze złością, jakby to właśnie ona była odpowiedzialna za wszystkie moje troski. Materiał utyka wewnątrz szyny karnisza i nie udaje mi się go przesunąć. Staję na palcach, aby złapać kotarę nieco wyżej, i z jeszcze większą werwą ciągnę. Kiedy wreszcie udaje

mi się ją odblokować, zauważam samochód stojący przed blokiem.

Przyglądam mu się uważniej i choć jest ciemno, stwierdzam, że może to być wóz należący do Grześka. Przysuwam twarz bliżej szyby, aby upewnić się, że to faktycznie auto, w którym chwilę temu siedziałam. Dreszcz niepokoju pełźnie mi po plecach, kiedy dostrzegam wewnątrz sylwetkę mężczyzny nachylającego się w stronę bocznej szyby. Wygląda, jakby gapił się na blok. Jakby obserwował okno mojego pokoju.

W nagłym impulsive cofam się od okna, jednocześnie zamaszystym ruchem zasuwam zasłony, aby ten ktoś na dole nie mógł dłużej mi się przyglądać. Zaczyna brakować mi tchu. Wpatrując się w okno, wstrzymywałam oddech, przez co teraz łapię powietrze łapczywymi haustami. W głowie robi mi się tłoczno od burzliwych myśli.

Dlaczego Grzesiek nie odjechał zaraz po tym, jak wysiadłam z jego wozu?

Gorączkowo szukam wytłumaczenia. Może chciał się upewnić, że bezpiecznie dotarłam do mieszkania? A może po prostu ktoś do niego zadzwonił i nie chcąc prowadzić z telefonem przy uchu, postanowił odbyć rozmowę przed czekającą go podróżą?

Zapalam światło, bo otaczająca mnie ciemność potęguje niepokój. Sama nie wiem, czego tak bardzo się boję. Przecież nic takiego się nie dzieje. Trudno dostrzec w tej sytuacji realne niebezpieczeństwo, a mimo to odczekuję kilka chwil, po czym ponownie gaszę światło i skradam się pod okno. Ostrożnie uchylam zasłony w samym rogu, jednak na tyle, abym mogła wyrzucić na zewnątrz. Lustruję otoczenie, ponownie wstrzymując oddech. Okazuje się, że ulica przed blokiem jest pusta. Auto zniknęło.

Zasuwam zasłony jeszcze bardziej przestraszona. Znów nerwowo oddycham. Może Grzesiek chciał sprawdzić, gdzie

dokładnie mieszkam? W momencie gdy zapaliłam światło, z łatwością mógł to wydedukować... Zdobył interesujące go informacje i... odjechał.

Nawet jeśli faktycznie tak było, to co w tym złego? - pytam samą siebie, jednak mój strach nie znika.

A jeśli to nie był Grzesiek?

Nagle uderza mnie myśl, która kompletnie zwala mnie z nóg. Jestem o krok od ataku paniki. Osuwam się na podłogę, opieram się plecami o łóżko, rękoma chwytam się za głowę. Usiłuję skoncentrować się przede wszystkim na spokojnym oddychaniu. Nie potrafię jednak wyrzucić z umysłu miażdżącej mnie obawy, że to znów wina Deprotiksolu. Może tego samochodu w ogóle tam nie było?

24.

Coś w tym jest, że o poranku nasze problemy wydają się mniejsze. Może dlatego, że lęk lubi ciemność i po nastaniu świtu chowa się po kątach, aby ponownie wypełznąć z nich po zmroku. Zwykle ze zdwojoną siłą. Na razie mam jednak przed sobą cały dzień.

Zjadam przyzwoite śniadanie, do którego wypijam kubek kawy z mlekiem, a potem idę do pracy. Wciąż czuję się nieswojo w tym wielkim hipermarkecie, ale daję z siebie wszystko. Robię to, co robiłam przez całe swoje dotychczasowe życie - walczę o siebie.

Jeszcze przed południem odzywa się do mnie Grzesiek. Nie udaje nam się zdzwonić, więc wymieniamy kilka SMS-ów. Mój wczorajszy lęk wobec lekarza dziś wydaje mi się wręcz idiotyczny. Najwyraźniej bliskość, która się między nami pojawiła, przestraszyła mnie bardziej, niż mogłabym się spodziewać. A poza tym jestem świeżo po przyjęciu deprotiksolu. Co prawda tym razem nie męczyły mnie zawroty głowy, pojawiły się jedynie bezpośrednio po aplikacji, ale czuję pewne oszołomienie, które - mam nadzieję - lada dzień minie.

Po pracy robię drobne zakupy. Nie chce mi się ich taszczyć z drugiego końca miasta, ale nadal nie zamierzam pojawiać się w osiedlowym markecie.

Kiedy jestem już pod swoim blokiem, zauważam radiowóz policyjny zaparkowany na chodniku nieopodal. Wstrząsa mną dreszcz niepokoju tak silny, że aż się wzdrzygam. Mimo to idę dalej, nogi mam jednak miękkie, jakby były zbudowane z waty, a nie z kości. Nie chodzi o mnie, mówię sobie. Przecież nie jestem jedyną osobą w mieście, którą interesują się służby.

Przełykam ślinę, gdy z wozu wysiada dwóch funkcjonariuszy. Moje mięśnie stają się jeszcze bardziej wiotkie, z trudem stawiam kolejne kroki. Kiedy dostrzegam, że policjanci są umundurowani, chwytam się myśli, że niepotrzebnie panikuję, że może po prostu są z drogówki. Obok jest sklep, zatrzymali się, aby kupić w nim wodę albo drobną przekąskę.

- Sabina Gancarek? - słyszę po chwili.

Zatrzymuję się w pół kroku i przysmykam powieki. Nic z tego, to żadna drogówka.

- Komenda miejska policji - pada dalej, a kiedy otwieram oczy, mężczyźni machają legitymacjami służbowymi.

Tkwią w bezruchu, zeszywniała, bo skoro pod moim domem znów pojawia się policja, musiało się coś stać. W głowie wybuchają mi gorączkowe myśli. Tym razem mocno skupiłam się na swojej pamięci. Próbowałam ją kontrolować, mieć pewność, że nic mi nie umyka. Tylko czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

- Komisarz Miłek chciałby z panią porozmawiać. Zapraszam... - mówi jeden z mundurowych, gestem dłoni wskazując na radiowóz.

- Znowu? - wyduszam z siebie. - D-dlaczego? - pytam, lekko się jąkając. - Nie mam nic więcej do powiedzenia w sprawie Jowity Niedbalec. Ani tym bardziej Katarzyny Jaworskiej.

- Wszystkiego dowie się pani na komendzie. Zapraszam. - Mężczyzna znów wskazuje na policyjny wóz. - Bardzo proszę, komisarz Miłek już na panią czeka - dodaje.

- Mogę zostawić to w domu? - pytam, unosząc nieco siatkę z zakupami. - Jest dość ciężka.

Policjanci wymieniają spojrzenia, po czym ten sam, który mówił do tej pory, wyraża zgodę. Ruszam do bloku, a mężczyzna podąża za mną. Klnę pod nosem, bo przecież wcale nie potrzebuję, aby w towarzystwie policji zobaczył mnie

Konrad czy Norbert ani któryś z sąsiadów. Jest już jednak za późno.

Funkcjonariusz idzie ze mną na górę, nie wchodzi jednak do mieszkania. Rozpakowuję szybko zakupy, dłonie niemiłosiernie mi się przy tym trzęsą. Nie mam pojęcia, co nowego się wydarzyło, że Miłek znów chce ze mną rozmawiać, ale zbieżność sytuacji nakazuje mi podejrzewać najgorsze.

Na szczęście w mieszkaniu nie ma chłopaków, więc przynajmniej tym, że ujrzą mnie w towarzystwie policjantów, nie muszę się przejmować.

Podróż na komendę jest skrajnie nieprzyjemna. Siedzę sztywno na tylnym siedzeniu radiowozu ze wzrokiem wbitym w dłonie zaciśnięte na kolanach. Siła nacisku jest tak duża, że nie zdziwię się, jeśli jutro pojawią się na nich siniaki. Jednak w tej chwili nie czuję żadnego bólu. Jestem całkowicie skupiona na tym, co się dzieje. Skoro po mnie przyszli, sprawa musi być poważna. Ściskam swoje kolana jeszcze mocniej.

Eskortujący mnie policjanci przez cały czas milczą. Nie wiem, czy celowo zachowują dystans, bo chcą mnie wystraszyć, czy to zwykły przejaw ich profesjonalizmu. Bez względu na przyczynę ich zachowania niepotrzebnie się wysilają. I bez tego zwyczajnie się boję.

Trafiam do pokoju przesłuchań. Ciasne pomieszczenie wprawia mnie w stan niemal agonialnego lęku. Zajmuję miejsce przy leciwym stole, nie mogąc powstrzymać drżenia własnych mięśni. Wtedy uświadamiam sobie, że może zwyczajnie sama jestem sobie winna. Zgubiłam komórkę i zmieniłam numer telefonu, a policja nic o tym nie wie. Sama zdecydowałam, aby tak było. Bardzo możliwe, że Miłek próbował się do mnie dodzwonić. Gdy mu się nie udało, może uznał, że zaczęłam się ukrywać? Albo cholera wie, co jeszcze sobie pomyślał. Tylko po co w ogóle znów chce ze mną rozmawiać?!

Jestem sama w ponurym pokoju. Biorę kilka głębokich wdechów, aby się uspokoić. Może zaszło jedynie małe nieporozumienie. Albo komisarz chciał tylko o coś dopytać, o jakąś drobnostkę, szczegółlik, ale nie mógł się ze mną skontaktować. Z mojej winy. W zaistniałych okolicznościach mogło to po prostu wzbudzić jego podejrzliwość. Tak, właśnie dlatego tutaj jestem. Na pewno. Nie ma innej możliwości. Przecież wszystko pamiętam. I wiem, że niczego nie zrobiłam.

Wreszcie w pokoju zjawia się Miłek. Wchodzi do niego wolnym krokiem, w rękach ściska jakieś papiery. Starannie zamyka za sobą drzwi. Jest sam. Nie wiem, jak odbierać fakt, że nie ma z nami protokolanta.

Komisarz wciąż w tym samym niespiesznym tempie obchodzi stół, a potem zajmuje miejsce naprzeciw mnie.

- Dzień dobry - mówi.

Odpowiadam cicho na powitanie, spoglądam przy tym niepewnie na policjanta.

- Dobrze, że udało się panią znaleźć - oznajmia, na co zaczerpuję głębiej tchu. - Już myślałem, że się pani coś stało albo... że zaczęła się pani ukrywać.

- Zgubiłam telefon - od razu przechodzę do wyjaśnień. - Nie miałam innego wyjścia jak kupić nowy. Siłą rzeczy mam też nowy numer. Nie pomyślałam, aby panu o tym wspomnieć. Naprawdę nie sądziłam, że jeszcze będę... potrzebna.

- Jak to się stało? - Komisarz przygląda mi się uważnie, przejeżdża przy tym dłonią po papierowej teczce na dokumenty, którą położył przed sobą na blacie. - Jak zgubiła pani ten telefon?

- Musiał mi gdzieś wypaść, nie wiem gdzie.

Policjant unosi brwi.

- A może zostałam okradziona - gdybam. - Naprawdę nie wiem.

- Kiedy to się stało? - pyta.
- Jakież trzy tygodnie temu.
- A może pani dokładniej?
- Dokładniej to nie pamiętam.

Komisarz unosi brwi jeszcze wyżej.

- Na pewno da się to jakoś sprawdzić - stwierdza. - Może ma pani w portfelu rachunek za telefon albo zerknie pani w listę połączeń i sprawdzi, kiedy z pani nowego telefonu wyszło pierwsze?

- No... dobrze - zgadzam się, ale ani drgnę.
- Śmiało. - Miłek unosi otwartą dłoń w moim kierunku.
- Teraz?

- Jeśli nie sprawi to pani zbyt dużego kłopotu. - Ton komisarza jest cyniczny.

Sięgam do torebki po komórkę, postanawiam skorzystać z podpowiedzi policjanta i wchodzę w listę połączeń. Jest ich zaledwie kilka i wszystkie są... do Grzeška. Podaję Miłkowi datę, kiedy wykonałam pierwszy telefon do Niemczyka z nowego aparatu.

- Komórkę zgubiłam dwa dni wcześniej - dodaję.
- Mężczyzna kiwa głową, jakby coś analizował.

- Może na Stawikach? - pyta po kilku chwilach milczenia.

Momentalnie zaczynam szybciej oddychać, bo wszystko wskazuje na to, że wciąż jestem w kręgu podejrzanym.

- Mówiłam, że nigdy tam nie byłam. - Trzymam się swoich poprzednich zeznań.

- Nigdy? - Policjant przechwytuje moje spojrzenie.

Zaczynam się pocić i zastanawiać, jak z tego wybrnąć. Zwlekam z odpowiedzią, bo nie wydaje mi się, że przyznanie się do tego, że jednak tam byłam, miało się okazać dobrym posunięciem. Zapewnienie, że wybrałam się na Stawiki dopiero po tym, jak dowiedziałam się o śmierci Jaworskiej, też nie

brzmi dobrze. Naprawdę nie wiem, jak miałabym wyjaśnić swoje postępowanie tak, żeby nie wzbudzać nowych podejrzeń komisarza.

- Jakiś czas temu - odbywa się Miłek - właśnie jakieś trzy tygodnie temu w tym samym miejscu, w którym zginęła Katarzyna Jaworska, doszło do bardzo podobnego incydentu. Na torach znów pojawiła się kobieta. Ta na szczęście zdołała umknąć przed nadjeżdżającym tramwajem i nic jej się nie stało. Ale po wszystkim... ucieła.

Czuję, jak strużki potu spływają mi po plecach. Spoglądam na policjanta, oddychając płytko, ze świstem. Nie mam pojęcia, skąd Miłek o tym wie. Ktoś musiał mu to zgłosić. Któryś z pasażerów? Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Może motorniczy? W końcu chwilę wcześniej w tym samym miejscu zginęła kobieta...

- Czy nadal podtrzymuje pani, że nigdy nie była na Stawikach?

Kręcę głową, bo nie stać mnie w tej chwili na słowa. A może chodzi o kogoś innego? Tylko czy to możliwe, aby tak często ktoś upadał na tory tramwajowe?

- Może pani odpowiedzieć? - domaga się funkcjonariusz. - Bo nie zrozumiałem.

- Nie byłam nigdy na Stawikach.

Policjant przeszywa mnie ostrym spojrzeniem, nie wierzy mi.

- Po co miałabym tam iść? - Brnę w swoje kłamstwo.

- No nie wiem, może na spacer albo odwiedzić znajomą, która mieszka na pobliskim osiedlu. - Miłek robi krótką pauzę.

- Albo zobaczyć przystanek Szopienice Stawiki.

Żołądek podchodzi mi do gardła, kiedy to słyszę. Wciąż jestem podejrzana, nie mam co do tego już żadnych wątpliwości. Tym bardziej nie mogę przyznać, że jednak tam byłam.

- Pani Sabino...

- Nigdy tam nie byłam, okej?

Miłek przygląda mi się kilka sekund w milczeniu. Nie potrafię wytrzymać jego wzroku, wbijam spojrzenie w blat stołu.

- Dobrze, zostawmy to - mówi w końcu. - Nie po to pani szukałem.

Na nowo unoszę spojrzenie na komisarza. Czyli to jeszcze nie wszystko? Nie po to zostałam tutaj przyprorowadzona?

- Cieszę się, że nie schowała się pani przed nami. - Policjant uśmiecha się przymilnie, a mnie żołądek znów podchodzi do gardła. - Zakładam, że historia ze zgubionym telefonem jest prawdziwa. Nie będę tego drążył, skoro już tutaj pani jest. O czymś innym chciałem z panią porozmawiać...

Miłek zawiesza głos. Robi mi się jeszcze bardziej niedobrze. Próbuję przewidzieć temat, który policjant chce poruszyć, ale nie potrafię.

- O czym? - dukam.

- O... - znów robi krótką przerwę - Karolinie Wideł.

W jednej chwili ogarnia mnie potworny gorąc. Świat natychmiast zaczyna wirować mi przed oczami, a ściany tańczyć i nachodzić jedna na drugą. Poprawiam się na krześle, aby poczuć się pewniej, ale ono także nagle traci stabilność. Przechyliła się, zaraz robi mi się ciemno przed oczami, a po chwili nie czuję już nic.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

25.

To pierwszy taki przypadek w mojej dotychczasowej karierze. Kompletnie nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. W głowie mam chaos, którego nie potrafię uporządkować. A wszystko przez Sabinę Gancarek. Zwyczajną dziewczynę, która niczym nie wyróżnia się z tłumu. Przynajmniej dopóki nie przyjrzesz się jej dokładniej, nie poświęcisz chwili, aby zajrzeć jej w oczy.

Gancarek narobiła sporego zamieszania. Do momentu jej omdlenia w pokoju przesłuchań wciąż nie wydawała mi się kluczową postacią w żadnym z toczących się obecnie dochodzeń. Nawet w sytuacji, gdy jej nazwisko wypłynęło ponownie, przy sprawie Katarzyny Jaworskiej, a później jeszcze Magdzie udało się dotrzeć do jej przeszłości.

Teraz to już sam nie wiem.

Czy to możliwe, że Sabina tak perfekcyjnie odegrała scenę utraty przytomności, aby zyskać na czasie? Potrzebowała kilku dodatkowych chwil, aby przygotować się do przesłuchania? Nie wykluczam, że faktycznie zemdlała, w końcu nikt z nas - ani ja, ani żaden z moich kolegów po fachu - nie dostrzegł najmniejszych sygnałów świadczących o tym, że symuluje. Może omdlenie nastąpiło na skutek silnego stresu? Takie przypadki się przecież zdarzają. A jeśli poczuła, że zaczął jej się palić grunt pod nogami, miała prawo się zdenerwować.

Sabina ocknęła się, zanim karetka dotarła, ale na wszelki wypadek nie odwołaliśmy pogotowia. Jednogłośnie uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli lekarz oceni jej stan zdrowia. W ostatnim czasie doszło do zdecydowanie zbyt wielu

przypadków śmierci na policyjnych komisariatach i kolejny tego typu incydent nie jest absolutnie potrzebny. Społeczeństwo i bez tego nam nie ufa.

A nieufność to zmora naszych czasów, myślę, zapadając się głębiej w fotel. Stajemy się samotnymi fortecami nie do zdobycia, wolimy umrzeć z tęsknoty niż odsłonić się i narazić na kolejne rany. Trudno kogokolwiek winić za tego typu zachowanie. Sam jestem taką fortecą. Zbudowałem ją wokół siebie dawno temu. Z jej powodu wstąpiłem też do policji. Myślałem, że będąc częścią służb ścigających kryminalistów, i to tych najcięższego kalibru, zdołam kruszyć fortece innych ludzi, a każdy sukces zacznie naruszać moją własną. Nic bardziej mylnego.

Zasieki skrzywdzonego człowieka są stabilne i mocne. Ciągły kontakt ze złem tylko wzmocnił fortecę, którą otoczyłem się za młodu. Momentami mam wrażenie, że to zło oblepia mnie jak kleista maź, której nie sposób się pozbyć. Przenika ono do mojego życia tak bardzo, że staje się chlebem powszednim. Chcę wierzyć, że dzięki temu, że biorę je na swoje barki, świat wokół staje się choć odrobinę lepszy.

- Możesz już z nią pogadać - słyszę głos Magdy. Stoi w progu pokoju ze skrzyżowanymi rękoma. - Nic jej nie jest - dodaje.

- Co stwierdził lekarz? - pytam, prostując się w fotelu.

Aspirantka jak zwykle czynnie zaangażowała się w to, co wydarzyło się na komendzie, nadzorowała działanie pracowników medycznych, którzy przybyli na nasze wezwanie.

- Zwykłe omdlenie - oznajmia Mikulska. - Najpewniej spowodowane silnym stresem, może nawet atakiem paniki. Nic nadzwyczajnego. Już jest przytomna i ma się dobrze.

- Nie symulowała?

- Lekarz twierdzi, że nie.

- Czym się tak przejęła? - rzucam.

- Jak to: czym? - prychna policjantka w typowy dla siebie sposób. - Pali jej się koło dupy.

Magda ciągle jest mężatką, upominam się w duchu. Tyle że już nie mieszka z mężem. Może to dobry czas, abym odważył się do niej uderzyć? Czuję, że ta kobieta ma w sobie coś, co pomogłoby mi skruszyć mury ograniczającej mnie fortecy.

- Myślisz? - zmuszam się, aby skupić się teraz na tym, co ważne.

- Po co miałyby łązić po Stawikach? - ripostuje Magda. - Jeszcze o takiej porze? Wiesz, jakie tam jest teraz wypizdowo? Wróciła na miejsce zbrodni.

- Wyślę chłopaków, aby przeszukali teren - decyduję. - Jeśli to faktycznie ona była na torach, to najpewniej gdzieś tam zgubiła telefon. Może uda się go znaleźć.

- O ile rzeczywiście ten telefon zgubiła. - Koleżanka puszcza mi oczko.

Związek Magdy wciąż się nie zakończył, powtarzam sobie w duchu. Co więcej, policjantka nadal słowem nie pisnęła, że wyprowadziła się z domu, więc bardzo możliwe, że to jedynie chwilowe małżeńskie zawirowania. Nie mogę tego wykorzystać, nie chcę w ten sposób zdobywać kobiety.

- Jak chcesz, to ja z nią pogadam - oferuje aspirantka.

- To moja działka - oświadczam, robiąc wszystko, aby odsunąć od siebie nieprzyzwoite myśli o koleżance.

- Jasne, szefie. - Magda teatralnie unosi ręce. - Tylko nie daj się jej zmiękczyć. Widzę, że ładnie potrafi manipulować.

- Co masz na myśli?

- Smutne oczka, płaczliwa minka, nieźle jej to wychodzi. Tymczasem nie zapominaj, że kobiety potrafią być bardzo, bardzo przebiegłe - dodaje, znów puszcżając mi oczko.

Odpowiadam uśmiechem. Lubię jej zaczepny sposób bycia i to, jak mi się przygląda, kiedy się ze mną droczy.

- Nie martw się, wiem, co robię - zapewniam. - Ale gdybym potrzebował pomocy, to przecież wiem, gdzie cię szukać.

- Już samo to, że nie raczyła dać znać, że ma nowy numer telefonu, jest podejrzane. - Magda kończy nasze przekomarzanie.

- Twierdzi, że nie pomyślała o tym. O tym, że może być nam jeszcze... potrzebna.

Okej, przedtem odpuściłem temat, ale teraz tłumaczenia Sabiny nie wydają mi się już takie zasadne.

- Taaa, oczywiście, że nie pomyślała - komentuje Magda cynicznym tonem.

- Dobra, idę z nią pogadać.

- Przyciśnij ją.

26.

Wchodzę do pokoju przesłuchań. W pomieszczeniu jest Piotrek. Młody policjant nie opuszcza Sabiny na krok od momentu jej omdlenia. Trzyma się na uboczu, czujny i gotowy do działania. Za chwilę przejmie rolę protokolanta. Wcześniej zrezygnowałem z zapisu rozmowy, chciałem zobaczyć, jak dziewczyna będzie się zachowywać, kiedy pozostaniemy tylko we dwoje, bez świadków. Drugi raz się na to nie zdecyduję.

Sabina siedzi ze spuszczoną głową, a ciasno splecione dłonie trzyma na blacie. Nie rusza się. Przypomina posąg. Wygląda jak rzeźba, którą postawiono w niewłaściwym miejscu.

Kiedy siadam naprzeciw niej, pomimo przysyłających jej twarz włosów dostrzegam, że jest blada niczym trup. W połączeniu z jej bezruchem sprawia to iście upiorne wrażenie. Wstrząsa mną dreszcz, ta dziewczyna jest bardziej tajemnicza, niż mogłoby się wydawać.

Gancarek wyczuwa mój wzrok i odrobię unosi głowę. Spoglądam w jej oczy, przechodzą mnie kolejne ciarki. Tym razem nawiedzające mnie odczucie jest tyleż nieprzyjemne, co wyraziste, zwyczajnie sugestywne. Mam przed sobą potężną, całkowicie szczelną fortecę. Ból i rozgoryczenie w jej oczach są nie do zignorowania. Wylewają się z jej spojrzenia strumieniami, atakują jak zaraza. Widziałem je setki razy, ale nigdy w takim natężeniu. Może i ta dziewczyna jest morderczynią, ale to też ofiara. Dziecko, którym kiedyś była, na pewno jest ofiarą. Czy jest nią nadal?

„Przyciśnij ją”, dźwięczą mi w głowie słowa Magdy. „Kobiety potrafią być bardzo, bardzo przebiegłe...”

- Może pani rozmawiać? - odzywam się, uciszając dudniące w mojej głowie myśli. Kładę przy tym plik kartek na stole. Zaczynam je segregować i dopytuję: - Czuje się pani na siłach?

- Co się stanie, jeśli powiem, że nie? - odpowiada po krótkim namyśle. Mówi cicho. Tak cicho, że ledwie ją słyszę.

- Cóż... - wzdygam. - Lekarz stwierdził, że nic pani nie dolega, więc najlepiej będzie, jeśli wyjaśnimy sobie kilka spraw.

Posyła mi krótkie, do bólu udręczone spojrzenie. Ofiara, mam przed sobą ofiarę, upiera się mój wewnętrzny głos, który skutecznie zagłusza wszystkie inne. Biorę jeszcze jeden głęboki wdech, a potem mówię:

- Kiedyś nazywała się pani Karolina Wideł.

Sabina kiwa potakująco głową. Nie patrzy na mnie, wzrok ma utkwiony w swoich dłoniach.

- Do dwudziestego piątego roku życia przebywała pani w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym... - Milknę, sprawdzając reakcję dziewczyny, ale ta nadal przypomina kamienny posąg. - Po wyjściu zmieniła pani imię i nazwisko.

I znów czekam, aż Sabina coś powie. W pokoju panuje gęsta od niedopowiedzeń cisza. Gancarek odzywa się, kiedy już myślę, że nigdy tego nie zrobi.

- Musiałam - szepcze. - Musiałam zmienić swoje personalia.

- Żeby zacząć od początku? - zgaduję. - Żeby móc żyć normalnie?

- Normalnie - prycha. - Czy można żyć normalnie po... Po czymś takim?

Nie zamierzam wdawać się w tego typu dyskusje z przesłuchiwaną. Nie znam też odpowiedzi na to pytanie. Jest zbyt trudne.

- W wieku trzynastu lat zabiła pani własną matkę - rzucam zatem.

- Tak. - Sabina przytakuje najkrócej, jak się da.

Przeglądałam rozłożone przed sobą notatki. Prześlizguję się wzrokiem po zapiskach. Gancarek, wtedy Wideł, roztrzaskała głowę matki o kuchenne szafki. Uderzeń było kilkadziesiąt, z akt wynika, że uderzała nią jeszcze długo po tym, jak kobieta zmarła. Kuchnia była cała we krwi, za to trzynastoletnia Karolina nie. Najprawdopodobniej po morderstwie wykąpała się i przebrała w czyste ubranie. Nie wiadomo, co zrobiła z zakrwawionymi ciuchami. Kiedy do mieszkania wrócił Wiesław Popławski, ówczesny partner matki, dziewczynka siedziała w kuchni przy stole, gapiąc się na zwłoki. Według biegłych psychiatrów Karolina Wideł była niepoczytalna w chwili popełniania zbrodni, a samo zdarzenie wywołało u niej zespół stresu pourazowego. Przez tygodnie w ogóle nie pamiętała, co się wydarzyło. Została umieszczona w szpitalu psychiatrycznym. Po dwunastu latach dano jej szansę powrotu do społeczeństwa.

- Nie miała pani lekkiego dzieciństwa - stwierdzam, odrywając spojrzenie od dokumentów.

- No nie, nie miałam. Mogę? - Sabina wyciąga rękę w stronę swojej torebki, która leży na stole.

Gestem dłoni wydaję jej pozwolenie, choć nie mam pojęcia, co dziewczyna chce zrobić. Obserwuję ją uważnie.

Sabina otwiera torebkę i wyjmuję z niej... paczkę fajek. Marszczę czoło, zastanawiając się, czy ona naprawdę chce to zrobić, zapalić tutaj papierosa. Już minęły te czasy, kiedy z fajką w zębach przesłuchiwało się świadków, teraz przy pierwszym machu włączyłby się alarm przeciwpożarowy.

Dziewczyna wyjmuję z paczki jednego papierosa, nie wkłada go jednak do ust, ale zaczyna ugniatać w palcach.

- To mnie uspokaja - wyjaśnia.

- Pali pani? - rzucam.

- Paliłam. Trudno nie wrócić do nałogu, kiedy... - Milknie, jeszcze gwałtowniej miętosząc fajkę w dłoni. - Kiedy kolejny

raz się tutaj trafia. Ale jeszcze jakoś się trzymam.

- Jako dziewięciomiesięczne niemowlę trafiła pani do szpitala z pęknięciem czaszki, połamanymi żebrami i potłuczoną nerką - mówię, wracając do głównego tematu. - Stwierdzono wtedy także szereg wcześniejszych złamań kończyn, które samoistnie zdążyły się wygoić.

- Tak mi powiedzieli - przyznaje dziewczyna.

- Z dokumentów wynika, że pani matce nie postawiono zarzutów, za to ojciec został skazany na osiem lat więzienia. Odsiedział całość wyroku.

- Mama chciała, aby dalej byli razem.

Przyglądam się Sabinie z zaciekawieniem, takich rewelacji w aktach już nie znajdę.

- Kochała go - oznajmia. - Bardzo go kochała. A mnie obwiniała o to, że go straciła. Bo to przecież przeze mnie poszedł siedzieć.

Zaciskam szczękę, słysząc te słowa.

- Tak mi mówiła. - Sabina opowiada dalej. - Ciągłe mi to powtarzała.

Dziewczyna przenosi wzrok na zakratowane okno. Jest ciemne, na zewnątrz zdążył zapaść już zmrok.

- Mama początkowo w ogóle o ojcu nie wspominała. Nie miałam pojęcia, że się nade mną znęcał. - Prycha nerwowo. - Był nawet taki czas, że chciałam do taty. Nie rozumiałam, dlaczego muszę mieszkać z mamą, skoro mnie tak źle traktuje, nie miałam pojęcia, gdzie jest ojciec. Wyobrażałam sobie, że byłoby mi u niego dobrze, że mógłby mnie zabrać i zająć się mną tak, jak należy. W końcu mi powiedziała, że ojciec siedzi w więzieniu.

Gancarek milknie, najwyraźniej potrzebuje przerwy. Nie poganiam jej, widzę, że mówienie o przeszłości jest dla niej bardzo trudne.

- I że trafił tam przeze mnie. - Dziewczyna ostro wciąga powietrze do płuc. - Nie powiedziała mi, za co został skazany, ale że wszystko stało się przeze mnie. Potem już cały czas powtarzała, że to wszystko moja wina. O tym, dlaczego ojciec wyłudował w pace, dowiedziałam się dużo później, już jako dorosła kobieta.

- I nie wrócił do domu po wyjściu z więzienia? - dopytuję.

- Nie, już nigdy nie pojawił się w naszym życiu. Choć mama bardzo tego chciała. I próbowała go przekonać. Nic z tego nie wychodziło, a im dłużej się jej nie udawało, tym okrutniejsza stawała się dla mnie.

- A z panią ojciec się kontaktował? - Nie ma to większego znaczenia dla prowadzonych przeze mnie dochodzeń, ale jestem po prostu ciekawy, jak dalej potoczyła się ta historia. Jak po latach zachowywał się oprawca dziewczyny.

- Nie, nigdy. - Sabina kręci głową. - Od początku byłam dla niego nikim.

- I cały czas mieszkała pani tylko z matką?

- Po paru latach mama wreszcie odpuściła sobie ojca. Wtedy zaczęła sprowadzać do domu różnych facetów. Najpierw były to sporadyczne wizyty, później już bardzo częste. Wbrew pozorom lubiałam te noce, bo dawała mi wtedy spokój, była zajęta czymś innym. Przeszkadzały mi tylko te jęki, wtedy nie wiedziałam, co to za odgłosy. - Dziewczyna śmieje się nerwowo. - Bałam się, że może dzieje się jej krzywda. Mimo że była dla mnie okropna... martwiłam się o nią. - Znów ten sam nerwowy śmiech. - A potem przestali przyłazić i wprowadził się do nas Wiesiek.

- Wiesław Popławski? - upewniam się.

- Tak.

- Coś się wtedy zmieniło? - pytam z nadzieją, że sytuacja Sabiny nieco się poprawiła, kiedy jej matka zaangażowała się w nowy związek, choć znam odpowiedź. Było tylko gorzej, skoro skończyło się atakiem dziewczyny na matkę.

- Jeśli pyta pan o Wieska - podejmuje Gancarek - to był wobec mnie w porządku. Nigdy nie zrobił mi żadnej krzywdy.

Ale w twojej obronie też nigdy nie stanął, myślę, choć nie mogę tego wiedzieć na pewno. Za to na pewno nie przerwał koszmaru dziewczynki. Przyzwolenie na krzywdę niczym nie różni się od jej wyrządzania.

- Mama właściwie robiła mi to samo, co tata - odzywa się jeszcze Sabina, kiedy moje myśli wciąż zaprzęta Popławski. - No może nie do końca, bo jednak do szpitala nigdy później już nie trafiłam. Ale... - Oczy dziewczyny zachodzą ławą mgłą. - Nie mogłam tego znieść. Tego, jak mnie nienawidzi. Tego, jak dzień w dzień pokazuje mi, jak bardzo mną gardzi. Przecież byłam jej córką! A traktowała mnie jak... jak śmiecia. - Pociąga nosem. Nie mam złudzeń, że jej wspomnienia wciąż są żywe. I bolesne. - Nie wiem, dlaczego akurat wtedy. Pamiętam, że kazała mi posprzątać łazienkę, Wiesiek znów nie trafił do kibla i zrzygał się na podłogę obok. Robiłam to wiele razy, ciągle po nim sprzątałam, ale wtedy... coś we mnie pękło.

Domyślam się, że mówi o dniu, kiedy zabiła. Nie ma potrzeby tego roztrząsać, ta sprawa została rozstrzygnięta lata temu, jednak nie daje mi spokoju, że w ogóle do tego wszystkiego doszło. Że nikt nie przerwał dramatu dziecka, którym była.

- Nie powiedziała pani nikomu? O tym, co działo się w domu? - pytam, doskonale zdając sobie sprawę, że to wcale nie jest takie łatwe, jak mogłoby się wydawać. Że dziecko często nie uświadamia sobie, jak bardzo jest krzywdzone. Naturalnie jest też bardzo przywiązane do rodzica, to sprawia, że wiele mu wybacza, a o wszystko obwinia siebie. Wiem również, że czasem zwyczajnie nie ma się do kogo zwrócić o pomoc. - O tym, jak panią traktowała matka? Nikomu pani nie powiedziała?

- Raz próbowałam - odpowiada, po czym długo spogląda gdzieś w bok. Czekam, bo mam wrażenie, że chce jeszcze coś powiedzieć. - Ale nie zostałam potraktowana poważnie - dodaje.

Znów czekam, czy padną jeszcze jakieś słowa, ale tym razem nic takiego się nie dzieje. Za to dziewczyna odrywa wzrok od ściany i przenosi go na mnie. Patrzy mi prosto w oczy, a jej spojrzenie przesiąknięte jest... pretensją. Nie uciekam od tego, wiem, że system nie działa idealnie, że zbyt wiele dzieci doświadcza przemocy domowej i nigdy nie zostaje to wyłapanie. A ja jestem częścią tego systemu.

- Nie przerwała pani leczenia psychiatrycznego, prawda? - Docieram wreszcie do sedna naszej rozmowy.

- Nie. Nie mogłam. Bez terapii nie poradziłabym sobie.

- Wie pani, że Katarzyna Jaworska też leczyła się psychiatrycznie?

Sabina nie przestaje na mnie patrzeć. Nie wydaje się ani zmieszana, ani zaskoczona informacją. Sprawia wrażenie wyzutej z emocji, chyba jest po prostu zmęczona.

- W tej samej przychodni co pani - mówię więc dalej. - Może teraz sobie ją pani przypomina? Może właśnie stamtąd się znacie?

Na twarzy dziewczyny wciąż maluje się obojętność.

- Pani Sabino? - dopytuję.

- Nie znam tej kobiety. - Gancarek wciąga mocno powietrze przez nos. - Po prostu jej nie znam.

Są różne typy morderców. Po świecie chodzi mnóstwo zwyrodnialców, których wyrachowanie i okrucieństwo systematycznie narasta. Zupełnie tak, jakby wraz z postępem cywilizacji zło ulegało swoistej centralizacji i wybuchało ze zwielokrotnioną mocą w owładniętych nim jednostkach. Zamiast masowego rozlewu krwi, który przecież charakteryzował ludzkość od zarania dziejów, mamy do czynienia ze spersonalizowanym bestialstwem, a zbrodnie popełnianie przez współczesnych barbarzyńców wykraczają daleko poza ramy człowieczeństwa.

Różne są też ofiary. Są ofiary, które przyprawiają nas o autentyczny ból serca. Są tacy nieszczęśnicy, których los i ogrom zadanego im cierpienia wyciskają łzy z oczu. Są ofiary, których nam zwyczajnie szkoda. Albo takie, obok których przechodzimy obojętnie. Ale są też takie, które wywołują w nas gniew, które budzą nasz pierwotny instynkt odwetu i wymierzenia sprawiedliwości na własną rękę.

Dzieci. Niewinne istoty doświadczające podłości, o którą żadne z nich nie powinno się nawet otrzeć.

Polityczne statystyki są przerażające. Niemowlęta niepokojąco często padają ofiarami swoich rodziców - ludzi, którzy powinni obdarzać je bezgraniczną miłością i ponad wszystko dbać o ich bezpieczeństwo. Tymczasem zamieniają ich życie, i to nieraz od pierwszych dni ich istnienia, w piekło. Ranią tak, że dla sporej ich części to zbyt wiele. Ich drobne, często jeszcze nie w pełni rozwinięte ciała zwyczajnie tego nie wytrzymują. Umierają, zanim w ogóle są w stanie pojąć, jaką krzywdę wyrządziły im osoby, które sprowadziły je na ten świat. A to tylko sfera fizyczna. Nie sposób sobie wyobrazić, co dzieje

się w głowie dziecka, które przeżywa całe lata katuszy. Kim stają się te bezdusznie krzywdzone niewiniątka? Na jakich ludzi wyrastają?

Na jakiego człowieka wyrosła Sabina?

Zadaję sobie to pytanie, po raz kolejny przeglądając stare policyjne akta. Sabina wie, co zrobił jej ojciec, ma świadomość, jak bardzo ją skrzywdził. Myślę, że między innymi dlatego zaangażowała się w działalność Interwencyjnego Ośrodka Preadopcyjnego. Sabina też doskonale pamięta, jak traktowała ją matka. O tym już nie ma nic w aktach, ale tych kilka zdań, które mi o niej powiedziała, i fakt, że w napadzie niekontrolowanego gniewu pozbawiła ją życia, nie pozostawiają złudzeń. Ze strony matki Gancarek też nie doświadczyła tego, czego powinna. Zresztą nie potrzebuję więcej zapewnień. Nie wierzę matkom, które twierdzą, że nie miały pojęcia, iż ich pociechom dzieje się krzywda. Zawsze są współwinne. Bo to one są na pierwszej linii frontu między bezbronnymi dziećmi a draństwem tego świata. Są swego rodzaju strażniczkami. Czujnymi wartowniczkami. Opiekunkami. To naturalne zachowanie w świecie zwierząt, każda lwica, wilczyca czy niedźwiedzica walczy na śmierć i życie, kiedy w grę wchodzi bezpieczeństwo ich potomstwa. Dlaczego my, ludzie, zatracamy instynkty, które w gruncie rzeczy nas uczłowieczają? Coraz większa wiedza i coraz swobodniejszy do niej dostęp paradoksalnie, zamiast uczynić nas bardziej ludzkimi, ogłupiają nas.

Ofiara. Widzę w Sabinie ofiarę. Była nią od początku, od pierwszych chwil swojego istnienia. Doznała zła, i to w jego najciemniejszej barwie.

Odkładam akta i ze znużeniem przecieram oczy. Przypomina mi się swego czasu wycofany z księgarń poradnik dla rodziców zachwalający kary cielesne wobec dzieci. Więcej, książka zawierała instrukcje, jak takie kary skutecznie wymierzać, oraz

tezy, że im mniejsza pociecha, tym skuteczność bicia większa. Szczęście w nieszczęściu – bo nie pojmuję, jak taki podręcznik mógł w ogóle powstać – że książka wzbudziła tak olbrzymie kontrowersje, że szybko zaprzestano jej sprzedaży. To pozwala mi mieć nadzieję, że w młodym pokoleniu wciąż tkwi dobro.

Czy ofiara może stać się oprawcą? – zastanawiam się. Co nienawiść może zrobić z człowiekiem? I co zrobiła z dzieckiem, którym kiedyś była Sabina?

- No i wypuściłeś ją.

Unoszę spojrzenie. Magda przygląda mi się z dezaprobatą.

- Nie mamy podstaw, aby ją aresztować – mówię.

- Ale na dołku mogłeś ją zostawić. Posiedziałyby trochę, toby zmiękla.

- Ku temu też nie ma podstaw – oświadczam, jakby kilkudziesięciogodzinne zatrzymanie podejrzanego w areszcie stanowiło wyzwanie.

Niewykluczone, że gdyby chodziło o kogoś innego niż Gancarek, zrobiłbym to. Choćby po to, aby sprawdzić, czy – jak to Magda ujęła – nie zmięknie. Nie jestem jednak przekonany, że Sabina miałaby się do czegoś przyznawać. Nie tylko nie mam co do niej twardych dowodów, ale także tego nie czuję. Za to dziewczyna ma w sobie tyle bólu, że nie chcę być dla niej bezpodstawnie bezwzględny. Oczywiście, jeśli pojawią się niezbite argumenty świadczące o jej winie, to się zmieni, ale teraz nie chcę jej nękać. Wystarczająco dużo w życiu wycierpiała.

- Żebyś tego nie żałował – rzuca Magda, niezmiennie niezadowolona z moich decyzji.

Dobrze powiedziane, myślę, żebym czasem nie pożałował swojej pobłażliwości.

Policjantka zostawia mnie w pokoju samego. Obracam twarz w stronę okna i gapię się na czarną od mroku nocy szybę.

Szczypią mnie oczy, jestem potwornie zmęczony. Kiedy zaczyna dzwonić moja komórka, wstrzymuję się z sięgnięciem po nią, jeśli to coś mało ważnego, zaraz ucichnie. Nie jestem w nastroju do byle rozmów. Odczekuję kilka sygnałów, ale telefon wciąż dzwoni, zerkam więc na wyświetlacz. W jednej chwili mój humor diametralnie się zmienia.

Mama.

Dla tej kobiety zawsze mam czas. Dla mojej strażniczki, czujnej wartowniczkii i opiekunki, która zrobiła wszystko, co było w jej mocy, a nawet więcej, aby mnie chronić. Wzięła na siebie cały ciężar zła mojego ojca i słono za to zapłaciła.

SABINA

28.

Jestem w kompletnej rozsypce, przeszłość wróciła do mnie ze zdwojoną siłą. Próbowałam wszystkiego, aby przed nią uciec, a ona i tak mnie dogoniła. Miłek dowiedział się, kim jestem. Nie tylko dotarł do mojej starej dokumentacji medycznej, ale także wie, gdzie obecnie się leczę.

Jadę do Mysłowic, jak zwykle, kiedy tracę grunt pod nogami. W tramwaju trzęsę się jak galareta, od rana nie miałam nic w ustach, w pracy byłam zbyt zestresowana, aby jeść, a później zgarnęła mnie policja. Zanim pójde do mieszkania, wstępuję do sklepu. Wiesiek pewnie ma pustą lodówkę, a nie chcę znów zemdleć.

Zatęchły smród na klatce schodowej przyprawia mnie o mdłości. W mieszkaniu wcale nie jest lepiej, cuchnie fajkami tak, że ledwo powstrzymuję odruch wymiotny. Podejrzewam, że kiedy wreszcie coś zjem, ten odór zadziała na mnie inaczej, obudzi we mnie głód nikotynowy.

Wiesiek nie śpi. Siedzi w fotelu i gapi się w telewizor. W palcach trzyma żarzącego się papierosa, na stoliku obok leży otwarta butelka taniego wina.

- Jadłeś coś dziś? - pytam, przystając w progu.

Mężczyzna kręci głową, jest już dobrze wstawiony. Wchodzę do pokoju i uchylam okno. Nie mam pojęcia, kiedy ostatnio Wiesiek wietrzył mieszkanie, ale w pomieszczeniu panuje taki zaduch, że aż ciężko się oddycha.

Siadam na kanapie, na której zwykle śpi gospodarz, i wyjmuję z reklamówki bułki. Kładę je na stole obok butelki z alkoholem.

- Często się - rzucam, wgrzyzając się w pieczywo. Powinam się brzydzić jeść w tym mieszkaniu, ale przecież kiedyś było moim domem, a poza tym czuję, że jeśli szybko czegoś nie zjem, skończy się to tak jak wcześniej na komendzie.

- Jak tam, Sabinko? - odzywa się Wiesiek, też sięgając po bułkę.

Zawsze o to pyta. Zawsze, kiedy uda nam się zobaczyć, bo zwykle, gdy wpadam przynieść mu trochę jedzenia, śpi nawalony do nieprzytomności. Pił, odkąd się do nas wprowadził, kiedy zabiłam matkę, zaczął chlać jeszcze więcej. Można się dziwić, że to robię, że tutaj przychodzę i jeszcze zapełniam alkoholikowi lodówkę, ale to mój jedyny bliski. Nie łączą mnie z nim więzy krwi, jednak to człowiek, który ofiarował mi więcej życzliwości niż moja własna matka. Nigdy mnie skrzywdził. Czasem, kiedy był trzeźwy, stawał nawet w mojej obronie. A kiedy posłałam na tamten świat kobietę, którą darzył miłością, zrozumiał. Nie usłyszałam z jego ust słowa pretensji, widział, jak mnie traktowała, jak mnie niszczyła, i wiem, że tego nie popierał.

Jem bułkę i przyglądam się Wieškowi. Nie wygląda aż tak źle, jak można byłoby tego oczekiwać. Jest wychudzony i śmierdzi, ale całkiem nieźle się trzyma. Najwyraźniej jego organizm jest wyjątkowo silny.

- Znalazłaś nową robotę? - pyta. Kiedy Jowita mnie zwolniła, też wylądowałam tutaj. Wyżaliłam się Wieškowi. Jak zwykle mnie wysłuchał.

- Tak - odpowiadam krótko.

- To dobrze - bąka. - Dobrze cię tam traktują?

- Tak. Tylko duży tam ruch. Trochę za duży dla mnie.

- Napijesz się? - pyta, sięgając po butelkę z alkoholem.

- Nie.

Przyglądam się, jak Wiesiek zapija zjedzoną przed chwilą bułkę winem, a potem sięga po papierosa.

- Dalej nie palisz? - upewnia się, gdy odpala fajkę.

Teraz, kiedy zapełniłam żołądek, tak jak podejrzewałam, zapach dymu nikotynowego przestał mi przeszkadzać. Nabieram ochoty, aby zapalić. Jeśli to zrobię, już całkowicie cofnę się do dawnego życia. Tyle że chyba już się to stało.

Sięgam po paczkę, którą Wiesiek położył na stole. Wyjmuję papierosa, podpalam go. Zaciągam się dymem i natychmiast zaczyna mi się kręcić w głowie. Dłonie coraz bardziej mi się trzęsą, mimo to palę dalej, w nadziei, że w końcu przedostająca się do mojego organizmu nikotyna mnie uspokoi. Nic z tego.

Idę do łazienki, bo ciśnie mnie na pęcherz. Kiedy wracam, Wiesiek leży na kanapie, powieki mu opadają. Najwyraźniej kiedy przyszedłam, był bardziej wstawiony, niż mi się wydawało. Wiem, że zaraz zaśnie. Zawsze tak robił, nigdy nie awanturował się po pijaku, tylko potulnie szedł spać.

Rozpakowuję resztę zakupów, które zrobiłam. Wiesiek będzie miał co jeść przez kilka najbliższych dni. Zanim wyjdę, zaczyna dzwonić moja komórka. To Grzesiek. Wzbiera we mnie wściekłość na Miłka. Dotarł do mojej przeszłości, czuję się przez to tak, jakby mnie zdemaskował. Miażdży mnie poczucie, że to jedynie kwestia czasu, gdy o wszystkim dowiedzą się inni, w tym Niemczyk. Nie odbieram. Wracam do siebie. Grzesiek próbuje jeszcze kilka razy się ze mną połączyć. Ignoruję go.

Kładę się do łóżka, potrzebuję snu. Ale on nie przychodzi. Mijają minuty, w końcu godziny. Nie zasnę. Wstaję i wygrzebuje z szuflady opakowanie Lorazepamu. Potrzebuję czegoś, co mnie wreszcie uspokoi. I utuli do snu.

Łykam dwie tabletki. Po chwili decyduję się na jeszcze jedną. Wracam do łóżka i po kilkunastu minutach przychodzi upragniony sen.

29.

Dudni mi w uszach. Łoskot jest tak silny, że wydaje mi się, że zaraz pękną mi bębenki. Przyciskam dłonie do uszu, ale ciężkie uderzenia nie ustają. Nie potrafię zrozumieć, skąd ten cały hałas, chcę tylko, aby się skończył. Tak się nie dzieje. Za to po chwili dolatuje mnie jeszcze jakiś głos. Brzmi dziwnie, jakby pochodził z zaświatów. Woła moje imię.

Moje imię?

Wreszcie uświadamiam sobie, że ktoś naprawdę wydziera się wniebogłosey. W tej samej chwili dociera do mnie, że leżę w łóżku, a uciążliwy hałas to kolejne uderzenia ludzkich pięści o drewnianą powierzchnię drzwi. Drzwi do mojego pokoju.

Przytomnieję na dobre. Odrywam dłonie od uszu i podnoszę się z materaca. Gwałtowna zmiana pozycji przyprawia mnie o mdłości.

- Sabina! - Głos za drzwiami po raz kolejny wykrzykuje moje imię. - Wiem, że tam jesteś. Otwórz! - Słyszę nerwowe szarpanie za klamkę. - Co się dzieje, do cholery?

Rozpoznaję głos - to Grzesiek. Od kilku dni z nim nie rozmawiałam. Nie potrafię. Od ostatniego spotkania z Miłkiem faszeruję się też Lorazepamem. Jestem od niego potwornie śpiąca, ale tylko tak otumaniona jakoś sobie radzę.

- Sabina, do jasnej cholery, odezwij się! - Nawoływania nie ustają. Zaciskam powieki, próbując to po prostu przeczekać. Łudzę się, że zaraz ucichną na dobre.

Po chwili otwieram gwałtownie oczy: czy ja powiedziałam Grześkowi, gdzie mieszkam? Po jednym ze spotkań przywiózł mnie pod blok, ale nie wydaje mi się, abym mówiła mu,

w którym konkretnie mieszkaniu wynajmuję pokój. Jakim więc cudem tutaj jest?

Przypomina mi się, że tamtego wieczoru Grzesiek nie odjechał od razu. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Na drugi dzień uznałam, że coś mi się pomieszało od tych pieprzonych leków, ale teraz... Niemczyk stoi za drzwiami mojego pokoju. Czyli jednak wtedy mnie obserwował.

- Sabina! - Do moich uszu dociera kolejne nawoływanie. - Dosyc tego! Otwórz!

- Mówilem... - Przez drzwi dolatuje mnie inny głos. Ten należy do Konrada. - Ostatnio zachowuje się strasznie dziwnie...

- Nie dość, że zadarła z policją... - słyszę i trzeci głos, którego właścicielem z kolei jest Norbert - to jeszcze takie rzeczy jak teraz odpierdala...

- Sabina! Proszę cię, otwórz! - Głos Grzeška jest nerwowy, wyraźnie pobrzmiewa w nim niepokój. Przymykam powieki, już niczego nie rozumiejąc, bo troska, którą słyszę, tak bardzo nie pasuje do tego, że mnie podglądał. - Otwórz te drzwi! - woła znów.

- Sabina, do kurwy, otwórz! - Tym razem Konrad podnosi głos. - Jeśli zaraz nie otworzysz, zadzwonię na policję! - krzyczy.

Podchodzę do drzwi, bo wszystko wskazuje na to, że chłopaki nie odpuszczą. Tego jeszcze brakuje, aby wezwali pomoc. Spotkanie z policją to ostatnie, czego mi w tym momencie potrzeba.

Otwieram drzwi i widzę całą trójkę. Gapią się na mnie z ogłupiałymi minami i nic nie mówią. Zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, jak fatalnie muszę wyglądać. Wczoraj byłam zbyt wyczerpana, aby się wykąpać. Po powrocie z hipermarketu łyknęłam tylko pigułka i od razu wślizgnęłam się do łóżka.

- Sabino, dobrze się czujesz? - odzywa się Grzesiek, przyglądając mi się podejrzliwie. Najwyraźniej prezentuję się gorzej, niż sądziłam.

- Wczoraj miałam ciężki dzień - mówię, unikając wzroku każdego z nich. - Potrzebuję trochę spokoju. Muszę odpocząć. Czego chcecie?

- Sprawdzić, czy w ogóle żyjesz - odzywa się Konrad zniecierpliwionym tonem. - Wczoraj nie dałaś znaku życia, nie słyszałem nawet, kiedy wróciłaś do domu... Przedwczoraj to samo. Od kilku dni snujesz się po mieszkaniu jak duch! W dodatku nie otwierasz drzwi!

- Dzięki za troskę - mamroczę, nadal unikając badawczych spojrzeń. - Żyję - dodaję - a teraz dajcie mi spokój.

Chcę zatrzaskać drzwi, ale Grzesiek blokuje je swoim ramieniem.

- Dobra, chłopaki, dalej już sobie poradzę - rzuca do moich współlokatorów i nim zdążę zareagować, wchodzi do pokoju. Instynktownie odsuwam się na bezpieczną odległość. - Sabino, co ty wyprawiasz? - warczy Grzesiek, kiedy drzwi się za nim zatrzaskują.

Obejmuję się ramionami i cofam na tyle, na ile pozwala mi niewielka przestrzeń pokoju.

- Zaraz, czy ty się mnie... boisz? - pyta, wbijając we mnie skonsternowane spojrzenie.

- Sama nie wiem - przyznaję.

Grzesiek wypuszcza ciężko powietrze z płuc, robiąc przy tym mały krok do tyłu.

- Sabino, jestem tu, bo się martwię - podejmuje. - Od kilku dni nie mogę się z tobą skontaktować. Nie odpowiadasz na moje telefony ani SMS-y. Mieliśmy się spotkać, pamiętasz?

Faktycznie, byliśmy umówieni. Nie było mnie stać nawet na to, aby odwołać spotkanie.

- Co się stało? - dopytuje. - Dlaczego nie odbierałaś? - docieka dalej, gdy milczę. - Nie odpisałaś na żadną wiadomość. Przestraszyłem się, że coś ci się stało. A teraz... - Wskazuje na mnie dłonią. - Wyraźnie widzę, że coś się dzieje.

Rozglądam się po pokoju, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Sabino, naprawdę się o ciebie martwię - powtarza lekarz.

- Ostatnio miałam trudne dni. - Zdobywam się na banalną odpowiedź.

- Powiedźże, do cholery, co się stało?! - Grzesiek traci cierpliwość.

Zaciskam mocniej ramiona na piersi, nic nie mówiąc, a Niemczyk ponownie wzdycha, wyraźnie zawiedziony moją postawą.

- No dobrze. - Podpiera się rękoma pod boki i próbuje dalej:
- O co chodzi z tą policją?

Sama wzmianka o policji przyprawia mnie o dreszcze.

- Chłopaki mówili, że ostatnio interesowała się tobą policja - dodaje, kiedy znowu nie odpowiadam. - O co chodzi?

- Co to ma być? - cedzę. - Przesłuchanie?

Grzegorz przygląda mi się chwilę w milczeniu, w końcu wzdycha, wyraźnie zmęczony sytuacją. Opuszcza przy tym ramiona, jakby nagle zabrakło mu energii.

- Przepraszam - mówi. - Nie miałem zamiaru cię przesłuchiwać. Po prostu się przestraszyłem, że coś ci się stało. Byliśmy umówieni, mieliśmy się spotkać, a ty nagle przestałaś się odzywać, jakbyś zniknęła z powierzchni ziemi.

I tak byłoby najlepiej, myślę. Dla wszystkich.

- Posłuchaj, przyszedłem tutaj, bo naprawdę się o ciebie martwię - odzywa się ponownie. - Pogadajmy, co?

- O czym? - Nadal zachowuję wytworzony między nami dystans.

- O czym będziesz chciała. Możesz opowiedzieć mi o swoich kłopotach albo o czymkolwiek innym. A jeśli nie chcesz mówić, to spędźmy trochę czasu razem. Często wystarczy po prostu być z kimś, aby poczuć się lepiej.

Patrzę na Grześka, nie rozumiejąc własnych emocji. Obawiam się go, choć nie mam ku temu podstaw. Tęsknię za nim, bo przez ostatni czas zdążyłam się do niego przywiązać. Brakuje mi go, bo zawsze przychodził mi z pomocą, kiedy jej potrzebowałam. A przy tym wszystkim wiem, że nie mogę tego dłużej ciągnąć. To od początku nie miało sensu. Nie potrafię zaufać, może nawet nie potrafię kochać.

- Proponuję, abyś wzięła prysznic, a potem wyskoczmy na miasto coś zjeść - odzywa się na nowo. - Domyślam się, że od wczoraj nic nie jadłaś. W ogóle chyba niewiele jesz.

Puszczam tę uwagę mimo uszu, nie musi mi przypominać, że ostatnio sporo schudłam, mam lustro.

- Przy okazji pogadamy - ciągnie Grzesiek. - Albo pomilczymy, jeśli będziesz woleć.

- Okej - zgadzam się, bo choć wcale nie mam na to ochoty, to czuję, że jestem winna Niemczykowi wyjaśnienia. Nie mogę tak z dnia na dzień się od niego odciąć, zbyt wiele mu zawdzięczam.

- Poczekam w kuchni - oznajmia lekarz. - Nie spiesz się.

30.

W kawiarni jest pustawo. Amatorzy jedania śniadań na mieście już się posilili i pognali do pracy, a na popołudniowe spotkania jest jeszcze za wcześnie. W lokalu zajętych jest tylko kilka stolików. Przy jednym siedzi starszy pan w grubym płaszczu, którego nie zdjął, choć jest tu bardzo ciepło, a obok dwie kobiety z dziecięcymi wózkami próbujące prowadzić ze sobą konstruktywną rozmowę, w czym pociechy skutecznie przeszkadzają. W rogu sali dostrzegam jeszcze parę nastolatków, nie wyglądają na więcej niż szesnaście, może siedemnaście lat. Najpewniej są na wagarach i przy okazji na randce.

Ekspres do kawy syczy głośno, kiedy Grzesiek wybiera dla nas posiłek, a ja kieruję się w głąb lokalu. Szukam stolika najbardziej oddalonego od pozostałych gości, szczęśliwie znajduję idealny tuż przy bocznym oknie.

Siadam na jednym z wygodnych foteli i zdejmuję kurtkę. Obserwuję toczące się za szybą życie i zaczynam się zastanawiać, czy wśród mijających kawiarnię ludzi są tacy jak ja – pogubieni i pozostawieni sami sobie.

- Uznałem, że kanapka z pastą jajeczną będzie odpowiednia na śniadanie.

Odrywam wzrok od okna i przenoszę go na tacę, którą Grzesiek stawia na stoliku. Nie protestuję, zjem cokolwiek. Jeśli zdołam.

- Do tego cappuccino na pobudzenie – dodaje lekarz, siadając naprzeciw mnie. - I jabłko. Przyda ci się trochę witamin.

Reaguję oszczędnym skinięciem głowy. Grzesiek w milczeniu przekłada jedzenie z tacy na stolik. Zauważam, że dla siebie przyniósł dokładnie to samo, co dla mnie. Upija łyk kawy, a potem wgrzyza się w kanapkę, nadal nic nie mówiąc.

Znów zapatruję się na świat za szybą. Niemczyk daje mi czas i przestrzeń, to warto docenienia. Jednak to na nic. Tego, że Grzesiek stał się dla mnie dziwnie obcy, już nic nie zmieni. Trudno mi uwierzyć, że jeszcze kilka dni temu pozwalałam mu się obejmować, a nawet się całowaliśmy. Skuteczność Miłka zrobiła swoje, czuję się całkowicie odsłonięta. Zupełnie tak, jakby poznanie mojej przeszłości przez jednego człowieka wiązało się z tym, że zaraz dowie się o niej cały świat.

- Jedz - nakazuje mi lekarz.

Sięgam po kanapkę, z ociąganiem odgryzam kęs. Nie czuję jej smaku, ale jakoś zjadam połowę.

- Więcej - upomina mnie.

- Nie wcisnę. - Odsuwam od siebie talerzyk z niedojedzoną kanapką.

Grzesiek pochłania swoją w całości. Kiedy wkłada do ust ostatni kęs, też odsuwa na bok talerzyk.

- No dobrze... - podejmuje, wkładając łyżeczkę do filiżanki z kawą. - Chciałbym, abyśmy podeszli do sprawy poważnie - mówi. - Ostatnio byłaś bardzo rozstrojona nerwowo, a teraz się dowiaduję, że masz jakiejś nieprzyjemności z policją. Nie chcesz rozmawiać ze mną jak z... - milknie, jakby szukał właściwego słowa - jak ze znajomym, któremu możesz zaufać, to porozmawiaj ze mną jak z lekarzem.

Odwracam twarz do okna i milczę.

- Sabino, co się dzieje? Dlaczego interesuje się tobą policja? Nadal się nie odzywam.

- Trzymanie w sobie tego, z czym się borykamy, zwykle przynosi złe skutki - oświadczają. - Czasem warto podzielić się

problemem z drugim człowiekiem.

Wciąż milczę.

- Nie chcę tego z ciebie wyciągać, ale jako twój lekarz obawiam się o to, co dzieje się w twoim życiu.

Przymykam powieki i myślę o tym, jak wiele straciłam. A wszystko przez kobietę, która mnie urodziła. Po co dawała mi życie, skoro chwilę później obdarła je z jakiegokolwiek wartości?

- Sabino... - Niemczyk się nie poddaje. - Daj sobie pomoc.

- Mnie się nie da pomóc - odzywam się, wciąż na niego nie patrząc. - Jestem zgniła od środka i nigdy nie dano mi szansy tej wewnętrznej zgnilizny się pozbyć.

Dopiero teraz widzę to bardzo wyraźnie. Długo karmiłam się złudzeniem, że może mi się udać, jednak to nigdy nie miało prawa się powieść. Zepsucie wyssałam z mlekiem matki, a potem wchłonęły je moje uszy, które słyszały zbyt wiele, oczy, które płakały za dużo, i skóra pokornie znosząca kolejne cięgi.

Może mordercą jest się zawsze? Kiedy zabije się raz, to tylko kwestia czasu, gdy zrobi się to ponownie. To coś jak narkotyk, po którego przyjęciu pragnie się go już zawsze. Zastanawiam się, czy zaniki pamięci, które funduje mi Deprotiksol, są w tej chwili dla mnie błogosławieństwem czy utrapieniem. I czy w końcu zaprowadzą mnie one za kraty. Tym razem więzienne.

- Wiem, że miałaś trudne dzieciństwo, jednak pamiętaj, że...
- Grzesiek urywa, kiedy pryham cynicznie pod nosem. -
Posłuchaj, masz po prostu słabszy czas, każdemu się to zdarza i...

- Zabiłam własną matkę - mówię i wreszcie przekręcam głowę w stronę Niemczyka. Lekarz marszczy brwi, jakby nie rozumiał wypowiedzianych przeze mnie słów. - Miałam wtedy trzynaście lat i nazywałam się Karolina Wideł. Trafiłam do zakładu psychiatrycznego, długo mnie tam trzymali, zanim uznano, że mogę wrócić do społeczeństwa.

Lekarz otwiera usta, potem je zamyka.

- Nie jestem warta twojej uwagi - rzucam, podnosząc się przy tym z miejsca. Opadam jednak zaraz z powrotem na krzesło, bo Niemczyk chwytą mnie za dłoń.

- Przeciwnie - mówi, zacieśniając uścisk. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

A jednak, Niemczyk nie miał pojęcia o mojej przeszłości. Banaszewski założył, że będę absolutnie szczerą ze swoim nowym lekarzem, albo świadomie dał mi wybór. Może uznał, że jestem w tak dobrej kondycji, że pozwolił, abym sama zdecydowała o tym, jakiej pomocy dalej potrzebuję.

- Powinnaś była mi powiedzieć - stwierdza Grzegorz.

- A co by to zmieniło?

- Wszystko.

- Właśnie. Gdybyś wiedział, nigdy byś się mną nie zainteresował. Jak kobietą. Byłabym dla ciebie jedynie trudnym przypadkiem. Matkobójczynią.

- Nie. Nie wiem. Ale na pewno byłbym w stanie lepiej ci pomóc.

- Nie zaproponowałeś mi tych nowych leków?

- Sabino... - Niemczyk mierzy mnie twardym spojrzeniem. - Nie waż się rezygnować z aplikacji deprotiksolu.

Wytrzeszczam oczy. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam.

- Słyszysz? - mówi. - Nie możesz się wycofać. Po prostu nie możesz.

- Dlaczego?

Budzą się we mnie stare obawy, że jednak z Narodowym Programem Ochrony Zdrowia Psychicznego jest coś nie tak. Potęguje je uścisk Niemczyka, jego dłoń zaciska się na mojej coraz mocniej, zaczyna sprawiać mi ból.

- Bez deprotiksolu utoniesz - stwierdza.

- Czyżby? - rzucam i wtedy atakują mnie fakty, które wcześniej zupełnie mi umknęły. Jaworska leczyła się tam, gdzie ja. Nie wiem, jaki lek przyjmowała ani pod opieką którego lekarza była, ale teraz kobieta nie żyje. Jowicie wygrażał jakiś mężczyzna i ona też już nie żyje.

Wpatruję się w Niemczyka, który na nowo opowiada mi o tym, jak fantastycznym lekiem jest Deprotiksol, i jestem w stanie myśleć tylko o jednym: a co, jeśli Miłek źle to wszystko zinterpretował? Jeśli ogniwem łączącym śmierci tych dwóch kobiet nie jestem ja, ale... lekarz, któremu zaufałam?

W tej chwili zaczynam wątpić nawet w to, że Niemczyk faktycznie jest tym, za kogo się podaje. Nagle wydaje mi się za młody na lekarza ze specjalizacją. Powiedział mi, że ma trzydzieści sześć lat, ale może być znacznie młodszy. Na takiego zresztą wygląda.

I jeszcze dziś zjawił się w moim domu. Obserwował mnie, aby wiedzieć, gdzie dokładnie mieszkam. Przekonał do udziału w programie, omamił jego korzyściami i nie pozwolił zrezygnować, gdy nabrałam co do przedsięwzięcia wątpliwości. Dalej chce mnie w nim utrzymać.

Wyszarpuję dłoń z uścisku Niemczyka, przewracam przy tym filiżankę z kawą. Wybiegam z lokalu, szybko, aby lekarz nie zdołał mnie zatrzymać.

31.

Budzi mnie ciężki, gęsty deszcz. Wielkie krople wody z miękkim plaskiem rozbijają się o parapet za oknem. Ociężałe przekręcam się na drugi bok, nie ma szans, abym poszła dziś do pracy. Nie chcę, nie mam na to siły. Zadzwonię i powiem, że jestem przeziębiona. Nie wiem, czy kierownik mi uwierzy, ale w gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi.

Przemykam powieki i wsłuchuję się w dudniący za oknem deszcz. Jego posępny łoskot potęguje moje zniechęcenie. Wiem, że w dużej mierze odpowiada za nie lorazepam, po który ostatnio sięgam już codziennie, ale nie potrafię bez niego zasnąć.

Zwlekam się z łóżka dopiero dobrą godzinę później. Biorę do ręki telefon, jest rozładowany. Obracam komórkę kilkakrotnie w palcach, nie mając pewności, czy chcę ją naładować. Może lepiej będzie pozostać niedostępną dla świata.

Po chwili jednak podnoszę się z miejsca, aby poszukać ładowarki. Muszę chociaż zadzwonić do sklepu i powiedzieć, że dziś nie przyjdę. Znajduję kabel zaplątany w pościeli. Podłączam komórkę i czekam, aż jej ekran się ożywi. Gdy tylko telefon na nowo nadaje się do użytku, zauważam nieodebrane połączenie od Grzeška i nieodczytane wiadomości, również od niego. Na szczęście nie ma nic od komisarza Miłka.

Dzwonię do marketu, kierownik jest niezadowolony. Nie wdaję się z nim w dyskusję, chłodno oznajmiam, że po prostu nie przyjdę dziś do pracy, i się rozłączam. Odkładam telefon, nie czytając SMS-ów od Niemczyka. Nie chcę znać ich treści.

Człapię do kuchni zdezorientowana. Rozglądam się dookoła. Widzę prosty drewniany stół otoczony czterema krzesłami

w tym samym stylu. Stoi przy krótszej ścianie pomieszczenia. Zawieszam wzrok na oliwkowej wolnostojącej lodówce – znajduje się tuż przy niewielkim oknie, które przysłania biała, gęsto wyszywana frana. Mieszkanie Konrada nic się nie zmieniło. Kuchnia wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy się tu wprowadziłam. Inaczej niż moje życie; ono wywróciło się do góry nogami.

Prześlizguję się wzrokiem po kuchennych meblach. Skurcz pustego żołądka przypomina mi, że wypadaloby coś zjeść. Nie miałam głowy do zakupów, nie mam nic konkretnego w lodówce. Na swojej półce znajduję jedynie dwa zasuszone plasterki żółtego sera.

- Weź coś ode mnie – słyszę, kiedy z rezygnacją zamykam lodówkę.

Zerkam przez ramię. Konrad stoi w progu kuchni i się mi przygląda.

- Serio – mówi, wskazując dłonią na lodówkę. - Bierz. Śmiało.

Chwilę się waham, ale ostatecznie sięgam po masło i szynkę, chwytam też pomidora. Kładę to wszystko na blacie, a Konrad podaje mi chleb, który zdążył wyjąć ze swojej szafki.

- Dziękuję – mamroczę pod nosem, przyjmując od niego pieczywo. Nie patrzę w stronę współlokatora, czuję się zbyt zażenowana sytuacją. Jestem tak nieudolna, że muszę pożyczać jedzenie.

- Słuchaj... – zaczyna Konrad, kiedy smaruję chleb masłem. Nie mam najmniejszej ochoty na dyskusje, zwłaszcza jeśli mielibyśmy rozmawiać o mnie. Z duszą na ramieniu wyczekuję, co kolega powie. - Nie wiem, co się dzieje i nie znamy się jakoś przesadnie długo, ale gdybyś potrzebowała pomocy, to wiesz... - Urywa, jakby nie potrafił znaleźć odpowiednich słów na wyrażenie swoich intencji.

- Dzięki - rzucam pospiesznie, aby nie musiał kończyć zdania. Mam przy tym nadzieję, że skłoni go to do zakończenia tej kulawej rozmowy.

Ku mojemu zadowoleniu Konrad kwituje naszą konwersację powściągliwym uśmiechem. Nie wychodzi jednak z kuchni, ale podchodzi do okna. Włącza stojące na parapecie radio. Pomieszczenie wypełniają dźwięki rockowej muzyki, a ja skupiam się na robieniu kanapek. Kładę apetycznie wyglądające plastry wędliny na wysmarowane masłem pieczywo, cały czas kątem oka zerkając na Konrada. Wciąż jest w kuchni, nie wiem, po co ciągle tu stoi. Sterczy przy oknie z założonymi na piersi rękoma i śledzi moje ruchy. Wkurza mnie to, wolałabym, aby sobie stąd poszedł. W dodatku przygląda mi się z taką zaciętością, że dłonie mimowolnie zaczynają mi drżeć.

Kiedy kromki chleba pokryte są już szynką, chwytam leżący na blacie nóż. Ściskam go mocno. Za mocno. Jego ostrze złowieszczo lśni jasnymi refleksami. Wydaje się gotowe, chętne do działania. Poprawiam chwyt, narzędzie świetnie leży mi w dłoni, zupełnie jakby zostało stworzone właśnie dla mnie. Sięgam po pomidora, kroję go zdecydowanymi ruchami, wręcz agresywnie. Czuję się coraz bardziej nieswojo, za moment ten dyskomfort przeradza się w poczucie zagrożenia.

Nie rozumiem tego. Chwilę temu Konrad zaproponował mi swoją pomoc, a wcześniej podzielił się ze mną swoim jedzeniem. Jeszcze wcześniej pożyczył mi pieniądze. I nie złościł się, kiedy spóźniałam się z należnością za wynajem pokoju. Skąd więc ten ogarniający mnie lęk?

Nóż wypada mi z ręki, kiedy uświadamiam sobie, że właśnie o to chodzi, o jego zyczliwość. Nie przywykłam do takiego traktowania. Nikt nigdy się o mnie nie troszczył, nie dbał o moje bezpieczeństwo. Nie oferował wsparcia.

W moich myślach pojawia się Grzesiek, który też zapewniał mnie o swojej trosce, i czuję się jeszcze gorzej sama ze sobą.

Nagle przerywam przygotowywanie jedzenia i przenoszę wzrok na wciąż grające radio. Wsłuchuję się w głos spikera z coraz większym przejęciem. Redaktor pokrótce relacjonuje okoliczności śmierci Jowity N. i Katarzyny J. Chwytam się blatu, aby nie upaść, kiedy przechodzi do kolejnej informacji. Nie słyszę jej, poprzednia wciąż dźwięczy mi w głowie.

To niemożliwe, to naprawdę nie może chodzić o mnie, mamrocze pod nosem, jakby przed chwilą z radia popłynęło jasne oskarżenie wobec mojej osoby. Tyle że policja wciąż poszukuje mordercy dwóch mieszanek Sosnowca, nadal nie rozwikłali żaden ze spraw, a ja... Ja ciągle jestem na wolności.

- Ale jaja!

Unoszę głowę i widzę Konrada. Co jest, do cholery? Chłopak ma na sobie kurtkę, która ocieka wodą. Brudne krople kapią z niej na podłogę. Najwyraźniej przed chwilą wszedł do mieszkania, ale jeśli tak, to jakim cudem przed momentem z nim rozmawiałam?

Spuszczam wzrok na blat. Na wóół przygotowane kanapki zdają się ze mnie drwić.

- Ty dalej robisz te kanapki? - pyta Konrad, przyglądając się z niedowierzaniem temu, co leży na blacie.

Dalej? To ile ja tutaj stoję? Wydawało mi się, że kilka minut, ale skoro Konrad zdążył wyjść z mieszkania, zmoknąć i do niego wrócić, to może kwadrans albo dwa. Albo godzinę...

- Nie uwierzysz! - Konrad przestaje interesować się moimi kanapkami i wykrzykuje podekscytowany: - W jednym z mieszkań na Hallera znaleziono trupa! Roi się tam od glin! Podobno chodzi o...

Nie słyszę ani słowa więcej. Zaciskam dłoń na ustach, aby stłumić swój krzyk. Zapominam o kanapkach i o współlokatorze i półprzytomna wybiegam z kuchni. Wpadam do swojego

pokoju, ubieram się w pierwsze lepsze ciuchy, jakie wpadają mi ręce, i równie szybko wychodzę z mieszkania.

Dotarcie na ulicę generała Józefa Hallera zajmuje mi nie więcej niż kilka minut. Tempo poruszania się mam zabójcze. Napędza mnie adrenalina i narastająca z każdą sekundą obawa. Jestem złana potem, ale zupełnie tego nie widać, bo siąpiący z nieba deszcz zdążył przemoczyć mi ubranie. Czuję za to przenikliwe zimno, nie może być na minusie, bo w przeciwnym razie sypałby śnieg, a nie padał deszcz, ale wydaje mi się, że dookoła mnie jest lodowato.

Już z daleka zauważam, że rzeczywiście wydarzyło się tutaj coś poważnego. Część ulicy odgradzona jest niebiesko-białą taśmą policyjną. Przepaska trzepocze niespokojnie na wietrze i wywija się na drugą stronę. Szeleści przy tym tak, jakby zaraz miała zerwać się z mocowań.

Pomimo parszywej pogody nie brakuje gapiów. Mam wrażenie, że przed taśmą zgromadzili się mieszkańcy całego bloku. Wielu też wygląda przez okna swoich mieszkań, zwłaszcza ci z bloku stojącego naprzeciwko. Nie przeszkadza im ani ciężki deszcz, ani przenikliwe zimno.

Dwóch funkcjonariuszy w policyjnych mundurach stara się rozgonić stale powiększający się tłum ciekawskich widzów, ale bez większego powodzenia. Ludzi nieustannie przybywa, napływają jak rekiny zwabione zapachem świeżej krwi.

Staję na uboczu, cała się trzęsąc. Chciałabym móc powiedzieć, że tylko z zimna, ale to przede wszystkim oszołomienie. Lustruję otoczenie, chcę zrozumieć z tego, co widzę, jak najwięcej. Omal nie mdleję, kiedy z jednej z klatek wynoszą coś zawiniętego w czarny foliowy worek. Kształt i gabaryty tego czegoś pasują do ludzkiego ciała. Czy to ona?

Pakują to coś do zaparkowanej tuż przy klatce nieoznakowanej furgonetki. Myślę gorączkowo nad tym, dokąd zabierają te zwłoki. Do zakładu medycyny sądowej? Zastanawiam się, jaka jest szansa, że trafią od razu do kostnicy domu pogrzebowego, unikając tym samym zainteresowania prokuratury. Skąd w ogóle myśl, że chodzi o kobietę? Przecież przez ten worek nie widać nic konkretnego!

- Szkoda kobity... - Do mojej świadomości przebijają się głosy otaczających mnie ludzi, utwierdzając mnie w podejrzeniach, że jednak chodzi o kolejną ofiarę płci żeńskiej. - Taka młoda, ile ona miała lat? Koło czterdziestki, nie?

- Panie, nawet nie. A wyglądała na jeszcze mniej - odpowiada facet stojący tuż obok mnie. Jego cuchnący oddech zapiera mi dech w piersi.

- Tak, tak, wyglądała na młodziutką - potwierdza jakaś kobieta - ale miała z trzydzieści siedem. Może osiem. Niedawno studia skończyła. Po tym, jak jej w policji nie wyszło, poszła na zaoczną farmację...

Nie znam żadnej magister farmacji, myślę gorączkowo. W ogóle nie znam zbyt wielu ludzi, którzy ukończyli uczelnię wyższą! Nie obracam się w takim towarzystwie i nie mam bladego pojęcia, co miałyby mnie łączyć z tą dziewczyną!

Nim w mojej głowie wybrzmiewają do końca te wszystkie myśli, zalewają mnie niezrozumiałe wspomnienia. Widzę siebie w aptece. I dłoń farmaceutki, która podaje mi opakowanie paracetamolu. Jej bujne rude włosy. Płacę za tabletki. Innym razem kupuję witaminę C, ale czy to ta sama apteka? Szukam rudych pukli, ale widzę tylko własną torebkę, z której wyjmuję portfel. Zauważam w jej wnętrzu nóż i aż podskakuje z wrażenia.

- Okradli ją? - Głos jeszcze innego mężczyzny przedziera się do mnie, przerywając chaotyczną analizę czegoś, co wydaje mi

się moimi wspomnieniami.

Dopiero kiedy nieco odsuwam się od tłumu, dociera do mnie, jak nieracjonalne są moje myśli. Przecież pojawienie się w aptece i kupno tabletek przeciwbólowych to najnormalniejsza sprawa pod słońcem. Bardziej niepokojąca jest wizja ostrego narzędzia w mojej torebce. Gdzieś z tyłu głowy majaczy mi przekonanie, że już kiedyś o coś podobnego się podejrzewałam. Wtedy nie znalazłam w swojej torebce żadnego noża. Czy gdybym sprawdziła ją teraz, też by tak było?

Podchodzę bliżej policyjnej taśmy. Przepaska okazuje się trwalsza, niż przypuszczałam. Wiatr kołysze nią burzliwie na boki, ale ona trzyma się dzielnie. Szybko jednak cofam się z powrotem, bo funkcjonariusze znajdują się zbyt blisko mnie. Odpędzają tłum, aby zrobić miejsce furgonetce, która jest gotowa do odjazdu. Przeciskam się, żeby oddalić się jeszcze bardziej od policjantów, instynkt podpowiada mi, że lepiej będzie, jeśli mnie nie spostrzegą. W międzyczasie wóz ze zwłokami na pokładzie odjeżdża.

Docieram na drugi koniec policyjnego ogrodzenia, gdzie zyskuję doskonały widok na klatkę. Tę, z której chwilę wcześniej wynieśli ciało. Przystaję i w tym momencie w drzwiach pojawia się... Miłek. Komisarz wychodzi z bloku energicznym krokiem, głowę ma spuszczoną, w dłoni trzyma telefon. To na niego spogląda.

Nim zdążę choćby odwrócić się plecami, aby mieć pewność, że policjant mnie nie zauważy, Miłek unosi głowę i nasze spojrzenia na jeden krótki moment się spotykają. W akcji czystej paniki zrywam się do ucieczki.

Wydostanie się z tłumu zaaferowanego krzywdą drugiego człowieka przypomina przedzieranie się przez dziką, nieprzystępną dżunglę. Tak jakby przypatrywanie się nieszczęściu pokrzepiało tych wszystkich ludzi, przytłoczonych własnymi kłopotami.

Kiedy wreszcie wydostaję się ze zbiegowiska, zaczynam biec, ile sił w nogach. Nie bardzo wiem, dokąd zmierzam, ale nawet się nad tym nie zastanawiam. Chcę po prostu znaleźć się jak najdalej stąd. Jak najdalej od Miłka. Łudzę się, że komisarz mnie nie rozpoznał albo rozpoznał, ale zbyt pochłonięty sprawą zwyczajnie zlekceważył moją obecność.

Potykam się kilkakrotnie, przez co tracę parę cennych sekund. Przy następnym potknięciu klnę siarczyście pod nosem.

- Sabina! - dolatuje mnie głos komisarza, który świetnie mobilizuje ograniczone siły mojego organizmu.

Biegnę dalej, ile fabryka dała. Uciekam, choć sama nie wiem dlaczego. Myślę tylko o tym, jak to działa: czy Miłek zjawiał się tutaj, bo już zdążono powiązać tę sprawę z poprzednimi zgonami, czy jako komisarz z sosnowieckiego wydziału kryminalnego jest wzywany do każdego przypadku śmierci w mieście? W tym momencie wiele dałabym za znajomość tego typu procedur, tymczasem kompletnie nic na ten temat nie wiem.

- Sabina! - słyszę za sobą. - Zaczekaj! Sabina!

Zerkam przez ramię, aby ocenić sytuację. Miłek biegnie za mną, wymachując rękoma. Jest coraz bliżej mnie, zaraz zacznie deptać mi po piętach. Moje szanse ucieczki zmniejszają się z każdą sekundą.

- Zatrzymaj się! - krzyczy policjant.

Niewiedza nigdy nie jest dobrym sprzymierzeńcem, a ja w tej chwili niczego tak naprawdę nie wiem. Gnam jak oszalała przed siebie, kompletnie nie dbając o konsekwencje swojego zachowania.

W końcu jednak słabnę. Ostatnio moja forma pozostawia wiele do życzenia, w a dodatku od wczoraj nic nie jadłam. Wycieńczony wysiłkiem, skrajnymi emocjami i pozbawiony kalorii organizm zaczyna odmawiać mi posłuszeństwa. Czuję

się tak, jakbym zaraz miała się przewrócić. Mimo to nie poddaję się tak łatwo i zmuszam moje ciało do dalszego truchtu. To jednak za mało, aby umknąć Miłkowi. Po chwili komisarz dogania mnie i zaciska dłoń na moim przedramieniu.

Zatrzymuję się gwałtownie. Od siły szarpnięcia się zataczam. Tylko dzięki temu, że policjant mnie przytrzymuje, nie tracę równowagi.

- Ja nic nie zrobiłam! - krzyczę przesiąkniętym desperacją tonem.

- Uspokój się - nakazuje komisarz. - Słyszysz mnie? Spokój!
- wrzeszczy, kiedy jak w amoku powtarzam, że jestem niewinna.

Opanowuję się dopiero, kiedy Miłek chwyta mnie oburącz za przedramiona i mocno mną potrząsa.

- No już, Sabina - mówi - spokojnie. Uspokój się.

Patrzę na niego wytrzeszczonymi oczami, z ciężkim oddechem i walącym jak młot sercem.

- Ja jej nie zabiłam - mówię, resztkami woli powstrzymując bezlitośnie napływające mi do oczu łzy. - Nie pamiętam, naprawdę nie pamiętam, że to ja!

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

33.

Dziewczyna wpada w czystą histerię. Mówię do niej, wołam, a ona w kółko powtarza albo że tego nie zrobiła, albo że niczego nie pamięta.

- No już, Sabina, spokojnie. - Nie poddaję się. - Ochłoń. Nie jesteś o nic oskarżona. Słyszysz? Nic ci nie grozi.

Wreszcie udaje mi się do niej dotrzeć przynajmniej na tyle, że skupia na mnie swoje spojrzenie.

- Wszystko jest pod kontrolą - zapewniam, na co ona kręci głową.

- Nie - mówi. - Nic nie jest pod kontrolą. To wszystko już dawno wymknęło mi się z rąk. - Chowa twarz w dłonie i zaczyna głośno szlochać.

Współczucie ściska mi serce. W tej chwili jedyne, co widzę w Sabinie Gancarek, to ofiara. Nie potrafię inaczej - delikatnie, aby jej dodatkowo nie przestraszyć, przysuwam ją do siebie.

Dziewczyna rozkleja się na dobre, wybucha jeszcze większym płaczem. Opiera wciąż ukrytą w dłoniach twarz o moją pierś. Unoszę rękę, zawisa nad jej głową. Po chwili zawahania kładę dłoń na włosach Sabiny. Ona w tej chwili tego potrzebuje. Wsparcia. Chcę jej je dać, niezależnie od tego, kim ta kobieta tak naprawdę jest. Wiem jedno - dziecko, którym kiedyś była, zaznało wielu krzywd. I w tym momencie to jest najważniejsze.

Trwamy tak dłuższy czas, czekam, aż Sabina się nieco uspokoi. Kiedy wydaje mi się, że to nastąpiło, proponuję:

- Chodźmy do mojego samochodu. Usiądziemy i pogadamy. -
Zupełnie instynktownie porzucam formy grzecznościowe.

Sabina unosi na mnie złężnione spojrzenie, ale wciąż stoi
tuż przy mnie.

- Nie jesteś o nic oskarżona - zapewniam ponownie. - Po
prostu pogadamy. Tylko ty i ja, bez świadków.

Sabina pochlipuje, nadal patrzy na mnie ze strachem
w oczach. Kiwam delikatnie głową, czasem niewerbalna
komunikacja działa lepiej niż cały potok słów. Tak właśnie
dzieje się tym razem.

- Okej. - Dziewczyna odrywa się ode mnie i posłusznie idzie
w kierunku, w którym ją prowadzę.

Wybieram okrężną drogę, aby uniknąć tłumu gapiów, który
pewnie wciąż tkwi przed blokiem na Hallera. Szczęśliwie
samochód stoi zaparkowany ulicę dalej, docieramy do niego
przez nikogo nie niepokojeni.

Kiedy wsiadamy do wozu, odpalam silnik, aby można było
włączyć ogrzewanie. Sabina jest cała mokra, dygocze. Musi być
jej zimo.

Nie podejmuję rozmowy od razu, chcę, aby najpierw
dziewczyna poczuła się odrobinę lepiej. Podkręcam ogrzewanie
i przyglądam się jej ukradkiem. Im dłużej to trwa, tym bardziej
mnie kusi, aby daj jej spokój. Po prostu puścić wolno
i zapomnieć, że w ogóle się tutaj pojawiła. Nie mogę jednak
zignorować faktu, że z jakiegoś powodu przyszła na Hallera.
Mieszka w pobliżu, biję się jeszcze chwilę z własnymi myślami,
na drugim krańcu, ale jednak tego samego osiedla. Mogła
zjawić się tu przypadkowo albo zaciekawiona nagłym
zbiegowiskiem.

- Pogadajmy, okej? - rzucam, znów nie dbając
o konwenanse.

Sabina przytakuje, a potem pociąga nosem. Sięgam do
schowka, ale niestety nie ma w nim nic, co mógłbym podać

dziewczynie.

- Nie mam chusteczek - mówię.

- Nie trzeba. - Sabina wyciera nos o rękaw kurtki.

- Po co tutaj przyszłaś? - pytam.

Słyszę kolejne pociągnięcie nosem. Czekam chwilę, ale nic więcej się nie dzieje.

- Mieliśmy pogadać - przypominam jej, a ona kiwa głową, skubiąc materiał swojej kurtki. - Chciałem ci oszczędzić kolejnego przesłuchania na komendzie, wiem, że nie są przyjemne. Ale muszę się kilku rzeczy dowiedzieć. Jeśli ze mną teraz nie porozmawiasz, nie pozostawisz mi wyboru i znów wyładujemy w pokoju przesłuchań.

- Nie miałam lekko... - odzywa się w odpowiedzi na moją groźbę. - I to od samego początku... Ale jakoś dawałam sobie radę. Do czasu.

Zapatrzony w widok za oknem wyczekuję, co jeszcze mi powie.

- Odsiedziałam swoje - mówi tonem ponurym jak najciemniejszy mrok - nie w więzieniu, byłam jeszcze dzieckiem, kiedy... no wiesz, zabiłam. Leczyli mnie, a ja tego chciałam. Współpracowałam, bo od zawsze pragnęłam tylko jednego: żeby ktoś się mną zainteresował. Tam, w psychiatryku, wbrew temu, co się mówi o takich miejscach, byli ludzie, którzy naprawdę chcieli mi pomóc.

- I pomogli - wtrącam, doceniając fakt, że po decyzji o zwolnieniu z zakładu psychiatrycznego zadbano o zmianę personaliów dziewczyny. Sabina wyrosła na kobietę w niczym nieprzypominającą tamtej naznaczonej zbrodnią nastolatki.

- Tak, bardzo mi pomogli - ciągnie Gancarek. - Podjęłam pracę, nic wielkiego, sprzedawałam w sklepie, ale stanęłam na nogi. Nie zaprzestałam leczenia, byłam pod stałą kontrolą psychiatry, zresztą wiesz o tym, że leczę się do dziś. Później

zmieniłam specjalistę, bo doktor Banaszewski zaprzestał praktyki lekarskiej. Był starym, naprawdę dobrym lekarzem. Dobrze się mną zajmował. Nie zostawił mnie jednak na lodzie, polecił mi kogoś na swoje miejsce.

- Kogo? - dopytuję, zastanawiając się, jak to, o czym Sabina mi teraz opowiada, ma się do jej obecności w pobliżu kolejnego miejsca zbrodni.

- Grzegorza Niemczyka - odpowiada. - Też wydawał mi się dobry, nawet bardzo dobry. Nie powiedziałam mu jednak całej prawdy o sobie, bo nie chciałam, aby już ktokolwiek kojarzył mnie z tym, co kiedyś zrobiłam. Wiedział, co mnie spotkało w dzieciństwie, ale nie że zabiłam.

Sabina milknie. Czekam chwilę, co jeszcze powie, ale w samochodzie nieprzerwanie panuje cisza.

- Ten nowy lekarz... - odzywam się w końcu. - Powiedziałaś, że też wydawał ci się dobry. Teraz masz o nim inne zdanie?

- Nie wiem - bąka dziewczyna, obracając głowę w stronę okna. - Zaproponował mi udział w Narodowym Programie Ochrony Zdrowia Psychicznego, słyszałaś o nim?

Poprawiam się w fotelu, wiem, o czym Gancarek mówi. Kiedy się okazało, że Jaworska i Sabina są pacjentkami tej samej przychodni, Magda poszperała głębiej i dowiedziała się, że obie kobiety korzystają z terapii w ramach Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego. Jeszcze do niedawna nie za wiele wiedziałem o tym rządowym przedsięwzięciu, jednak w obliczu prowadzonych dochodzeń byłem zmuszony dowiedzieć się o nim nieco więcej.

- Owszem - odpowiadam. - Ma zapewniać pacjentom cierpiącym na zaburzenia natury psychicznej kompleksowe leczenie.

- Tak. Chodzi o darmowe leki, darmowe wizyty u psychiatrów i sesje terapeutyczne u specjalistów, wszystko w zależności od indywidualnych potrzeb pacjenta.

- Pełen pakiet - komentuję.

- Swego czasu było o tym projekcie głośno. Rząd wiele o nim mówił.

- To prawda.

- Weszłam w to. Potrzebowałam tej opieki - oświadcza Sabina.

Znów poprawiam się w fotelu, bo dalej nie bardzo rozumiem, do czego zmierza jej opowieść. Na razie wydaje się oderwana od tego, dlaczego znaleźliśmy się ulicy Hallera.

- Zgodziłam się na przyjmowanie leków psychoaktywnych nowej generacji - mówi dziewczyna. - Długodziałających leków nowej generacji. Ogólnie chodzi o to, że lek przyjmuje się raz na kilka tygodni i on się stopniowo uwalnia w organizmie.

Kiwam głową, bo zgadza się to z tym, czego do tej pory dowiedziałem się o Narodowym Programie Ochrony Zdrowia Psychicznego.

- Obawiam się... - Sabina urywa, jakby nagle zabrakło jej słów.

Z nieba zaczyna padać rzęsimy deszcz, zagłusza ciszę, która zapadła w aucie. Zrywa się też wiatr sprawiający, że krople wody z jeszcze większym hałasem rozbijają się o maskę samochodu.

- Czego się obawiasz? - Postanawiam pociągnąć Sabinę za język.

Gancarek milczy przez chwilę, a potem bierze głęboki wdech.

- Boję się, że te nowe leki działają na mnie jakoś dziwnie - mówi wreszcie. - To znaczy wydaje mi się, że wywołują pewne skutki uboczne, których nie powinny.

- Jakie?

Sabina zaciska usta, widzę, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę.

- Jakie?

- Zaniki pamięci - oznajmia.

Marszczę brwi, a dziewczyna mówi dalej:

- Nie mam pewności, że faktycznie szwankuje mi pamięć, ale... - Wzdycha, skubie przy tym rękaw kurtki. - Nie wiem, co się tak naprawdę ze mną dzieje, czy rzeczywiście mam problemy z pamięcią, czy tylko mi się wydaje. Zgłosiłam swoje obawy Grześkowi...

„Grzesiek”, wychytuję spoufalenie, które raczej nie powinno mieć miejsca, zważywszy na relację łączącą Sabinę z doktorem.

- Rzekomo skonsultował się z innymi lekarzami i podobno w grupie pacjentów przyjmujących Deprotiksol, ten sam lek, który ja biorę, nie odnotowano tego typu dolegliwości. W specyfikacji Deprotiksolu jest wymienione, że może on powodować osłabienie pamięci, ale Grzesiek...

Znów to samo, Grzesiek. Nie doktor Niemczyk, Niemczyk albo chociaż Grzegorz, tylko Grzesiek.

- ...twierdzi, że o żadnych lukach w pamięci spowodowanych Deprotiksolem nie może być mowy. Cały czas zapewnia mnie, że to bardzo bezpieczny lek.

- Rzekomo? - podchwytyję. - Podobno?

Sabina przekręca głowę w moją stronę i wreszcie na mnie spogląda.

- Nie wiem już, w co mam wierzyć - wyznaje, a ja nie wątpię, że w tej chwili mówi prawdę. W jej oczach szaleje dezorientacja, jakiej nigdy wcześniej u nikogo nie widziałem. Mam przed sobą kompletnie zagubionego człowieka.

- Myślałaś o rezygnacji z tego leku? - przychodzi mi na myśl.

- Tak, chciałam wrócić do starej terapii.

- I co?

- Grzesiek... - Zaczyna się na moment, a ja znów się zastanawiam, co kryje się za spoufaleniem, które wychwytyję w opowieści dziewczyny. Nie może być inaczej, relacja Sabiny z Niemczykiem wyszła daleko poza standardowe ramy. - Grzesiek mi to stanowczo odradził. Dalej odradza. Uważa, że to dobrze przebadany lek i że jest mi potrzebny. Ja wiem, że wymagam leczenia. Ale czy Deprotiksol faktycznie jest dla mnie odpowiedni? Patrząc na to, co się dookoła mnie dzieje, naprawdę tego nie wiem.

Sabina milknie, a ja analizuję wszystko, co do tej pory usłyszałem. Próbuję to jakoś poskładać w sensowną całość.

- Nie znam tej kobiety - odzywa się jeszcze po chwili Gancarek, wskazując w stronę ulicy Hallera. - Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie znam też Katarzyny Jaworskiej, choć w jej przypadku personalia zdają się mi jakoś znajome. Nie wiem, może faktycznie zetknęłam się z nią w ośrodku, w którym byłam wolontariuszką, albo w przychodni. A może przez to, że Kaśka to bardzo popularne imię. Chyba że jednak ją znam, tylko tego nie pamiętam? Jowitę znałam, to jasne, ale... - Urywa, jakby zabrakło jej tchu. - Na Boga! Ja TEGO NIE PAMIĘTAM! Tego, że coś jej zrobiłam. Naprawdę nie pamiętam. - Chowa twarz w dłonie, jednak zamiast szlochu, którego się spodziewam, w samochodzie znów słychać jedynie dudniący o karoserię samochodu deszcz.

Opowieść Sabiny bez dwóch zdań rzuca nowe światło na sprawę. Niewykluczone, że ten nowy medykament porobił coś dziwnego z pamięcią dziewczyny. Może cała grupa tych nowoczesnych leków długodziałających ma wady, o których nikt nie wie. Albo, co gorsza, które ktoś stara się ukryć. Możliwe, że nawet cały program jest szemrany. Już nie takie rzeczy widział świat. Jednak jej zeznania niczego nie przesądzają, rodzą jedynie serię nowych pytań. Jedno jest pewne: będę musiał przyjrzeć się sprawie pod tym kątem jeszcze dokładniej, niż

zrobiłem to do tej pory. Natomiast teraz muszę zdecydować, co dalej z Sabina. Czy zaczynam myśleć o niej jak o przestępcy? Wciąż tego nie wiem.

- Joanna Zawadzka - podejmuję. - Kobieta z Hallera. - Wskazuję dłonią w kierunku bloku.

- Nie znam jej - mówi Sabina, zerkając na mnie. - Chyba że jej... nie pamiętam.

Patrzę w jej smutne oczy, jakby miały mi powiedzieć, jaka jest prawda, czy przypadkiem dziewczyna mnie nie zwodzi. „Kobiety potrafią być bardzo, bardzo przebiegłe”, z tyłu głowy wciąż mam słowa Magdy.

- Dobrze, a powiedz mi, co robiłaś wczoraj - proszę.

- Byłam w pracy, a potem w mieszkaniu - mówi, a jedna z jej dłoni wędruje pod rękaw kurtki i zaczyna się nerwowo poruszać. Najwyraźniej miętoszenie materiału przestaje jej wystarczać.

- Cały wieczór? - dopytuję, przyglądając się, jak dziewczyna drapie się po przedramieniu coraz mocniej.

- Tak - odpowiada. Jej głos znów staje się rozedrgany. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Spokojnie. - Kładę dłoń na rękawie jej kurtki, nie chcę, aby dziewczyna na nowo wpadła w histerię. - Dobrze, że mi o tym wszystkim powiedziałaś. Sprawdzę ten program, tę przychodnię i tych lekarzy.

Sabina przestaje się drapać, czuję coś na kształt satysfakcji, że udało mi się ją w porę okiełznać. Jednak zaraz dziewczyna zastyga w kompletnym bezruchu. Patrzy na mnie wytrzeszczonymi oczami i mówi:

- Chyba że rzeczywiście... - Tylko tyle.

- Że co? - dopytuję, zupełnie nie wiedząc, czego się spodziewać.

- Jaworska leczyła się w tej samej przychodni co ja, prawda?

Potakuję skinięciem głowy.

- Może ją też prowadził Grzesiek?

Wiem, że tak nie jest, ale nie mówię o tym Sabinie, bo chcę się przekonać, do czego dziewczyna zmierza.

- Może ona też chciała wycofać się z programu. - Sabina zaczyna się od nowa drapać po ręce. - Może ją też przekonywał, że nie powinna tego robić, że program jest dla niej dobry, a kiedy mu się to nie udało i jednak zrezygnowała z udziału... zabił ją.

- Po co?

- Żeby coś ukryć! Jakies wady tych nowych leków. Albo... nie wiem, może to po prostu zwykły psychol.

- A Jowita Niedbalec? - myślę głośno.

O ile faktycznie istnieje szansa, że lekarz może mieć coś wspólnego ze śmiercią Jaworskiej, o tyle nie widzę żadnego związku między nim a kierowniczką sklepu. A tym bardziej z dzisiejszym zdarzeniem na Hallera.

Łapię się na tym, że znów łączę wszystkie trzy zgony, a przecież po wyjściu z mieszkania Joanny Zawadzkiej obiecałem sobie ostrożność w tej kwestii.

- Mieszkają na tym samym osiedlu - mówi Sabina. Unoszę brwi zaskoczony tą informacją, a dziewczyna doprecyzowuje: - Na Sielcu. Jowita mieszkała na Sielcu, Grzesiek też kupił tam niedawno dom.

Zastanawiam się, czy to, co mówi Gancarek, może mieć jakieś większe znaczenie. Sosnowiec nie jest przecież jakoś przesadnie duży, nieco ponad dwieście tysięcy mieszkańców nie czyni go miejscem, w którym trudno o takie zbiegi okoliczności.

- Czy powinnam się go bać? - pyta Sabina.

34.

Powiedziałem Sabinie, że nie ma podstaw, aby obawiać się Niemczyka. Mimo to wezmę go pod lupę. Przychodni, w której lekarz pracuje, i Narodowemu Programowi Ochrony Zdrowia Psychicznego także przyjrzę się jeszcze raz. Nie wiem, na co trafię ani nawet czy ten wysiłek jest wart zachodu, ale nie mam innego wyjścia jak się o tym przekonać.

Kiedy zaczynałem pracę w policji, nie sądziłem, że będzie ona tak wymagająca. Otrzymując legitymację służbową, poczułem się jak bóg. I mówiąc to, ani trochę nie przesadzam.

Pewien stary wyjadacz, gliniarz z ponadtrzydziestoletnim stażem w policji, powiedział mi kiedyś takie mądre słowa, że każdy młody policjant na początku swojej służby czuje się panem i władcą tego świata. Odbija mu szajba na punkcie uprawień, które nagle pozwalają mu na znacznie więcej niż przeciętnemu obywatelowi. Niektórym mija po tygodniu, niektórym po miesiącu. Innych trzyma kilka lat. Ale są też tacy, którzy w tym trwają przez całą swoją służbę.

Byłem bogiem przez równe pół roku. Aż do jednej z wieczornych interwencji w Mysłowicach, podczas której poczułem się bezradny jak mały chłopiec. Widziałem strach wymalowany na twarzy tej małej dziewczynki, czułem, że potrzebuje naszej pomocy. Starszy rangą kolega, przy którym miałem zdobywać doświadczenie, postrzegał jednak sytuację inaczej, wierzył w zapewnienia matki, że to tylko rozkapryszona małolata dająca jej nieźle popalić. Dotarło do mnie, że jestem żółtodziobem, który absolutnie nic nie może. Uczucie bezsilności, którego wtedy doświadczyłem, na zawsze zgmiotło we mnie to władcze podniecenie. Zrozumiałem też, jak wielką odpowiedzialność wziąłem na swoje barki, zostając

funkcjonariuszem policji, i że posiadanie większych możliwości nie stawia mnie ponad innymi. Wręcz przeciwnie. Zobowiązuje do troski i empatii. Nie bez powodu praca w policji nazywana jest służbą. Jesteśmy po to, aby służyć społeczeństwu. Dbać o interesy słabszych, a już szczególnie tych najsłabszych.

- Co robisz? - z zadumy wyrzywa mnie głos Magdy.

Otrząsam się z własnych wspomnień i mówię koleżance o Grzegorzu Niemczyku oraz Narodowym Programie Ochrony Zdrowia Psychicznego. Nie wspominam jednak o tym, że Gancarek pojawiła się dziś na Hallera. Podobnie jak o jej sugestiach wobec lekarza.

- Może faktycznie te leki pomieszały jej w głowie - komentuje ze znużeniem policjantka.

Przenoszę na nią spojrzenie. Taki ton nie pasuje do Magdy. Wygląda na zmęczoną, ma smutne oczy. Domyślam się, co ją tak przygnębia. Wciąż o niczym mi nie powiedziała, więc nie mam pojęcia, jak rozwinęła się sytuacja z Przemkiem. Jednak gdy teraz na nią patrzę, mogę przypuszczać, że jest tylko gorzej.

- Sprawdzę tego lekarza i ten cały program - rzucam.

- Nie zaszkodzi - mówi tylko. - Zmywam się. Na razie.

Aspirantka odchodzi. Odprowadzam ją wzrokiem, zastanawiając się, gdzie teraz mieszka. Czy wynajęła coś dla siebie, czy może przeniosła się do kogoś z rodziny. I dlaczego tak uparcie o niczym nie mówi. Przecież znamy się już kilka lat, łączy nas koleżeńska zażyłość. Może nawet przyjacielska.

- Szefie... - Do pokoju wchodzi Piotrek. - Ta Jaworska to miała więcej facetów, niż nam się wydawało. Mam kolejnych, z którymi utrzymywała kontakty seksualne. - Chłopak kładzie przede mną zdjęcia.

Rozkładam je na biurku, aby lepiej się im przyjrzeć. Zaczynam się zastanawiać, o ilu jeszcze się dowiemy. Kobieta

była atrakcyjna, nie można jej tego odmówić, i może lubiła właśnie taki styl życia, ale przychodzi mi na myśl, że może za tymi wszystkimi kontaktami kryje się coś więcej. Niewykluczone, że denatka czerpała korzyści materialne i ostatecznie ją to zgubiło. Posuwam się dalej, może w grę wchodzi nawet prostytutka i za śmiercią Jaworskiej stoi sutener.

Nagle cały sztywnieję, moja dłoń zastyga przy jednym ze zdjęć. Z fotografii spoglądają na mnie mężczyźni w różnym wieku i sądząc po ich ubiorze, odmiennym statusie społecznym. Twarze trzech z nich są mi kompletnie obce, ale z czwartą jest zupełnie inaczej.

Unoszę zdjęcie Przemysława Mikulskiego i przyglądam mu się uważnie, jakbym miał do czynienia jedynie z jego sobowtórem. Chciałbym, aby tak było, ale nic z tego. Znam tego faceta, i to całkiem dobrze.

- Z tymi czterema - odzywa się Piotrek, wskazując na fotografię - to już siedmiu. Obrotna - ocenia złośliwym tonem.

Nie komentuję słów podwładnego ani nie pytam, jak dokładnie dotarł do nowych informacji. Nieokrzesianie z czasem mu przejdzie, a metody działania, którymi się posługuje, są bez zarzutu, wiem, że mogę polegać na jego ustaleniach.

- Dobra robota - mruczę pod nosem, wciąż wpatrując się w zdjęcie Przemka. Młody policjant najwyraźniej nie zna męża Magdy albo go nie skojarzył. I niech na razie tak pozostanie.

Rosnąca liczba kochanków Jaworskiej w połączeniu z faktem, że kobiecie odebrano niemowlę, stawia ją w coraz gorszym świetle, ale w tej chwili jestem w stanie myśleć tylko o tym, że Magda o niczym mi nie powiedziała. Nie wierzę, że nie zdaje sobie sprawy, z kim zdradził ją mąż, jest na to za bystra. Wniosek jest tylko jeden: policjantka celowo nie wspomniała o tym, że zna ofiarę z tramwajowego torowiska.

Sięgam po komórkę, aby zadzwonić do policjantki. Nim jednak wybiorę jej numer, rezygnuję z tego pomysłu.

- Dzięki, Piotrek - mówię, podnosząc się z miejsca. - Jadę do prosektorium, ciekawe, co ustalili w sprawie śmierci Zawadzkiej.

35.

W mieszkaniu Joanny Zawadzkiej, podobnie jak w wielu polskich domach, nie było czujnika tlenu węgla. Kobieta się zaczadziła. Lekarz medycyny sądowej już po wstępnych oględzinach nie miał co do tego większych wątpliwości. Miejsce, gdzie znaleziono ciało – mała łazienka bez okna – i charakterystyczne zabawienie skóry zmarłej nawet dla mnie były oczywistym znakiem. Uparłem się jednak przy przeprowadzeniu sekcji zwłok. W sytuacji, gdy w niejasny sposób umiera trzecia mieszkanka Sosnowca, prokurator też nie widział innej opcji.

Nie znaleziono jednak dowodów na to, że Zawadzkiej ktoś pomógł odejść z tego świata. Nic nie wskazuje, że zanim znalazła się w łazience z niedrożnym przewodem wentylacyjnym, mogła zostać ogłuszona albo skrępowana, by nie móc z pomieszczenia w porę uciec. To nieco osłabia teorię o rozgniewanym sutenerze czy sponsorze, ale jej definitywnie nie wyklucza.

Wracam na komendę, wciąż mając więcej pytań niż odpowiedzi. Zastanawiam się, kiedy wreszcie ta tendencja się odwróci. Rośnie ciśnienie, nie tylko na komendzie, ale też w mediach. Kobiet zmarłych w niewyjaśnionych okolicznościach jest za dużo, aby dziennikarze odpuścili temat. A tym bardziej aby komendant nie zaczął się niecierpliwić.

Podjeżdżam pod budynek, w tej samej chwili zauważam Magdę. Wsiadam szybko z auta i truchtam w jej kierunku. Łapię koleżankę tuż przed wejściem do gmachu. Słońce już zaszło, niebawem zapadnie wieczorny mrok. Jest zimno, znów kropi deszcz.

- Gdzie teraz mieszkasz? - pytam bez ogródek.

Policjantka posyła mi skonsternowane spojrzenie. Otwiera usta, ale zaraz zamyka je bez słowa. Przez chwilę spoglądamy na siebie w milczeniu, jakbyśmy wzajemnie próbowali rozszyfrować swoje myśli.

- Byłem u ciebie - decyduję się odezwać. - Na Klimontowie - doprecyzowuję. - Chciałem pogadać, jak zwykle. Otworzył mi Przemek i...

- I już wszystko wiesz. - Magda krzyżuje ręce na piersi.

- Tak się składa, że nie. Nie wiem wszystkiego - mówię, dając koleżance szansę na ucięcie niedomówień, których się dopuściła. - Właściwie to prawie nic nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, gdzie teraz mieszkasz...

- Wynajęłam kawalerkę. Na Środuli. Jest całkiem spoko.

- A co z domem na Klimontowie?

Magda spogląda w przestrzeń, jakby się zastanawiała, co powiedzieć. Wreszcie wzrusza ramionami i mówi cicho:

- Nie wiem.

- Jak się dowiedziałas? - wymyka mi się z ust.

Aspirantka na nowo przenosi na mnie spojrzenie. Jest ostre i surowe, wiem, że nie odpowie mi na to pytanie. Nic nie wskazuje również, aby zamierzała mi powiedzieć, że pośrednio, ale jednak zna Katarzynę Jaworską.

- Domyślam się, że nie jest ci łatwo - podejmuję. - Ale powinnaś była mi powiedzieć, co cię łączy z Jaworską.

- Mnie z nią nic nie łączy! - cedzi przez zęby, piorunując mnie jeszcze ostrzejszym spojrzeniem.

- Ale z Przemkiem już tak - mówię. - A ty o wszystkim wiedziałas. Powinnaś była o tym powiedzieć.

- Po co? - warczy. - Nie dość, że zrujnował nasze małżeństwo, to mam mu jeszcze pozwolić, aby zaszkodził mi w pracy?!

Wzdycham, bo ukrywając tego typu fakty, Magda może sobie bardziej zaszkodzić, ale rozumiem jej tok myślenia. Gdyby odsunięto ją od sprawy, z pewnością zaznałaby upokorzenia. A z jednym przecież musi się już mierzyć.

Rozumiem też, że koleżanka nie chce wypaść z obiegu nawet na krótki moment. Jest ode mnie starsza, dłużej pracuje w policji, a jednak wciąż daleko jej do stopnia komisarza. Nieraz się już zastanawiałem, jak mogło do tego dojść, przecież Magda jest dobra w tym, co robi. Nie przesadzę, jeśli powiem, że Mikulska to jedna z najlepszych osób w formacji.

Czy chodzi tutaj o dyskryminację? Świat nieustannie się mierzy się z tym problemem, w Polsce też przecież nie brakuje miejsc pracy, gdzie nierówne traktowanie ze względu na płeć jest powszechne. Chciałbym, aby ten temat nie dotyczył naszej placówki - żadnej placówki! - ale nie da się ukryć, że Magda została w tyle pomimo swoich kompetencji.

- Powinnaś była mi o tym powiedzieć - powtarzam.

Policjantka zaciska gniewnie usta. Spodziewam się, że zaraz na mnie nawrzeszczy, ale ona rozplata ręce, które do tej pory miała skrzyżowane na piersi, i podpira się nimi pod boki. Zwiesza głowę i kręci nią nieznacznie.

- Witek... - odzywa się. - Wiesz przecież, że to ani trochę nie zmienia sytuacji. To, że Przemek się z nią pieprzył. To nie wpływa na mój profesjonalizm.

Wzdycham bezgłośnie, nie wiem, jak skomentować to, co aspirantka właśnie powiedziała.

- Witek...? - Domaga się mojej uwagi. - Wiesz o tym przecież, prawda?

Wciąż nie mam pojęcia, co powiedzieć.

- Prawda? - nie ustępuje Magda.

Unoszę spojrzenie, patrzymy sobie w oczy. Owszem, to prawda - jestem przekonany o tym, że nawet w takich

okolicznościach, z jakimi mamy teraz do czynienia, Mikulska działa fachowo, ale wiem również, że przestrzeganie zasad jest w tego typu sytuacjach najlepszym wyjściem. I że na pewno nie zaszkodziłoby, gdyby Magda w tej chwili została odsunięta od śledztwa.

- Chcę dalej pracować tak, jak do tej pory - odzywa się znowu policjantka. - Naprawdę nie jest mi łatwo z tym, że Przemek... - Urywa na moment, głos ją zawodzi.

Nie mogę jej tego zrobić. Nie mogę pozbawić jej pracy w tak trudnym dla niej momencie.

- Kocham tę robotę, wiesz o tym, nie? - pyta, tylko utwierdzając mnie w przekonaniu, że powinienem jej zaufać. - Czasem wydaje mi się, że tylko dzięki niej zdołam to przetrwać - dodaje.

Kiwam głową. Mam przy tym ochotę uścisnąć ramię Magdy, w tej chwili wydaje mi się krucha jak nigdy wcześniej. Współczuję jej i jestem zły, że musi przez coś takiego przechodzić. Ona na to nie zasługuje.

Kiedy jestem gotowy, aby to zrobić, dodać jej w ten sposób otuchy, Magda bierze się w garść. Jej twarz na nowo przyjmuje hardy wyraz.

- Witek... - Koleżanka nieprzerwanie patrzy mi w oczy. - Chcę złapać drania, który zabija te kobiety, po prostu chcę w tym uczestniczyć. Proszę cię, nie utrudniaj mi tego.

SABINA

36.

Wchodzę do mieszkania i nie wiem, co ze sobą zrobić. Miłek zostawił mnie w spokoju, choć kiedy prowadził mnie do swojego samochodu, myślałam, że już nigdy tu nie wrócę. Byłam wręcz przekonana, że komisarz mnie zapuszkuje.

Ubranie, które mam na sobie, zdążyło już trochę przeschnąć, ale wciąż czuję nieprzyjemną wilgoć. Przebieram się, a potem sięgam po telefon i wybieram numer do przychodni. Muszę skonsultować się z lekarzem. Kiedy czekam na połączenie, nawiedzają mnie znajome wątpliwości - nawet jeśli Niemczyk ma coś za uszami, to przecież nie ma możliwości, aby cały ośrodek był w coś uwikłany.

- Dzień dobry, Poradnia Zdrowia Psychicznego, w czym mogę pomóc? - odzywa się głos po drugiej stronie linii. Nie należy do Anety, pewnie dziewczyna ma dziś wolne.

- Chciałabym się umówić na wizytę do lekarza - rzucam bez przywitania. - Do psychiatry - dodaję.

- Rozumiem. Mamy trzech specjalistów - oznajmia rejestratorka. - Czy zależy pani na wizycie u któregoś konkretnego lekarza?

- Może być każdy, byle nie Grzegorz Niemczyk.

- Rozumiem - potwierdza kobieta. Nie wydaje się zaskoczona moją odpowiedzią. Machinalnie zaczynam się zastanawiać dlaczego. Czy to przejaw jej profesjonalizmu, czy może tak często pacjenci unikają Niemczyka, że już zdążyła się do podobnych próśb przyzwyczaić? Głowię się nad tym dalej,

a rejestratorka mówi: - W takim razie proponuję doktor Krystynę Stanecką, co pani na to?

- Może mnie pani umówić do niej na dzisiaj?

- Przykro mi, ale to niemożliwe - odpowiada kobieta. - Najbliższy wolny termin mam w przyszłym tygodniu.

- Dopiero w przyszłym tygodniu? Nie ma nic na dziś?

- Niestety, na dziś nie ma nic. Szczerze mówiąc, to duże szczęście, że mamy cokolwiek wolnego w ciągu najbliższych kilkunastu dni. Zwykle na takie wizyty trzeba czekać kilka tygodni.

- W tym tygodniu naprawdę nie znajdzie się nic?

- Pojutrze, ale byłoby to spotkanie z doktorem Niemczykiem.

- Nie, nie, Niemczyk odpada - rzucam pospiesznie, rozmasowując dłońią czoło. Nie wytrzymam do przyszłego tygodnia, muszę skonsultować się ze specjalistą teraz. Natychmiast! - Naprawdę nie znajdzie pani nic na dziś? - próbuję jeszcze raz.

- Przykro mi, ale nie. A co się dzieje? - dopytuje.

- Potrzebuję pilnej konsultacji.

- Tak, to zrozumiałam. Ale dlaczego? Co się dzieje?

Milczę, zastanawiając się, czy nie powiedzieć kobiecie, że jestem uczestniczką programu, może wtedy znalazłby się termin. Tyle że nie chcę ujawniać swoich personaliów, na wypadek gdyby jednak pozostali lekarze z przychodni byli, podobnie jak Grzesiek, w coś zamieszani. Chcę też, aby specjalista podszedł do mnie ze świeżym spojrzeniem, a kiedy się dowie, że jestem tą pacjentką, która wcześniej zgłaszała zaniki pamięci, tak z pewnością nie będzie.

- Rozumiem, że nie chce pani o tym mówić - słyszę głos rejestratorki. - Bardzo chciałabym pomóc, ale na tę chwilę mogę zaproponować jedynie wizytę u doktora Niemczyka pojutrze albo u doktor Staneckiej w przyszłym tygodniu.

Termin u doktor Staneckiej byłby rano, jeśli to by w czymś pomogło.

- Cholera - klnę po nosem.

- Jeśli czuje pani, że konsultacja jest pani bezwzględnie potrzebna jeszcze dziś, mogę poradzić, aby poszukała pani prywatnych gabinetów psychiatrycznych. Specjaliści często przyjmują po godzinach...

Przypominam sobie prywatny gabinet Grzeška, prawdopodobnie znajdę w mieście jeszcze innego lekarza, który działa na podobnej zasadzie. A jeśli nie, to na wyciągnięcie ręki mam Katowice, tam już na pewno uda mi się z kimś umówić.

- Dziękuję - mamroczę do telefonu i się rozłączam.

Łączę się z internetem i zaczynam przeglądać sieć w poszukiwaniu lekarza, który mógłby mnie przyjąć od zaraz. Nim udaje mi się kogokolwiek znaleźć, komórka zaczyna dzwonić. Na wyświetlaczu pojawia się imię Niemczyka, z wrażenia telefon wypada mi z dłoni.

O nie, nie mam zamiaru z nim gadać. Czekam, aż połączenie wygaśnie. Nie dotykam nawet telefonu, jakbym się obawiała, że samo podniesienie go z podłogi może wyrzucić mi krzywdę. Przyglądam się mu z daleka.

Schylam się po komórkę, dopiero kiedy ta przestaje wibrować. Na wyświetlaczu majaczy komunikat o nieodebranych połączeniach od Grzeška. Ściskam mocniej telefon w dłoni, bo uderza mnie myśl, że być może lekarz się dowiedział, iż szukam innego specjalisty. Czy to możliwe, że rejestratorka mu o tym powiedziała? Przecież nie podałam jej swoich danych osobowych, nie wiedziała, kto dzwoni... A jeśli prowadzą swoją bazę danych? Wtedy przychodnia miałyby mój numer, mógłby się im wyświetlić, kiedy zadzwoniłam.

Cholera, cholera, cholera - mamroczę pod nosem i zaczynam chodzić w kółko po pokoju. Działam nieostrożnie,

zgubi mnie to.

Wracam do poszukiwania lekarza, który mógłby mi pomóc, ale dłonie tak mi się trzęsą, że nie widzę dobrze liter. Przysiadam na łóżku, próbując wziąć się w garść. Udaje mi się w końcu wyszukać kilku specjalistów, jeden przyjmuje w Sosnowcu, reszta w Katowicach. Wszystko pięknie, tylko nie wiem, na kogo się zdecydować. Przejeżdżam dłonią po twarzy, wybór jest koszmarnie trudny, skąd mam wiedzieć, który z lekarzy będzie potrafił udzielić mi wsparcia takiego, jakiego w tym momencie potrzebuję?

Przypomina mi się dzisiejsza rozmowa z Miłkiem, to, że wspomniałam mu o doktorze Banaszewskim. Jego zawsze darzyłam pełnym zaufaniem. Problem w tym, że nie mam prywatnego numeru telefonu doktora, a kiedy skończył praktykować, jego numer służbowy przestał działać. Pamiętam jednak, gdzie przyjmował, w gabinecie ulokowanym na parterze swojego prywatnego domu. Całkiem możliwe, że ciągle tam mieszka. Na pewno tam mieszka!

Zrywam się z łóżka, zakładam wciąż wilgotną kurtkę, a potem porywam jeszcze torebkę i wybiegam z mieszkania, jakby się w nim paliło. Czas do przyjazdu tramwaju wydaje mi się niemiłosiernie długi. Kiedy wreszcie pojawia się na przystanku, jestem tak zniecierpliwiona, że taranuję wysiadających pasażerów, aby jak najszybciej znaleźć się w wagonie. Nie szcędzą mi uwag i złowrogich grymasów, ale zupełnie się nimi nie przejmuję. W myślach ponaglam motorniczego, aby wreszcie ruszył.

Zanim dojeżdżam na miejsce, znów dzwoni do mnie Grzesiek. Nabieram przekonania, że nie tylko lekarz jest szemrany, ale cała przychodnia. Jestem pewna, że rejestratorka doniosła Niemczykowi o moim telefonie.

Wyłączam komórkę, bo obawiam się, że doktor szybko nie da za wygraną, a każde połączenie od niego napawa mnie coraz

większym lękiem.

Kiedy wysiadam z tramwaju, zaczyna kropić deszcz. Nie przejmuję się tym, że nie mam parasolki, moja kurtka i tak jeszcze nie wyschła po porannej ulewie.

Dom doktora Banaszewskiego wygląda tak, jak go zapamiętałam, przez tych kilka lat nic się nie zmienił. Ciągłe jest zadbane, zarówno sam budynek, jak i ogródek przed nim. Przyjmuję to za dobry znak, najpewniej lekarz nadal tutaj mieszka.

Podchodzę do masywnego ogrodzenia, furtka jest zamknięta na klucz. Dostrzegam domofon i bez namysłu naciskam guzik. Przez chwilę nic się nie dzieje, więc naciskam go ponownie. Wtedy z małego głośnika dolatuje mnie zachrypnięty niski głos:

- Halo?

Rozpoznaję go, to Banaszewski!

- Dzień dobry, doktorze! - odzywam się pospiesznie. - Tu Sabina! Sabina Gancarek.

W domofonie panuje cisza.

- Byłam pana pacjentką. Przez wiele lat do pana przychodziłam.

- Zaprzestałem praktyki - mówi lekarz.

- Wiem! Ale ja muszę się z kimś skonsultować. I to natychmiast.

- Nie udzielam już konsultacji lekarskich.

- Czy doktor mnie pamięta? - Nie poddaję się. - Sabina. Sabina Gancarek - powtarzam.

W głośniku znów zapada dłuższa cisza.

- Musi mnie doktor pamiętać. Byłam dość... cóż, no, wyjątkowym przypadkiem. Nie wierzę, że mnie doktor nie pamięta! - Lekarz nadal milczy. Wtedy przychodzi mi na myśl, że być może dlatego, że źle się przedstawiam. - Karolina Wideł! - rzucam. - Jestem Karolina Wideł.

- Pamiętam cię, Sabino - Tym razem Banaszewski się odzywa. Zwraca się do mnie, używając mojego nowego imienia, więc najwyraźniej mnie pamięta. Mnie i moją historię. Kamień spada mi z serca.

- Potrzebuję opinii kogoś dobrego - mówię. - Kogoś piekielnie dobrego, kogoś takiego jak pan! Ale nie znam nikogo, kto by się nadawał. Więcej, myślę, że nikt inny nie jest w stanie mi pomóc! Tylko doktor!

Znów zapada cisza, która sprawia, że zaczynam drżeć na całym ciele. Nie wiem, co zrobię, jeśli lekarz odprawi mnie z kwitkiem. Czuję, że jest moją ostatnią deską ratunku, jedyną osobą, która może ocalić mnie od obłądu.

- Doktorze? - dopytuję, a potem wstrzymuję oddech, modląc się, aby zaraz nie wydarzył się najgorszy z możliwych scenariuszy.

Domofon zaczyna trzeszczeć, a zaraz potem padają słowa:

- Wejź, Sabino.

Doktor Banaszewski zaprasza mnie do swojego domu, nie gabinetu. Może po zakończeniu praktyki lekarskiej go zlikwidował, a może po prostu zupełnie zaprzestał jego użytkowania i nie ma zamiaru robić dla mnie wyjątku. Nie szkodzi, zgadzając się na rozmowę, już zrobił dla mnie duży wyjątek.

Siadam w fotelu, dłonie kładę na kolanach. Jestem zdenerwowana, ale jednocześnie czuję ulgę, że doktor zdecydował się mi pomóc.

Rozglądam się po wnętrzu, dominuje ciemne drewno, wykonane są z niego meble i podłoga. Jego zapach jest wyraźnie wyczuwalny w powietrzu. Ściany pomalowano na beżowy kolor, sofa jest z czarnej skóry. W domu panuje cisza, nie wiem, czy doktor jest żonaty albo czy może był ani czy ma jakieś dzieci. Nigdy nic o sobie nie mówił, zawsze koncentrował się wyłącznie na mnie.

Na jednej z szafek dostrzegam zdjęcia oprawione w ramki. Na każdym z nich jest siwowłosa kobieta. Może więc doktor jest wdowcem? Karcę się w duchu za ten pomysł. Od razu przychodzi mi na myśl śmierć, a przecież pani Banaszewska mogła po prostu pójść do fryzjera albo wyskoczyć do sąsiadki na wieczorną herbatkę i pogaduchy.

- Co się dzieje, Sabino? - zaczyna emerytowany lekarz, sadowiąc się w drugim fotelu. One też są obite czarną skórą. - Z przykrością muszę stwierdzić, że nie wyglądasz najlepiej.

- Nie najlepiej też się czuję - przyznaję.

Doktor składa dłonie w daszek i przygląda mi się uważnie.

- Kiedy przechodziłem na emeryturę, dobrze sobie radziłaś - mówi.

- To prawda. - Znów się z nim zgadzam. - I długo tak właśnie było: dobrze sobie radziłam. Albo może raczej wydawało mi się, że dobrze sobie radzę, bo teraz... - Rozkładałam ręce, jakby zabrakło mi słów do opisanego tego, co ostatnio wydarzyło się w moim życiu.

- Opowiedz, co się dzieje - prosi Banaszewski.

Zaczynam mówić. O programie, lekach długodziałających, Deprotiksolu, Niemczyku i obawach, że nowy farmaceutyk działa na mnie w jakiś osobliwy sposób. Wreszcie mówię o komisarzu Miłku i niewyjaśnionych śmierciach trzech kobiet. To nie czas na uniki i zatajanie faktów, nie po to tutaj przyszłam, aby znów coś ukrywać. Przed Banaszewskim nigdy nie miałam żadnych tajemnic, a poza tym wiem, że jeśli nie powiem lekarzowi wszystkiego, niczego nie osiągnę. Nie chcę zaprzepaścić szansy na zrozumienie tego, co się dookoła mnie dzieje.

Kiedy kończę mówić, sędziwy mężczyzna długo milczy. Twarz ma skupioną, jego oczy wyrażają spokój. Kąciki ust nieznacznie się poruszają, ale nie wiem, czy dlatego, że nie może się zdecydować, jakimi słowami skomentować to, co mu powiedziałam, czy to jedynie nic nieznaczący bezwarunkowy odruch.

- Pacjenci różnie reagują na nowe leki - odzywa się doktor. W głosie ma ten sam spokój, który widać w jego oczach. - Spotkałem się z wieloma przypadkami, kiedy powszechnie stosowany medykament okazywał się nieodpowiedni dla konkretnego organizmu. Często tego typu problemy dotyczą pacjentów ze schorzeniami natury psychicznej. Ich mózgi i układ nerwowy są rozchwiane, wymagają związków, które ustabilizują ich funkcje, ale niestety właśnie przez to

rozchwianie pewne substancje mogą wywołać niepożądane i, co istotniejsze, niespodziewane efekty.

Patrzę na lekarza uważnie, chłonę każde jego słowo, chcąc wywnioskować z nich jak najwięcej. Wyczekuję odpowiedzi na pytanie, które spędza mi sen z powiek od dłuższego czasu. Czy nowy lek, który przyjmuję, może powodować u mnie zaniki pamięci? Czy Deprotiksol działa na mnie inaczej, niż powinien?

- Mam wrażenie, Sabino, że nieco nadinterpretowujesz rzeczywistość. Sytuacja, którą mi przedstawiłaś, jest oczywiście zastanawiająca i może niepokoić, ale wydaje mi się, że mimo wszystko wyolbrzymiona - stwierdza. - Tym bardziej że zgłosiłaś swoje obawy doktorowi Niemczykowi. Nie wątpię, że Grzegorz potraktował je z należytą powagą. To dobry lekarz. Poleciałem ci go, bo wiem, że jest godnym zaufania specjalistą. Nie oddałbym cię innemu. - Uśmiecha się po ojcowsku, a mnie przechodzi zimny dreszcz. - Naprawdę wątpię, aby pojawiły się u ciebie tak duże luki w pamięci, abyś nie pamiętała, że kogoś... zabiłaś. Chociaż oczywiście nie mogę tego wykluczyć, ludzki mózg jest nieprzewidywalny. Według mnie strach namieszał ci w głowie.

Spoglądam na doktora Banaszewskiego coraz mniej ufnie, dłonie mam mokre od potu, czuję, że mięśnie nóg zaczynają mi dygotać. To, że mój dawny lekarz przekazał mnie pod opiekę Niemczykowi, właśnie nabiera nowego wydźwięku.

- Śmierć twojej matki odcisnęła na tobie ogromne piętno, to oczywiste - kontynuuje doktor. - Wydaje mi się, że zbrodnie, które wydarzyły się gdzieś obok ciebie, mam tutaj na myśli na przykład śmierć Jowity, twojej przełożonej, trafiły po prostu na podatny grunt. Sabino... - Emeryt wylapuje moje spojrzenie. - Nie jesteś już nią, Karoliną - mówi. - Nie jesteś gnębionym dzieckiem, które nie wytrzymało. Jesteś wartościowym człowiekiem, postarałaś się o to i wiem, że ci się to udało.

Obserwowałem twoją pracę nad sobą, to, jak się zmieniasz. Nie wracaj do przeszłości, ona jest już za tobą.

- Nie zabiłam tych kobiet? - Głos mi niemiłosiernie drży.

- Nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie - mówi Banaszewski. - Ale mogę powiedzieć ci, że widzę strach w twoich oczach. Namącił ci w głowie. Widzę też, że pozwoliłaś, aby przeszłość do ciebie wróciła. Proponuję, abyś zwróciła się do terapeuty, myślę, że psychoterapia rozwiąże problem. Wiesz, że nic nie pozwala odzyskać równowagi tak, jak właściwe przeanalizowanie sytuacji i wyciągnięcie z niej konstruktywnych wniosków.

Siedzę sztywno, bo nie tego spodziewałam się po tej rozmowie. Wreszcie lekarz mówi coś, co zwyczajnie mnie miażdży:

- Tylko pod żadnym pozorem nie rezygnuj z przyjmowania Deprotiksolu, Sabino.

Opuszczam dom doktora roztrzęsiona. Spotkanie z nim wcale mi nie pomogło, chyba tylko pomnożyło moje lęki. Próbuję nie myśleć o tym, że mój dawny psychiatra też może być w coś zamieszany, ale faktem jest, że to właśnie on polecił mi Niemczyka. To sprawia, że nie mogę postrzegać sytuacji inaczej.

Wiem, że sama nie zdobędę dowodów na to, że wokół programu dzieje się coś złego. Tak naprawdę mnie samej wystarczyłoby, gdybym otrzymała jasne potwierdzenie, że nie zabiłam nikogo więcej. Albo... że jednak to zrobiłam.

Kiedy idę w stronę przystanku tramwajowego, przypominam sobie o torebce, którą mam przewieszoną przez ramię. Porwałam ją z pokoju, ale nawet do niej nie zajrzałam. Nagle zaczyna mi ciążyć.

Zatrzymuję się i nią potrząsam. Nic w niej nie brzęczy, ale to przecież niczego nie przesądza. Otwieram więc torebkę i zaglądam do niej ostrożnie. Dookoła jest dość ciemno i nie widzę dobrze jej zawartości, blask ulicznych latarni jest niewystarczający.

Wsuwam rękę do torebki i zaczynam dokładnie sprawdzać jej wnętrze. Portfel, chusteczki, kilka drobnych kosmetyków, dwa długopisy, napoczęta paczka papierosów. Znajduję jeszcze kieszonkowe lusterko i opakowanie miętowych dropsów. Za to niczego podejrzanego. W torebce nie ma żadnego noża czy innego przedmiotu, którym można zabić.

Zamykam torebkę z ciężkim westchnieniem, nie wiem, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić o pomoc. Jak zwykle jestem sama ze swoimi problemami.

Kiedy wracam na swoje osiedle, jest już kompletnie ciemno. Mdli mnie i kręci mi się w głowie. Pewnie głównie z nerwów, ale głód też robi swoje. W zasięgu wzroku mam dyskонт, w którym pracowałam. Obiecałam sobie, że nigdy więcej już do niego nie wejść, następny sklepik jest niewiele dalej, ale jestem tak słaba, że przytłacza mnie perspektywa pokonania tych kilkudziesięciu dodatkowych metrów. W domu, w lodówce, też nic nie mam, a nie chcę znów brać jedzenia od Konrada.

Przełamuję swój wewnętrzny opór i wchodzę do sklepu. W środku jest jasno, mam wrażenie, że za jasno, czuję się zbyt widoczna. Pospiesznie wchodzę między regały w nadziei, że nikt z pracowników sklepu mnie nie zauważy. Żałuję, że w markecie nie ma kas samoobsługowych, wtedy może udałoby mi się całkowicie uniknąć kontaktu z dawnymi znajomymi.

W moim koszyku szybko ląduje chleb, opakowanie sera żółtego, paczka jogurtów, dwa pomidory i siatka jabłek. Porywam jeszcze czekoladowy batonik. Z duszą na ramieniu kieruję się w stronę kasy. Lustruję, kto dziś obsługuje klientów, żywiąc naiwną nadzieję, że personel się zmienił i nie spotkam nikogo, z kim kiedyś pracowałam. Niestety za kasą zauważam Andżelikę.

Wykładam produkty na taśmę, nie patrząc w stronę kasjerki. Jest mi gorąco, pocę się. Kiedy przychodzi moja kolej, nie mam innego wyjścia jak spojrzeć na dawną koleżankę.

- Cześć, Sabina - odzywa się, kiedy zaczyna kasować produkty, które postanowiłam kupić.

- Cześć - odpowiadam i udaję, że jestem zajęta szukaniem portfela w torebce.

- Długo cię nie widziałam - mówi dziewczyna. - Co u ciebie?

- Wszystko dobrze - bąkam krótko, czując, że pąsowieję na policzkach. Głos Andżeliki zdaje się pogodny, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to tylko fasada, w rzeczywistości

dziewczyna mnie oskarża, jest przekonana, że śmierć Jowity to moja sprawa.

- Gdzie teraz pracujesz? - dopytuje.

- Zapłacę kartą - oświadczam, ignorując jej dociekliwość, bo widzę, że Andżelika właśnie skończyła kasować moje zakupy.

- Jasne - odpowiada dziewczyna.

Trzęsącymi się dłońmi przykładam kartę do czytnika. Słyszę charakterystyczny pisk urządzenia i wreszcie mogę zabrać reklamówkę.

- A słyszałaś, co przytrafiło się Jowicie? - odzywa się na odchodne Andżelika.

Ściskam mocniej siatkę z jedzeniem, mogę nie odpowiadać i po prostu wybiec ze sklepu, ale coś nakazuje mi spojrzeć na ekspedientkę. Dziewczyna przygląda mi się wyczekująco, dostrzegam w jej oczach zgoła inne pytanie niż to, które mi przed chwilą zadała: ty to zrobiłaś?

- Spieszę się - rzucam i zwyczajnie uciekam.

W drzwiach wpadam na jakąś kobietę, mamroczę pod nosem przeprosiny i wybiegam na zewnątrz. Owiewa mnie chłód, który przynosi mi pewną ulgę, ale i tak pospiesznie oddalam się od sklepu, jakby zaraz miała z niego wybiec Andżelika i domagać się ode mnie przyznania się do winy.

Kieruję się w głąb osiedla, po kilku krokach adrenalina nieco opada i znów jest mi potwornie słabo. Wyjmuję z reklamówki batonik, który przed chwilą kupiłam, i dosłownie go pożeram. Od razu czuję się odrobinę lepiej.

Kiedy docieram pod swój blok, zauważam, że ktoś siedzi na ławce nieopodal klatki. Początkowo nie robi to na mnie większego wrażenia, to dość typowy widok na miejskich osiedlach. Jednak gdy podchodzę bliżej, sylwetka zaczyna wydawać mi się znajoma. Zwalniam, a po chwili zupełnie się zatrzymuję. Nabieram pewności, że to on. Nim jednak

podejmuję decyzję, aby odwrócić się na pięcie i uciec, mężczyzna unosi głowę. Rozpoznaje mnie od razu, wstaje z ławki i za moment jest już przy mnie. Cofam się o krok.

- Jesteś... - odzywa się. - Byłaś w pracy? Dlaczego nie odbierasz? - zasypuje mnie pytaniami. - W ogóle jesteś poza zasięgiem sieci od kilku godzin.

- Czego ode mnie chcesz? - rzucam, znów robiąc krok w tył.

- Sabino... - Grzesiek zaczyna iść w moim kierunku.

- Co tu, do cholery, robisz?! - Czuję, że wzbiera we mnie panika. Już nie mam złudzeń, że Niemczyk nie jest po mojej stronie. Nie wiem, w co gra i o co w tym wszystkim chodzi, ale to nie jest człowiek, któremu powinnam ufać.

- Nie mogłem się z tobą skontaktować - mówi Grzegorz, ponownie zmniejszając dzielącą nas odległość. - Nie miałem innego wyjścia jak tutaj przyjść. I najwyraźniej dobrze zrobiłem, bo wyglądasz... niepokojąco.

Prycham pod nosem. Niepokojąco? Jestem o krok od utraty zdrowych zmysłów, a on...

- I jeszcze ta policja - ciągnie dalej Grzesiek. - Był u mnie dziś niejaki komisarz Witold Miłek. Zadawał mnóstwo pytań, przede wszystkim o program. Ale wypytywał mnie też o ciebie. Co się dzieje? O co tutaj chodzi?

Nie odpowiadam, bo przecież sama chciałabym się tego wszystkiego dowiedzieć.

- Sabino... - Niemczyk robi jeszcze jeden krok w moją stronę. Odruchowo się cofam. - Nie mam nic wspólnego z jakimikolwiek przekrętami - zapewnia. - Nie wyobrażam sobie nawet, z jakimi moglibyśmy tutaj mieć do czynienia. To... niedorzeczne! Program jest bardzo potrzebny, a oferowane w jego ramach leki... dobre! Po prostu dobre! Jak możesz w to wątpić? I jeszcze mieszać w to policję?

- Przyszedłeś tu, żeby mnie uciszyć, co?

- Słucham?! - Grzesiek wydaje się oburzony moimi słowami, ale ja nie mam zamiaru się na to nabrać.

Od początku mnie uspokajał. Dodawał otuchy, zapewniał, że wszystko jest pod kontrolą. Trzy trupy, to jest ta kontrola? Omamił mnie swoim zatroskaniem. Manipulował mną tak, abym nie wycofała się z programu. Posunął się nawet do tego, aby... mnie w sobie rozkochać, przyznaję z goryczą.

I po co? Po co to wszystko? Nie mam pojęcia, jaki jest cel jego działań, ale wiem, że Niemczyk posunął się daleko, aby uśpić moją czujność.

- Sabino, coś bardzo niepokojącego się z tobą dzieje, twoje zachowanie... - Urywa i bierze głęboki oddech. - Ale tutaj nie chodzi o program ani o leki, z nimi jest wszystko w porządku.

- Już się nie nabiorę na to twoje gadanie!

- Sabino, nie myślisz jasno. - Niemczyk wyraźnie podnosi głos. - Przedyskutujmy wszystko od początku. - Robi następny krok w moją stronę. Jest coraz bliżej mnie. Zbyt blisko. - Chcę pomóc i...

Nie czekam na dalsze słowa Grześka. Biorę nogi za pas.

39.

Nawet nie oglądam się za siebie, nie muszę, aby wiedzieć, że Niemczyk biegnie za mną. Słyszę tupot jego stóp i ciężkie posapywania. Woła mnie po imieniu, nakazuje mi się zatrzymać. Ani mi się śni, nie mam już złudzeń, coś jest z nim nie tak. Stanowi dla mnie realne zagrożenie.

- Sabina! Zaczekaj, do diabła! - piekli się. - Zaczekaj!

Dookoła panuje mrok, chodnik jest nierówny, potykam się kilka razy. Coraz trudniej jest mi złapać oddech, nie mogę poszczycić się dobrą kondycją fizyczną. Skręcam między bloki, szybko i nagle, w nadziei, że to zmyli Grzeška. Jak na złość wokół jest pusto, gdzie ci wszyscy ludzie się podzieli? Czułabym się zdecydowanie bardziej bezpiecznie, gdyby ktoś kręcił się w pobliżu.

Znów się potykam, tym razem tak gwałtownie, że upuszczam torebkę. Upada na chodnik z ciężkim plaskiem. Szybko się po nią schylam, chwytam na oślep i biegnę dalej. Zostawiam za sobą kolejne bloki, wreszcie ktoś pojawia się w zasięgu mojego wzroku. Mija mnie grupka roześmianych nastolatków. Ich obecność dodaje mi otuchy na tyle, że przystaję.

Nie słyszę nawoływań Grzeška. Rozglądam się dookoła i oprócz dzieciaków, które przed chwilą mnie minęły, nikogo nie dostrzegam. Za moment z pobliskiej klatki wychodzi kobieta z psem, a po Niemczyku nadal ani śladu. Zgubiłam go. Biorę głębszy haust powietrza, oddech wciąż mam nierówny.

Wreszcie na nowo ruszam przed siebie. Postanawiam wrócić pod swój blok, ale okrężną drogą. Nie chcę ryzykować, że

natknę się na Grześka. Liczę też na to, że znudzi mu się czekanie na mnie i po prostu sobie pójdzie.

Kręcę się po osiedlu, nie mogąc zdecydować, czy to już dobry moment, aby wrócić do domu, czy powinnam jeszcze trochę poczekać. Jest mi już pioruńsko zimno, adrenalina opadła, a kurtka zupełnie przestała chronić przed chłodem. W końcu uznaję, że spróbuję, i zaczynam kierować się w stronę swojego bloku. Spotykam kilku przechodniów, przyjmuję ich obecność z wdzięcznością.

Po pewnym czasie zaczyna mi się wydawać, że ktoś za mną idzie. Staram się nie panikować, to musi być tylko wrażenie. Nie jest jeszcze tak późno, mieszkańcy wracają z pracy, niektórzy dopiero do niej wychodzą, jeszcze inni odwiedzają znajomych, robią wieczorne zakupy.

Jednak kiedy skręcam w uliczkę prowadzącą wprost do mojego bloku, poczucie, że ktoś za mną podąża, nasila się. Wmawiam sobie, że to jedynie mieszkaniec, przypadkowo i zupełnie nieintencjonalnie zmierzający w tym samym kierunku co ja, ale to nie działa. Ten ktoś ewidentnie za mną idzie. Niemczyk. To musi być Niemczyk. Nie widzę innej możliwości.

Gdy z naprzeciwka nadchodzi kobieta z siatkami zakupów w obu rękach, nabieram odwagi i zerkam przez ramię za siebie. Widzę idącą za mną postać. Sylwetka zdaje się pasować do mężczyzny. Odwracam się z powrotem, to krótkie rozeznanie w sytuacji wystarcza mi, aby na nowo zacząć się realnie bać. Zachowanie lekarza obnaża go całkowicie, nie mam złudzeń, że namówił mnie na coś, co nie jest dobre. Dla mnie. Możliwe, że dla innych ludzi takich jak ja również.

Choć znów w pobliżu nie ma nikogo, zerkam jeszcze raz za siebie i... nikogo nie widzę. Zatrzymuję się, aby zlustrować dokładniej przestrzeń za mną. Kurwa, nikogo nie ma! Pograżona w ciemności uliczka świeci pustkami, jedynie

pozbawione liści konary drzew kołyszą się na wietrze, a nikielce poświaty z okien okolicznych bloków rzucają nierówne cienie na chodnik. Czuję pot zbierający mi się na karku i plecach. Nie mam pojęcia, co się przed chwilą wydarzyło. Czy ze strachu nadinterpretowałam rzeczywistość, czy ktoś bawi się moim kosztem. A może mój mózg odpięła coś jeszcze poza zanikami pamięci?

Łapię się oburącz za głowę, zaczynam szybciej oddychać. Reklamówka z zakupami łaskocze mnie po twarzy. Cud, że ciągle jeszcze ją mam, że nie upuściłam jej gdzieś po drodze, kiedy uciekałam przed Niemczykiem. Gonił mnie lekarz? Mój własny lekarz? Specjalista, który miał mi pomagać? Na litość boską, moje życie zmieniło się w dziką farsę, której za nic nie potrafię ogarnąć!

Chcę zadzwonić do Miłka i powiedzieć mu, co się przed chwilą wydarzyło. Chcę wrócić do domu doktora Banaszewskiego i jeszcze raz z nim porozmawiać. Muszę pojechać do Mysłowic, bo to tam się wszystko zaczęło.

Ruszam, idę na sztywnych nogach. Gdy wreszcie w zasięgu wzroku pojawia się moja klatka, gwałtownie przyspieszam. W tej chwili już nic się nie liczy, pragnę jak najszybciej znaleźć się w pokoju, który choć tak naprawdę nie należy do mnie, to w pewien sposób stanowi bezpieczną przystań. Już w drodze sięgam po klucze, nie mogę ich znaleźć. Zatrzymuję się przed drzwiami i szybciej grzebię w torebce. Nie ma ich. Cholera, nie mam. Nie mam kluczy! Musiały mi wypaść, kiedy upuściłam torebkę. Niech to szlag! Co ja teraz zrobię?!

Nagle czuję, jak czyjaś dłoń zaciska się na moim przedramieniu. Odwracam się gwałtownie, a chwyt na moim ramieniu się zacieśnia. Panika zamazuje mi obraz przed oczami. Widzę jedynie niewyraźne kontury, które nie pozwalają mi ocenić sytuacji. Wpuszczam reklamówkę z ręki, bo tylko ogranicza moje ruchy. Słyszę, jak jej zawartość rozsypuje się na

chodniku. Torebka również wypada mi z dłoni. Wtedy też obraz przez moimi oczami staje się ostry.

- Wszystko w porządku? - pyta mężczyzna, którego nie znam.

- Czego ode mnie chcesz?! - krzyczę histerycznie.

- Spokojnie. - Nieznajomy natychmiast puszcza moje przedramię i odsuwa się ode mnie na bezpieczną odległość. - Chciałem tylko pani pomóc, wyglądała pani na zagubioną - oświadcza.

- Zostaw mnie w spokoju! - wrzeszczę, nie mając pojęcia, kim w ogóle jest ten facet.

Mężczyzna podchodzi do drzwi, otwiera je i nawet na mnie nie patrząc, wchodzi do bloku. Słyszę, jak mamrocze pod nosem: „wariatka”. Udaje mi się zachować przytomność umysłu na tyle, że chwytam drzwi, zanim zdążą się zamknąć. Słyszę dźwięk nadjeżdżającej windy, a potem zapada cisza i uznaję, że znów mnie poniosło. Człowiek, którego chwilę temu spotkałam, to zwykły mieszkaniec bloku.

Wchodzę do klatki i wdrapuję się po schodach na górę. Dobiegam do mieszkania i wtedy uświadamiam sobie, że przecież nie mam do niego kluczy. Nie mam nawet torebki, została na chodniku przed blokiem.

Konrada nie ma w domu, Norberta najwyraźniej też nie, a w każdym razie nikt nie otwiera mi drzwi, kiedy się do nich dobijam. Nawet po dłuższym czasie naciskania dzwonka, pukania do drzwi i natarczywego szarpania za klamkę.

- Niech to szlag - syczę pod nosem, kiedy wreszcie przyjmuję do wiadomości, że moi współlokatorzy wyszli. - Kurwa! Kurwa mać! - Tym razem krzyczę w przestrzeń.

Rozglądam się po korytarzu, żaden z sąsiadów się na nim nie pojawia, żadne z drzwi do pobliskich mieszkań się nawet nie uchylają. Nikogo nie obchodzę. Od początku tak było.

Siadam na progu, opieram się plecami o drzwi mieszkania. Opuszcza mnie złość sprzed chwili, zastępuje ją potworne znużenie. Zwijam się w ciasny kłębek, myśląc o wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło. O Joannie Zawadzkiej, której ciało znaleziono w bloku nieopodal, o doktorze Banaszewskim, który też nakazywał mi pozostanie w programie, o Grzešku, który mnie gonił. Nie wiem, jak długo tak siedzę, ale w końcu przysypiam.

Kiedy się budzę, w pierwszej chwili nie mam pojęcia, gdzie jestem. Wydaje mi się, że mam jedenaście lat i siedzę pod drzwiami mieszkania w Mysłowicach. Mama nie chce wpuścić mnie do środka. To kolejna z częstych kar, które mi wymierzała.

Rozglądam się po korytarzu i za moment rozpoznaję przestrzeń. Wcale nie mam jedenastu lat, tylko trzydzieści trzy, jednak znów siedzę na twardym betonie przestraszona i bezradna.

Podnoszę się, jestem obolała od siedzenia na twardej posadzce. Może wcale nie zgubiłam tych kluczy, tylko wtedy nie udało mi się ich znaleźć, przychodzi mi na myśl. Byłam przecież taka roztrzęsiona. Niewykluczone, że nadal są w mojej torebce.

Zerkam w stronę klatki schodowej, boję się zejść na dół. Mam wrażenie, że czeka tam na mnie Niemczyk. Jest bezpodstawne, ale jednak trudne do zwalczenia.

Przenoszę wzrok na zamknięte drzwi do mieszkania, w którym nikogo nie ma, a potem uderzam w nie dłonią. Huk rozchodzi się po korytarzu głuchym echem. Uderzam jeszcze raz, klnę przy tym siarczyście. Znów na korytarz nie wygląda żaden z sąsiadów.

Biorę głęboki wdech i wreszcie idę na dół. Stąpam powoli i ostrożnie, aby narobić jak najmniej hałasu.

Na parterze nikogo nie zauważam. Podchodzę do drzwi wyjściowych, staję przy samym skraju ich framugi i najostrożniej, jak się da, wyglądam na zewnątrz przez

porysowaną szybę. Ciemność uniemożliwia mi dojrzenie czegokolwiek. Przeklinam w duchu przepaloną żarówkę w latarni po drugiej stronie deptaka, której nikomu nie przyszło do głowy wymienić.

Po chwili na klatce pojawia się mężczyzna w podeszłym wieku. Facet spogląda na mnie podejrzliwie. Nic dziwnego, stroję przyczajona, żałośnie wciśnięta w róg, głośno posapując. Przychodzi mi do głowy, aby się wytłumaczyć. Wyjaśnić mężczyźnie, dlaczego tu stoję i zachowuję się jak stuknięta, zapewnić go, że mam ku temu racjonalny powód. Milczę jednak, a starszy pan przestaje na mnie patrzeć i lekko utykając, kieruje się w stronę drzwi. Wychodzi z bloku.

W porę dostrzegam w tej sytuacji okazję do wykorzystania. Odklejam się od ściany i dopadam zamykających się za mężczyzną drzwi. Potrzebuję tylko kilku chwil, aby zabrać swoją torebkę, a wątpię, aby Grzesiek albo ktokolwiek inny zaatakował mnie w obecności świadków.

Wychylam się na zewnątrz i lustruję chodnik przed klatką. Serce zaczyna mi niespokojnie kołatać, bo nigdzie nie widzę swojej torebki. Cholera, a jeśli ktoś ją zabrał?! Błagam, tylko nie to, zaklinam rzeczywistość, aż wreszcie ją dostrzegam. Chwytam ją i chowam się z powrotem na klatce schodowej.

Natychmiast zaczynam przetrząsać zawartość torebki. Nie ma w niej kluczy. Nie ma! Ciskam torebką o posadzkę. Poprawiam kopniakiem. Znowu chce mi się głośno krzyżeć - ze złości, ale przede wszystkim z własnej niemocy. Zamiast jednak hałasować, zaciskam dłonie na włosach i chodzę w kółko, czując, że tego nie udźwignę. Zbyt wiele się wydarzyło.

Wreszcie przystaję. Podnoszę torebkę z podłogi, zarzucam ją na ramię i wychodzę z bloku.

40.

Kiedy się budzę, na zewnątrz jest już całkowicie jasno. Boli mnie zeszywniały od niewygodnej pozycji kark. Spędziłam noc na wysłużonym fotelu, już cały mój kręgosłup dotkliwie to teraz odczuwa. Do moich nozdrzy wdziera się smród papierosowego dymu. Wszystko w mieszkaniu jest nim przesiąknięte, ale ten, który gryzie mnie teraz w oczy, jest świeży. Dostaje się do pokoju z kuchni. Słyszę brzęk naczyń i powolne szuranie ludzkich stóp o podłogę. Wiesiek już wstał.

Podnoszę się z fotela i idę do kuchni. Jest w niej brudno jak zwykle, jednak stół został jako tako uprzątnięty. Na starej gazowej kuchence wrze woda w obitym rondelku.

- Robię herbatę - odzywa się Wiesiek na mój widok. W ustach trzyma żarzącego się papierosa, oczy ma przekrwione, a nos bulwiasty i poprzecinany czerwonymi wybroczynami, jednak nie wygląda dziś najgorzej. Najwyraźniej jeszcze nic nie pił. - A do jedzenia... - Otwiera lodówkę i sprawdza, co w niej jest. - Ser żółty i pomidory - mruczy, wyjmując produkty, które sama wczoraj tam położyłam. Zanim pojechałam do Mysłowic, pozbierałam zakupy rozsypane przed klatką.

Siadam przy stole. Błat się lepi, a krzesło chybotcze. Wiesiek zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. Kiedy zaczyna smarować kromki chleba masłem, mimowolnie stają mi przed oczami te wszystkie razy, kiedy byłam dzieckiem, a on przygotowywał mi kanapki. Matka nigdy tego nie robiła, za to Wiesiek bardzo często. Często też kupował specjalnie dla mnie dżem truskawkowy, który uwielbiałam, a matka z rozmysłem mi go odmawiała. Do dziś pamiętam smak tamtych kanapek.

Wiesiek gasi papierosa w prowizorycznej popielniczce. Służy za nią słoik po kiszonych ogródkach. Jest prawie pełny, nic więc dziwnego, że tak tutaj cuchnie.

Przyglądam się Wieskowi uważniej. Kiedy jest trzeźwy, prezentuje się nie najgorzej. Ciągłe sprawia wrażenie krzepkiego. Gdyby się porządnie ubrał, zwykły przechodzień nie od razu rozpoznałby w nim alkoholika.

- Ostatnio też tu byłaś - mówi, podając mi kanapkę.

- Zostawiłam ci trochę jedzenia w lodówce.

- Wszystko zjadłem - bełkocze Wiesiek, odgryzając kęs chleba. - Dobra była ta kiełbasa.

- Mógłbyś sobie taką kupować. Jest w spożywczaku na dole.

Wiesiek wzrusza ramionami, po czym pociąga łyk ciemnej, prawie czarnej herbaty. Nie kupiłam wczoraj cytryny, a w tym mieszkaniu oczywiście jej nie ma. Upijam trochę gorzkiego naparu.

Chwilę jemy w ciszy, wreszcie Wiesiek pyta:

- Znalazłaś nową robotę?

Opowiadam mu o pracy w hipermarkecie, choć zrobiłam to już ostatnio. Musiał wtedy być bardziej wypity, niż sądziłam, skoro nie pamięta, że o tym rozmawialiśmy. Nie mam do niego o to pretensji, zdążyłam się przyzwyczaić do tego typu sytuacji. Często jest tak pijany, że umykają mu szczegóły.

- Chcesz fajkę? - pyta, dzięki czemu zyskuję pewność, że akurat wczorajszy wieczór pamięta. Kiedy opowiadałam mu o Grześku, o tym, że mnie gonił i że zwyczajnie się go boję, wypaliłam kilka papierosów.

Bez zbędnych słów sięgam po fajkę, z kolei Wiesiek po puszkę piwa.

- A piwo?

Tym razem kręcę głową, papieros w zupełności mi wystarczy.

- Ja się napiję - oznajmia.

Wiesiek popija piwo, ja palę fajkę. Milczymy. Wygadałam się wczoraj, dziś już nie czuję potrzeby mówienia. A Wiesiek jest mało rozmowny. Zawsze taki był.

- Będę się zbierać - oświadczam, wrzucając peta do słoika. Przychodzi mi przez myśl, aby zabrać go na dół i wyrzucić do kosza, ale to nie ma sensu. W mieszkaniu i tak będzie cuchnąć.
- Dzięki, że mnie przenocowałeś. - Podnoszę się z krzesła.

- Przychodź, kiedy chcesz - odpowiada mi Wiesiek. - Wiesz, że to twój dom.

Prześlizguję wzrokiem po rozlatujących się szafkach kuchennych i myślę, że moje życie jest identyczne z nimi. Raczej nie da się go już naprawić. Ale czy mogło się to skończyć inaczej, skoro wychowałam się w takich warunkach? Czy miałam choć cień szansy, aby wyjść na prostą?

Spuszczam wzrok, zatrzymuję go na szafce koło zlewu. Pewnie wciąż znalazłyby się na niej ślady krwi mojej matki. Czy gdybym jej nie zabiła, moje życie byłoby lepsze? Czy może już dawno by się skończyło?

- Dbaj o siebie - rzucam w stronę Wieśka, który wciąż siedzi przy stole. Je drugą kanapkę, popija ją piwem. Pewnie zaraz uraczy się czymś mocniejszym.

- Ty też, Sabinko - odpowiada.

Wracam do pokoju, w którym spędziłam noc. Sięgam po torebkę, od wczoraj leży koło fotela. Wyciągam z niej komórkę. Po tym, jak bezskutecznie próbowałam dodzwonić się do Konrada, wyłączyłam telefon, aby oszczędzić baterię. Włączam go. Nie przychodzi żadne powiadomienie od niego, najwyraźniej współlokator nie przejął się tym, że usiłowałam się z nim skontaktować.

Wychodzę z mieszkania, nadal czując zmęczenie z wczoraj. Kilka godzin snu wcale mi nie pomogło. Z każdym krokiem

mam coraz mniej sił. Kanapka, którą chwilę temu zjadłam, podchodzi mi do gardła.

Przystaję i opieram głowę o ścianę jakiegoś budynku. Trudno mi się oddycha, biorę szybkie, płytkie wdechy. Podobnie jak wczoraj, kiedy krzyczałam na korytarzu, nikt się mną nie interesuje. Nikt do mnie nie podchodzi, aby zapytać, czy wszystko ze mną w porządku, czy przypadkiem nie potrzebuję pomocy. Jedyne kilka osób zerka podejrzliwie w moją stronę. Powszechna znieczulica miesza się z moją nicością. Jestem niezauważalna, jestem jak powietrze, przez nikogo niedostrzegana - czyli od lat nic się nie zmieniło.

Słyszę brzęczenie telefonu. Zdrętwiałymi rękoma otwieram torebkę i niezdarnie wyjmuję z niej komórkę. Chwytam ją, ale zaraz wypada mi z dłoni, wtedy cichnie. Zerkam na wyświetlacz, widzę, że dzwonił Konrad, ale nie mam siły schylić się po telefon. Ponownie opieram czoło o chłodny mur. Oddycha mi się coraz trudniej, oblewają mnie poty. Podtrzymuję się ręką ściany, mam wrażenie, że zaraz się przewrócę.

- Dobrze się pani czuje? - dolatuje mnie jakiś obcy głos.

Przekręcam nieco głowę, nie odrywając czoła od chropowatej ściany. A jednak ktoś mnie zauważył. Staruszka w staromodnym płaszczu z filcu i czapce z podobnego materiału przygląda mi się z zaniepokojeniem i troską.

- Dlaczego to ty nie jesteś moją matką? - mamrocze tak niewyraźnie, że kobieta nie ma szans mnie zrozumieć.

- Halo, proszę pani - staruszka lekko potrząsa moim barkiem - co się dzieje? Potrzebuje pani pomocy? Słyszysz mnie pani?

Słyszę, ale nie potrafię jej odpowiedzieć. Nie mogę już nawet dłużej utrzymać się na nogach. Osuwam się na ziemię i nie zważając na nic dookoła, siadam w kucki na chodniku, a moim ciałem wstrząsają spazmy rzewnego płaczu.

Kiedy unoszę głowę, stoi nade mną dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Chcę zerwać się do ucieczki, Miłek wczoraj puścił mnie wolno, ale najpewniej się okazało, że popełnił błąd i wysłał kolegów, aby mnie zgarnęli. Nie udaje mi się jednak dźwignąć, o ucieczce nie ma mowy, zapuszczają mnie.

- Słyszysz mnie pani? Halo? - dociera do mnie głos. - Proszę powiedzieć, czy pani mnie słyszy?

Robię, co mogę, aby odzyskać władzę nad własnym ciałem, wciąż myślę o tym, aby jakoś policjantom zwać. Nie chcę trafić za kratki. Nie chcę!

- Co się pani dzieje? Proszę powiedzieć. Źle się pani czuje? - Głos się nie poddaje. - Nie może pani mówić?

- Szła, szła i nagle stanęła. Oparła się o ścianę i osunęła na ziemię - słyszę drugi głos.

- Coś mówiła, ale trudno było ją zrozumieć - dolatuje mnie i trzeci.

- Halo, proszę pani? - Na nowo rozbrzmiewa ten pierwszy, męski, a do mnie wreszcie dociera, co się dzieje. Najwyraźniej uznano mnie za naćpaną i przy tym niebezpieczną i wezwano policję. To nie są koledzy Miłka.

Przytomnieję na tyle, abym mogła zacząć się tłumaczyć. Przekonuję funkcjonariuszy, że jestem trzeźwa oraz że nic mi nie dolega. Oczywiście jeśli pominąć atak paniki, który na szczęście powoli zaczyna ustępować.

Policjanci zaczynają wierzyć w to, co mówię, dopiero po zbadaniu mnie alkomatem.

- Może powinna pani zgłosić się do lekarza? - sugeruje jeden z nich.

- To zwykłe omdlenie, już dobrze się czuję - zapewniam mundurowych, którzy wreszcie postanawiają dać mi spokój.

Odjeżdżają, a ja pospiesznie oddalam się od miejsca, w którym zasłałam, bo o ile wcześniej mało kogo

interesowałam, o tyle teraz, po interwencji policji, gapi się na mnie niemal każdy, kto jest w pobliżu.

Wracam na swoje osiedle. Suchość w ustach zmusza mnie do wejścia po drodze do sklepu. Kupuję wodę. Kiedy łąpczywie piję, znów zaczyna dzwonić mój telefon. Tym razem odbieram połączenie od Konrada.

- No cześć, co się dzieje? - mówi ewidentnie rozdrażniony. - Najpierw do mnie wydzwaniasz, a potem nie odbierasz, kiedy próbuję się z tobą połączyć. Co jest?

- Nic takiego - zapewniam, przyciskając telefon mocniej do ucha.

- Aha - mamrocze współlokator jeszcze bardziej zniecierpliwiony. - To po co do mnie dzwoniłaś wczoraj w środku nocy? Myślałam, że coś się stało - mówi z jawnym wyrzutem.

- Po prostu zgubiłam klucze do mieszkania - wypalam bez zastanowienia. - Norberta też nie było i nie miałam jak wejść do domu.

- Ja pierdołę... - Konrad irytuje się jeszcze bardziej. - Gdzie ty masz, dziewczyno, głowę ostatnio?

- Przepraszam - rzucam. - Nie mam pojęcia, jak to się stało. - Kłamstwo gładko przechodzi mi przez gardło.

- Dobra. Jestem już na chacie, możesz wracać, gdziekolwiek teraz jesteś - mówi kolega ciągle z tym samym rozdrażnieniem w głosie. - Dam ci nowy komplet kluczy. Na twoje szczęście mam zapasowy.

- Dzięki - odpowiadam, a zaraz potem Konrad się rozłącza.

Nim zdążę odłożyć telefon do torebki, rozdzwania się on na nowo. Tętno gwałtownie mi przyspiesza, kiedy widzę, że tym razem dzwoni Miłek. W pierwszym odruchu nie chcę odbierać. Działa dokładnie ten sam mechanizm co przed chwilą, kiedy zobaczyłam nad sobą dwóch funkcjonariuszy. Podejrzewam

jednak, że na dłuższą metę unikanie Miłka niczego dobrego mi nie przyniesie. Akceptuję połączenie.

- Słucham? - odzywam się niepewnym tonem.

- Sabino, gdzie jesteś? - pyta komisarz. Już na dobre porzuciliśmy konwenanse.

Rozglądam się na boki, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Nie zastaliśmy cię w domu - oznajmia policjant, kiedy milczę. - Musimy porozmawiać.

- Z-znowu? - dukam, bo przecież rozmawiałam z Miłkiem zaledwie wczoraj. Rozumiem już też zniecierpliwienie Konrada, kolejna wizyta policji w mieszkaniu musiała go wkurzyć.

- Znowu. Jest coś, o czym musimy pogadać - oświadcza wymijająco policjant. Ton jego głosu jest stanowczy, nie wyczuwam jednak w nim wrogości. Mimo to ogarnia mnie nowa fala strachu.

Czy ja kiedykolwiek jeszcze przestanę się bać?

- Gdzie jesteś? - pyta jeszcze raz policjant.

- Mam przyjść na komendę? - Wiem, że nie uniknę kolejnej rozmowy z Miłkiem. Albo zgłoszę się dobrowolnie, albo... znajdzie mnie.

- Tak byłoby najlepiej - przyznaje komisarz. - Powiedz, gdzie jesteś, wyślę kogoś po ciebie.

- Sama przyjdę - rzucam i kończę połączenie.

Przymykam oczy, wypuszczając ciężko powietrze z płuc. Ogarniające mnie poczucie przemożnej klęski jest nie do zatrzymania. Nie mam pojęcia, co tym razem się wydarzyło, ale najwyraźniej znów jestem w to zamieszana. Staczam się i jestem coraz głębiej przekonana, że z tej drogi nie ma odwrotu.

41.

Spoglądam raz na jedną, raz na drugą ścianę pokoju przesłuchań, do którego mnie zaprowadzono zaraz po przybyciu na komendę policji, i nic nie czuję. Dotarłam do tego stopnia emocjonalnego rozchwiania, że wydaje mi się, jakbym stała z boku własnego życia i biernie mu się przyglądała. Toczy się ono swoim torem, ale bez mojego udziału, nie mam już na jego bieg żadnego wpływu.

- Gdzie byłeś w nocy? - pyta Miłek.

- W Mysłowicach - przyznaję, odrywając wzrok od ścian pomieszczenia. Przenoszę go na policjanta, przygląda mi się uważnie. Pytam go w myślach, dlaczego wtedy nie wykazał się podobną podejrzliwością, dlaczego wtedy mi nie pomógł.

- Co tam robiłaś? - dopytuje komisarz.

Nie widzę większego sensu odpowiadać na to pytanie, ale mimo to mówię policjantowi o Wieśku, a potem także o tym, że ciągle od czasu do czasu go odwiedzam. I że często podczas tych wizyt opowiadam mu o swoim życiu.

- I czasem też tam nocujesz? - docieka.

- Nie. Właściwie nigdy. Wczoraj zdarzyło mi się to pierwszy raz.

- Dlaczego akurat wczoraj?

- Zgubiłam klucze do mieszkania - postanawiam trzymać się prawdy - a żadnego z chłopaków nie było w domu, ani Konrada, ani Norberta. Nie miałam jak się dostać do środka i naprawdę nie uśmiechało mi się spać na klatce schodowej.

- Gdzie zgubiłaś te klucze? - Policjant drąży dalej.

- Nie wiem. Musiały mi gdzieś wypaść.

Komisarz komentuje moją odpowiedź milczeniem. Nie mam pojęcia, co chodzi mu po głowie, ale cisza, którą mi funduje, jest dla mnie trudna.

- Kiedy ostatnio widziałś się z Grzegorzem Niemczykiem? - pada wreszcie kolejne pytanie z ust policjanta.

- Wczoraj - przyznaję niechętnie, bo lekarz napędził mi takiego stracha, że najchętniej zapomniałabym o jego istnieniu.

- Gdzie? Po co? W jakich okolicznościach? Opowiedz mi o tym spotkaniu - prosi.

Milek chce znać szczegóły, co budzi moją podejrzliwość. Ostatnio podzieliłam się z komisarzem swoimi obawami, jakoby lekarz mógł być niebezpiecznym człowiekiem, wtedy mi się wydawało, że nie wziął moich przypuszczeń na poważnie, ale teraz sytuacja wygląda nieco inaczej. Jego dociekliwość może świadczyć tylko o jednym - coś jest na rzeczy.

- Gdzie się spotkaliście i po co? Nie powiesz mi? - Funkcjonariusz przygwoźdża mnie spojrzeniem.

Mówię, jak było. Że Niemczyk czekał na mnie pod klatką, że był poruszony i niespokojny, i że w końcu zaczął mnie gonić.

- Upuściłam torebkę - relacjonuję. - Te klucze mogły mi wypaść właśnie wtedy.

- Mhm - mruczy Milek, a zaraz potem wyjmuję foliowy woreczek z leżącej na stole papierowej koperty, której wcześniej nawet nie zauważyłam. Podsuwa w moją stronę przezroczystą sakiewkę. Gapię się na nią, nie bardzo wiedząc, z czym mam do czynienia.

- Poznajesz może te klucze? - pyta policjant.

- Nie wiem - odpowiadam, zastanawiając się, jaka jest szansa, że rzeczywiście są to moje klucze. I skąd, do diabła, może mieć je Milek.

Komisarz tymczasem unosi woreczek, powoli obraca go w placach, jakby chciał mi zaprezentować jego zawartość

dokładniej.

- Możesz wziąć go ręki i obejrzeć - informuje. - Po to jest ten woreczek, to zabezpieczenie przed pozostawieniem przypadkowych śladów przy oględzinach dowodów.

Jakich dowodów? - burzę się w duchu, nie mając odwagi sięgnąć po klucze.

- Jest przy nich breloczek - oznajmia komisarz, odkładając woreczek na stół. - To miniaturowy scyzoryk z wygrawerowanym na obudowie imieniem. - Przysuwa klucze jeszcze bliżej mnie. Mimowolnie zawieszam na nich wzrok, jednak nie sięgam po nie. - Jak miała na imię twoja matka?

- Lidka - oznajmiam.

- Widzisz grawer na scyzoryku? - dopytuje policjant.

Kiwam potakująco głową, choć tak naprawdę nie jestem w stanie dostrzec poszczególnych liter. Nie muszę jednak ich widzieć, żeby mieć już pewność, że to moje klucze.

- Lidia - mówi Miłek, znów biorąc do ręki woreczek. - Na scyzoryku jest wygrawerowane: „Lidia”.

Znów tylko kiwam głową.

- A zatem to twoje klucze, prawda?

- Wyglądają jak moje - przyznaję, po czym zaczynają bombardować mnie krótkie, zaledwie kilkusekundowe wizje. Są jak błyski, świetlne impulsy, jednak na tyle wyraźne, że wyłapuję z nich moment, kiedy Grzesiek zaciska dłoń na moim przedramieniu. Nie mam pojęcia, podczas którego dokładnie spotkania to było, ale się boję. Tak bardzo się boję.

- Skąd macie te klucze? - pytam.

Miłek przygląda mi się w milczeniu.

- Musiały wypaść mi z torebki, kiedy ją upuściłam - odzywam się, bo w głowie rysuje mi się tylko jedna możliwość

tego, że są teraz w posiadaniu policji. – Grzesiek mnie gonił, musiał widzieć, że spadła mi torebka, i znalazł klucze.

– Najpewniej tak było – komentuje policjant, a mnie przerażenie ściska za gardło. Perspektywa kolejnej zbrodni zawisa nade mną jak ostrze gilotyny, które zaraz ma opaść. Nie mogłam zabić Grześka! Nie mogłabym! Ostatnio owszem, bałam się go, ale przecież w gruncie rzeczy był mi bliski. Bliskich się nie krzywdzi.

Zaciskam powieki, bo przed oczami staje mi matka, mimo wszystko jedna z najbliższych mi osób. Coraz mocniejsze zaciskanie powiek nie pomaga, jej obraz nie znika. A zaraz obok niego pojawiają się skrawki czegoś, czego jeszcze bardziej nie rozumiem. Metalowy pręt uderza w tył głowy mężczyzny. Jego włosy połyskują w świetle księżyca blaskiem, jaki może im nadać tylko coś gęstego i lepkiego. Krew? Moje dłonie są zaciśnięte na pręcie.

– Nie zabiłam! Nie zabiłam Grześka! – wykrzykuję, nie mogąc dłużej znieść tych makabrycznych obrazów. Nie wiem nawet, czym są, moimi wspomnieniami czy tylko urojeniami, z którymi sobie nie radzę. – Bałam się go, ale go nie zabiłam! Nie mogłabym! Nie mogłabym!

– Dlaczego? – Miłek spogląda na mnie z kamiennym wyrazem twarzy.

– Bo... – Rozkładałam bezradnie ręce. Kolejne słowa nie chcą wydostać się z mojego gardła. Przecież już raz to zrobiłam, więc wiem dobrze, że jestem zdolna zabić.

– Dlaczego tak bardzo boisz się Niemczyka? – słyszę kolejne pytanie.

– Musiał je zabrać. – Chwytam się tego, że doktor działał na moją szkodę. Wtedy łatwiej jest mi przełknąć fakt, że Grześka nie ma już wśród żywych. – Te klucze. Musiał je zabrać.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

42.

- Gdy mi wypadły z torebki - mówi dalej Sabina. - Gonił mnie, widział, że upuściłam torebkę, natknął się na klucze, domyślił się, że to moje. Co chciał z nimi zrobić? - Unosi na mnie udręczone spojrzenie. - Od początku był w to wszystko zamieszany.

- W co? W co był zamieszany?

- W ten program. Zaufałam mu, a on... - Dziewczyna wykrzywia usta, jakby miała się zaraz rozpląkać. - A on faszerował mnie świństwem, które wyprało mi mózg. - Głos jej się łamie. - Przestałam być po tych lekach sobą. Albo nie wiem, może stałam się sobą. Tamtą dziewczyną, która potrafi zabijać.

Przyglądam się Sabinie uważnie. Sprawdziłem lekarza, nic na niego nie mam. Mimo to wciąż nie mogę uwolnić się od wspomnienia rozmowy z pracownikiem sklepu. Chłopak starał się opisać mężczyznę, który wygrażał Jowicie Niedbalec. Określił go jako chudego, o średnim wzroście, starszego. Miał czapkę, więc nie potrafił podać koloru włosów. Niemczyk jest szczupły, wzrost też by pasował, jednak wiek już niekoniecznie. Chociaż trudno zgadnąć, jak dla chłopaka ze sklepu wygląda starszy człowiek. Sam może mieć nie więcej niż dwadzieścia kilka lat, bez wahania nazwałbym go dzieciakiem, ja mogę więc być dla niego już po prostu stary. Zastanawiam się, czy Patryk rozpoznałby tamtego faceta, gdyby zobaczył go na zdjęciu.

- Przyjrzałem się Narodowemu Programowi Ochrony Zdrowia Psychicznego - odzywam się, porzucając tamte myśli, teraz muszę skupić się na przesłuchaniu Sabiny. - I nie

znalazłem nic, co mogłoby niepokoić. Wygląda na zupełnie prawidłową procedurę. Działalność przychodni też nie budzi żadnych podejrzeń. Sprawdziłem również lekarzy, którzy pracują w ośrodku, i tutaj także nie trafiłem na nieprawidłowości.

- Zobacz... - rzuca dziewczyna, sięgając po swoją torebkę. Szpera w niej nerwowo, nie jestem pewny, czy w ogóle słuchała, co przed chwilą do niej mówiłem. Sprawia wrażenie, jakby była w transie.

Wyjmuje telefon, widzę, że dłonie jej drżą. Stuka w wyświetlacz, skóra błyszczy się jej od potu. Obserwuję jej poczynania przekonany, że na pewno mnie przedtem nie słuchała.

- Patrz! - Sabina podaje mi swoją komórkę.

Przejmuję od niej aparat, kompletnie nie wiedząc, czego się spodziewać. Jeszcze przez moment przyglądam się dziewczynie, a potem przenoszę spojrzenie na telefon. Patrzę na wiadomości tekstowe, są od Niemczyka, jest ich kilkanaście.

- Widzisz? - pyta, kiedy przeglądam SMS-y. - Grzesiek chciał mnie za wszelką cenę utrzymać w programie.

- Chwila. - Unoszę dłoń, zapoznając się lepiej z treścią wiadomości. Dokładnie czytam jedną po drugiej.

Faktycznie lekarz odradza Gancarek wycofanie się z programu i przekonuje, że ten lek, który dziewczyna obecnie przyjmuje, jest jej bezwzględnie potrzebny. Wiadomości wydają mi się jednak rzetelne, a co więcej, dostrzegam w nich zatroskanie. W ogóle nie odnoszę wrażenia, żeby były nachalne.

Mówię o swoich odczuciach Sabinie.

- A te klucze?! - Dźga kilkukrotnie woreczek palcem wskazującym. - Po co w takim razie były mu moje klucze?

- Sama stwierdziłaś, że musiał znaleźć je w miejscu, gdzie upuściłaś torebkę. Może zabrał je, żeby móc ci je oddać?

- To dlaczego tego nie zrobił?!

Spoglądam na Sabinę i znów czuję się bezradny, jak wtedy gdy pojawiłem się w jej rodzinnym domu w Mysłowicach. Tyle że wtedy było dla mnie jasne, kto jest ofiarą, a kto oprawcą, a teraz wciąż tego nie wiem. Nie pomogłem jej wtedy i skończyło się to dramatycznie. Teraz chcę zareagować właściwie. Wiem, że nie jestem w stanie naprostować jej życia, ale mogę uratować jeszcze to, co jest do uratowania.

- Sprawdzę, czy faktycznie spędziłaś tę noc w Mysłowicach - oznajmiam. - Zapisz adres, gdzie byłaś. - Podsuwam przesłuchiwanej kartkę i długopis.

Sabina bez stawiania oporu spełnia moje polecenie, zaczyna pisać. Dłoń dalej jej drży, stawia koślawe litery.

Zrozumiałem, z kim mam do czynienia, gdy wyszło na jaw, że kiedyś dziewczyna nazywała się Karolina Wideł. Imię dziewczynki, którą zostawiłem samą sobie, na zawsze wyryło się w mojej pamięci. Podobnie jak jej spojrzenie. Teraz już wiem, dlaczego od pierwszego momentu, gdy zjrzałem w oczy Sabiny Gancarek, poczułem dreszcze. Moja podświadomość natychmiast ją rozpoznała.

- Dzięki - mówię, gdy dziewczyna oddaje mi kartkę. - A teraz poproszę kogoś, żeby cię odwiózł do domu - oświadczam, podnosząc się z miejsca.

- Nie trzeba.

- Będzie lepiej, jeśli ktoś cię odwiezie. Bez dyskusji. - Nie chcę, aby wracała sama. Widzę, że jest wymęczona fizycznie, wiem, że jej stan psychiczny jest jeszcze gorszy, i chcę jakoś realnie jej pomóc. W tej chwili nic więcej zrobić nie mogę.

Tym razem Sabina nie oponuje. Wychodzę więc z pokoju przesłuchań i szukam Piotrka. Dziś znów zdecydowałem się na zebranie nieformalnych zeznań.

Zlecam młodemu policjantowi zadanie i wracam do siebie. Przy moim biurku siedzi Magda.

- Wypuściłeś ją? - pyta od razu. Policjantka myśli, że przesłuchiwałem Sabinę Gancarek w sprawie śmierci Joanny Zawadzkiej i na razie nie zamierzam wyprowadzać jej z błędu. Sprawę z Niemczykiem trzymam w rezerwie.

- Nie zna nawet kobiety z Hallera. - Sadowię się w swoim fotelu.

- Skąd ta pewność? - prycha policjantka. - Bo tak ci powiedziała?

- Słuchaj, Magda, nic konkretnego na nią nie mamy - mówię poirytowany. Od początku nie podobały mi się naciski koleżanki na przesłuchanie Sabiny Gancarek po znalezieniu zwłok Joanny Zawadzkiej, a teraz jeszcze dziwi się, że zwolniłem dziewczynę do domu. Mikulska nie ma pojęcia, że Sabina się tam pojawiła, nie powiedziałem jej o tym i w tej sytuacji jej upór jest co najmniej zaskakujący.

- Umiera trzecia mieszkanka Sosnowca, na Boga! - Magda podnosi głos.

- Nie da się ukryć. Ale na Gancarek nic nie mamy.

- Tak? - Wzrok aspirantki jest ostry jak brzytwa. - A to, że Jowita Niedbalec wywaliła ją z roboty? Przecież to oczywisty motyw.

- Owszem, jest to niezły motyw, ale tylko motyw. Nie mamy dowodów.

- Jakich dowodów ty potrzebujesz, żeby ją, do cholery, wreszcie przycisnąć?

- Magda, nic jednoznacznie nie wskazuje, że za śmierć którejkolwiek z tych kobiet mogłaby odpowiadać Sabina.

- Sabina? - Mikulska prycha gniewnie. - Omamiła cię! Noż kurwa mać, omamiła.

Nie komentuję słów koleżanki, bo od czasu do czasu sam o tym myślę. O tym, czy to, kim Sabina jest, nie przysyłania mi faktów, czy nie jestem wobec niej zbyt pobłażliwy. Wierzę jednak, że zachowuję obiektywizm, robię, co w mojej mocy, aby tak właśnie było. Za to Magda wydaje mi się za bardzo ukierunkowana w swoich przypuszczeniach. Rozumiem, że przechodzi trudny okres, zdrada męża to duży cios i właśnie z tego względu zaczynam mieć coraz większe wątpliwości, czy rzeczywiście powinna w tej chwili pracować. Może urlop byłby jednak najlepszy w jej sytuacji.

- Wiesz, że Joanna Zawadzka była kiedyś policjantką? - rzuca.

- Wiem - przytakuję, marszcząc brwi. - Jak mógłbym nie wiedzieć, skoro prowadzę tę sprawę?

Aspirantka posyła mi sugestywne spojrzenie, jakbym nie zauważał czegoś bardzo oczywistego.

- Do czego zmierzasz? - pytam więc.

- Zawadzka nie służyła długo w policji - mówi Magda. - Szybko zrezygnowała, po prostu nie dała sobie rady.

Nadal nie dowiaduję się niczego nowego, ale pozwalam Mikulskiej mówić dalej.

- W prewencji nie jest łatwo. Sam doskonale o tym wiesz, ale mniejsza z tym... Może Sabina miała jakiś zatarg z Zawadzką?

- Tak jak ty z Jaworską? - wypalam, bo ta insynuacja wydaje mi się już wręcz niedorzeczna. Zaraz jednak żałuję swoich słów, bo Magda zaciska usta i obraca twarz w stronę okna. Nie chciałem jej dowalić, nie to było przecież moją intencją. Nim zdążę przeprosić, policjantka podnosi się z krzesła i rusza do wyjścia.

- Magda! - wołam za koleżanką. - Magda, zaczekaj.

Nie słucha mnie, wychodzi z pokoju. Zapadam się głębiej w fotel, pocierając zmęczone oczy. Sugestia Magdy przestaje wydawać mi się tak absurdalna jak jeszcze chwilę temu. Nigdy nie przypuszczałbym przecież, że spotkam Karolinę Widel, i to jeszcze w tak osobliwych okolicznościach. Skoro dziewczynka zadzwoniła po pomoc raz, jaką mam pewność, że nie zrobiła tego ponownie? Może przy kolejnej próbie w jej mieszkaniu pojawiła się Zawadzka?

Słaby motyw, wzdycham w duchu. Szukam innego. Nie znajduję jednak niczego, co mogłoby łączyć Sabinę z Zawadzką, za to przypominam sobie, że Przemek wykłada na uczelni medycznej. Prowadzi zajęcia głównie na wydziale lekarskim, ale z tego, co kojarzę, także na wydziale farmaceutycznym. A Joanna Zawadzka jest przecież absolwentką farmacji.

Poprawiam się w fotelu, nie dowierzając, że coś podobnego w ogóle chodzi mi po głowie. Mąż Magdy to przecież żaden kobieciarz. Skąd to wiem? – pytam sam siebie. Jeszcze do niedawna dałbym sobie rękę uciąć, że Przemek jest Magdzie wierny, a tymczasem uwikłał się w romans z Jaworską. Czy mógł spotykać się również z Zawadzką?

Nie, Magda nie może mieć nic wspólnego ze śmiercią tych kobiet, próbuję ostudzić własną wyobraźnię. Jowity Niedbalec przecież wcale nie znała. Tyle że tak samo myślałem o Jaworskiej, dopóki Piotrek nie przyniósł mi zdjęć kolejnych kochanków kobiety.

– Szefie... – Przed moim biurkiem pojawia się Piotrek, zupełnie jakbym ściągnął go swoimi myślami. – Naczelnik chce z szefem gadać.

SABINA

43.

Młody policjant podwozi mnie pod blok, w którym mieszkam. Przez całą drogę nie odezwałam się do niego słowem, zresztą on też o nic mnie nie pytał. Wsiadam z wozu bez pożegnania, nie mam siły na zwracanie sobie głowy dobrymi manierami. Znajduję się tuż przy klatce, policyjny radiowóz odjeżdża. Kiedy znika blask jego świateł, pochłania mnie ciemność.

Przestraszyłam się Grześka, nie da się ukryć, ale nie sądziłam, że aż tak, że go... zabiję. Próbuję przypomnieć sobie konfrontację z Niemczykiem. W głowie mam jednak pustkę. Jest jak zwykle, deprotiksol zrobił mi sieczkę z mózgu albo tego typu wspomnienie nie ma prawa istnieć w mojej głowie. Chyba jednak nie do końca jest tak jak zawsze, bo jeśli nie ja zabiłam Grześka, to kto?

Nie dowiem się, jaka jest prawda, wyczerpałam już wszystkie możliwości. Jestem zdana na innych. Na policję. Na Miłka.

Naciskam guzik domofonu, mając nadzieję, że Konrad nadal jest w domu. Odkąd z nim rozmawiałam, minęło już ładnych kilka godzin i mógł znów wyjść z mieszkania. Tym razem dopisuje mi szczęście, współlokator wpuszcza mnie do bloku. Zmierzając do mieszkania, modlę się, aby nie było w nim Norberta albo żeby przynajmniej chłopak odpuścił sobie dzisiejszy seans filmowy. Nie zniosę, jeśli będę musiała jeszcze słuchać jęków zarzynanych ludzi.

Drzwi do mieszkania są uchylone. Wchodzę po cichu, nie zapalając światła. Zdejmuję buty w ciemnym przedpokoju,

czując, jak wydarzenia ostatnich godzin zalewają moją świadomość, jak ich brzemień obejmuje mnie swoimi ramionami. Nie zabiłam nikogo więcej – wciąż chcę się tego trzymać, ale jest mi coraz trudniej.

Z kuchni dolatują mnie odgłosy krzątania. Pewnie Konrad szykuje dla siebie kolację. Nic więcej nie słyszę, Norberta chyba nie ma, z jego pokoju nie wydobywa się żadne światło.

- Sabina? – woła mnie współlokator, ale nie potrafię zareagować. Stoję sztywno przyciśnięta do ściany, nie mogąc się poruszyć. Moje ciało ogarnęło trudne do przewyciężenia odrętwienie. Rzeczywistość znów przygniotła mnie całym swoim ciężarem i czuję, że tym razem nie dam rady stawić jej czoła. – Hej, co jest?

Podskakuję nerwowo, widzę Konrada tuż przed sobą. Macha mi pękiem kluczy przed nosem. Skupiam na nich wzrok, ich widok brutalnie mi przypomina, że Grzesiek nie żyje. A mimo to ogarnia mnie przerażenie, jakby lekarz miał się tutaj zaraz zmaterializować.

- Musisz wymienić zamki! – wykrzykuję.

- Że co? – Konrad kręci głową z poirytowaniem.

- Musisz wymienić zamki! – powtarzam i odzyskując panowanie nad swoim ciałem, robię krok w stronę kolegi.

- Wyluzuj, dziewczyno. – Chłopak wycofuje się z korytarza. – Gdybym zmieniał zamki za każdym razem, jak któryś z lokatorów zgubi klucze, to chyba bym zbankrutował. – Tym razem głośno się śmieje.

- Nie rozumiesz... – Podążam za nim do kuchni. – Musisz wymienić te kurewskie zamki! Musisz!

- Hej, spokojnie! – Konrad obraca się w moją stronę. – Wrzuć na luz. Masz i nie panikuj. – Kładzie zapasowy pęk kluczy na stole.

Nie mogę oderwać od nich wzroku. Wiem, że mój zestaw jest na komendzie policji, ale jaką mam pewność, że Grzesiek nie zdążył zrobić kopii? Że nie przekazał tej kopii dalej? Skąd mam wiedzieć, że nic mi nie grozi? Nie żyją już trzy kobiety! Może ja je zabiłam. Ale jeśli nie mam z ich śmiercią nic wspólnego, to jasne jest, że wkrótce mogę podzielić ich los.

Zaciskam palce na powiekach, staram się jako tako uspokoić. Wiem, że w przeciwnym razie nie zdołam przekonać Konrada do swoich racji.

- Posłuchaj... - odzywam się, zdobywając się na łagodny ton.
- Musisz wymienić zamki.

- Co ty znowu odpierdalasz? - Kolega posyła mi tym razem podejrzliwe spojrzenie, nie brakuje w nim także złości.

- Proszę cię, po prostu je wymień! Pokryję koszty.

- Gubisz telefon, nie masz kasy na nowy, wypytuje o ciebie policja - wylicza chłopak. - Teraz gubisz klucze, dam ci drugi komplet i nie musisz za nie płacić, bo wiem, że jesteś spłukana, to znowu każesz mi wymieniać zamki. Co z tobą jest nie tak, do cholery?

- Boję się, że mogły wpaść w niepowołane ręce.

- Co?

- Moje klucze! Boję się, że ma je ktoś... ktoś... - Kurwa, sama nie wiem kto! - Ktoś... niebezpieczny!

Konrad prycha lekceważąco i odwraca się do mnie tyłem. Na blacie leży stek wołowy i zielone szparagi. Obok widzę nóż. Jest średniej długości, wąski i najprawdopodobniej dobrze naostrzony, pewnie chwilę temu chłopak kroił nim mięso. Chwytam za niego i doskakuję do Konrada.

- Hej, spokojnie. - Współlokator unosi dłonie w poddańczym geście. - Odłóż ten nóż.

- Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? - warczę, wysuwając ostre narzędzie jeszcze bardziej w kierunku Konrada.

Wyobrażam sobie, jak by to wyglądało: zaskoczony sytuacją zgina się wóół, nie ma czasu na reakcję, bo nóż zaraz ponownie wbija się w jego ciało. A potem jeszcze raz. I znów. I jeszcze jeden. Kolejne ciosy są już niepotrzebne, ale je zadają. Podobnie jak bez opamiętania uderzałam głową matki o kuchenną szafkę, tak zatapiaam ostrze noża w tkankach kolegi. Posadzka tonie we krwi, fronty mebli upstrzone są podłużnymi zaciekami. Jej kolor gryzie się z oliwkową barwą lodówki. Wyczuwam jej metaliczny zapach, równomiernie unosi się w powietrzu.

- Chcę tylko, abys wymienił te pieprzone zamki! - gramię.

- Dobra, jasne - mówi Konrad. - Zrozumiałem. Nie ma sprawy, jeśli chcesz, to po prostu je wymienię. - Chłopak jest bładny ze strachu.

- Nie mogłeś tak od razu? - syczę, mocniej zaciskając dłoń na rękojeści noża.

Wtedy też zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, co robię. Patrząc na ostrze, kuchenne światło odbija się od niego jasnymi refleksami. Upuszczam nóż, przerażona, że przed chwilą nim wygrażałam. Za moment słyszę trzask drzwi. Nie muszę unosić spojrzenia, aby wiedzieć, że Konrad wyszedł z mieszkania. A właściwie z niego uciekł. I bardzo dobrze. Bo po tym, co się właśnie tutaj wydarzyło, już nie mam wątpliwości, że jestem morderczynią.

44.

Przed chwilą o mało nie zabiłam Konrada. Wydaje mi się to tak niedorzeczne, że aż się trzęsę. Ale pamiętam to. To, że chwyciłam za nóż. W przypadku wcześniejszych ofiar niczego takiego nie mogę sobie przypomnieć. Żadnej konkretnej sytuacji, w której jestem o krok od zbrodni.

Od jakiegoś czasu chodzę w kółko po swoim pokoju, nagle się zatrzymuję. Oglądam się na drzwi i drzę jeszcze bardziej. Muszę to zrobić, mówię sobie, iść do kuchni i sprawdzić, czy na pewno tak jest – czy na pewno nie zabiłam Konrada.

Wychodzę z pokoju, ostrożnie, jakbym miała samym odgłosem swoich kroków ściągnąć na siebie nieszczęście. W mieszkaniu jest posępnie cicho. Co jakiś czas bulgoczą tylko stare rury, dziś nawet nie słychać pomruku telewizora sąsiadów z góry. Ta swoista stagnacja nie pozwala mi się pozbyć sprzed oczu wyobrażenia nieruchomego ciała. Martwy Konrad leży na posadzce pomiędzy lodówką a kredensem, jest cały zakrwawiony, twarz ma upiornie bladą.

Kiedy docieram do kuchni, instynktownie zamykam oczy. Boję się przekonać, jak wygląda prawda.

Omam nie mdleję, kiedy w końcu je otwieram i okazuje się, że w kuchni... jest pusto. Chwytam się blatu, aby nie upaść, lustruję przy tym posadzkę, jakby to, czego szukam, było malutkie i mogło z łatwością zostać przeoczone.

Nie ma wątpliwości, w kuchni nie ma Konrada. Ani żywego, ani jego martwego ciała. Przymykam powieki i biorę głęboki wdech. Nie zabiłam nikogo więcej. Nie zabiłam.

Dźwięk domofonu sprawia, że podskakuję, otwieram też gwałtownie oczy. Sygnał się powtarza, a w moim gardle

pojawia się ucisk, który zaczyna utrudniać mi oddychanie. Wycofuję się z kuchni do korytarza. Dopiero teraz dociera do mnie, że po ucieczce Konrada nie zamknęłam drzwi na klucz. Byłam zbyt przejęta tym, że prawie zabiłam, aby myśleć o takich szczegółach. Przez cały ten czas do mieszkania mógł swobodnie wejść, kto tylko chciał. Ciarki przebiegają mi po plecach, kiedy o tym myślę, choć przecież to mnie należy się bać.

Podnoszę wzrok na domofon, ale ten nie rozdzwania się po raz kolejny. Nim zdążę się jednak rozluźnić, odzywa się mój telefon. Wyjmuję go z kieszeni džinsów bardzo ostrożnie, jakby był wykonany z delikatnej porcelany. Nie znam numeru, który próbuje się ze mną połączyć. Wilgotnieją mi dłonie, ucisk u dołu się nasila. Nie wiem, co robić, odbierać czy po prostu zignorować połączenie. Zastanawiam się także, czy to ta sama osoba, która przed momentem dobijała się przez domofon.

- Halo - odbieram w końcu, czując, że znów robi mi się potwornie słabo. W napięciu słucham głosu po drugiej stronie. Przez dłuższą chwilę zupełnie nie rozumiem, kto i po co do mnie dzwoni. Kiedy wreszcie uświadamiam sobie, z kim mam do czynienia, ściany pokoju zaczynają tańczyć mi przed oczami.

Znów policja. Dopadli mnie. Tym razem nie mogę już mieć złudzeń, moje dni na wolności są dokładnie policzone.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

45.

Czuję się jak dureń, faktycznie dałem się omotać. Tyle że nie Sabinie Gancarek, ale aspirantce Magdzie Mikulskiej. Wieści, które przekazał mi naczelnik, dudnią mi w uszach, są jak potężna nawałnica, która zbliża się nieubłaganie.

Wyszło na jaw, że policjantka znała Joannę Zawadzką, pracowały razem za młodych lat, jeszcze w prewencji. „Nie lubiły się” to mało powiedziane, notorycznie darły koty nie tylko na stopie prywatnej, ale także na służbie. Posypały się nawet nagany, przez co droga Magdy do stopnia komisarza znacznie się wydłużyła. Teraz już wiem, dlaczego koleżanka może poszczycić się jedynie stopniem aspirantki, choć ma dłuższy staż w policji niż niejeden pracownik wydziału. Właściwie to przez tę kobietę – Joannę Zawadzką – kariera Mikulskiej idzie jak po grudzie.

Nie widziałem sensu, aby dłużej kryć koleżankę. Powiedziałem naczelnikowi o romansie męża Mikulskiej z Katarzyną Jaworską.

Nie mogła zapaść inna decyzja, Magda została zawieszona.

Naprawdę to robię, pry cham pod nosem, wychodząc z gabinetu przełożonego. Podejrzewam Magdę o pozbawienie życia trzech kobiet! W dobrej policjantce dopatruję się przebiegłej morderczynie.

Joanna Zawadzka to znienawidzona dawna znajoma Magdy, z Katarzyną Jaworską zdradzał ją mąż, a co z Jowitą Niedbalec?

W głowie huczy mi jak w ulu. Nie mogę przestać myśleć o tym, czego jeszcze dowiedziałem się o Magdzie. O jej nie zawsze profesjonalnym podejściu do świadków. Wywieranie presji na podejrzanych to normalna sprawa, ale nawet na tym polu są pewne granice. Podobno Mikulska lubiła te granice przekraczać. Nie chce mi się w to wierzyć, przez cały czas odbierałem Magdę jako bardzo zaangażowaną policjantkę...

Tak właśnie, Magda od samego początku dochodzenia oferowała swoją pomoc. Wynajdywała nowe informacje, można nawet powiedzieć, że sypała z nimi jak z rękawa. To dzięki niej wyszło na jaw, że Jaworska leczyła się psychiatrycznie, a Gancarek była wolontariuszką w Interwencyjnym Ośrodku Preadopcyjnym. Dążyła do przesłuchiwania świadków, nie jestem w stanie policzyć, ile razy chciała osobiście rozmawiać z Sabiną. Nie chcę się nawet zastanawiać, do czego mogłoby dojść, gdybym jej na to pozwolił.

Upierała się, że kobieta, która ponownie pojawiła się na torach, to Sabina, że dziewczyna wróciła na miejsce zbrodni, bo to częsty rytuał morderców...

Czy tą kobietą była... Magda?

Na litość boską, nie mam żadnych dowodów przeciwko Magdzie! Żadnych. Są za to fakty, obok których nie mogę przejść obojętnie.

Wygrzebuję telefon z kieszeni i wybieram numer Mikulskiej. Policjantka nie odbiera. Jeszcze raz próbuję się z nią połączyć, ale bezskutecznie.

- Piotrek - przywołuję młodego policjanta. - Trzeba znaleźć Magdę.

- Co się dzieje? - pyta chłopak.

- Właśnie została zawieszona - tłumaczę ogłędnie.

- O proszę! - Piotrek wydaje się zaintrygowany. - Co przeszkobiła?

- Później - rzucam w pośpiechu. - Teraz spróbuj ją po prostu złapać. Nie wspominaj o tym, że została zawieszona, jedynie że powinna pilnie stawić się na komendzie.

- Robi się, szefie! - Policjant salutuje i bierze się do roboty. Ja również.

Wybiegam z budynku, podświadomie czując, że muszę się spieszyć. Nawet jeśli Magda jest morderczynią, to potencjalnie nikomu nic nie grozi, przynajmniej dopóki aspirantka się nie zorientuje, że została zdemaskowana, jednak jakiś wewnętrzny głos nakazuje mi działać szybko.

Wskakuję do samochodu i ruszam. Przycisnę Przemka, musi znać dokładny adres Magdy. A jeśli nie on, to jej rodzice na pewno. Kieruję się najpierw na Klimontów, bo to znacznie bliżej, rodzice policjantki mieszkają w Bytomiu. Ale jeśli będzie trzeba, to tam też pojedę. Chcę ją znaleźć, pogadać z nią i raz na zawsze pozbyć się podejrzeń, które chodzą mi po głowie.

Kiedy zaczyna dzwonić mój telefon, od razu po niego sięgam. Jestem niemal pewien, że to Magda odzwania. Okazuje się jednak, że to nie ona. Marszczę brwi, zastanawiając się, kto to może być. Bez dalszej zwłoki akceptuję połączenie.

- Cześć, Witek - słyszę głos Przemka Mikulskiego.

- Cześć, siema - witam się. - Dobrze, że dzwonicz, właśnie...

- Możesz do mnie przyjechać? - wchodzi mi w słowo mąż Magdy.

- Co się stało?

- To... - Przemek ciężko wzdycha. - To delikatna sprawa. Nie na telefon. Ale muszę z tobą pogadać.

- Tak się składa, że ja z tobą również - odpowiadam.

Po drugiej stronie zapada cisza. Nie wiem, jak mam ją interpretować. Przez moment wydaje mi się nawet, że Przemek się rozłączył.

- Halo, jesteś tam? - dopytuję.

- To... przyjedziesz? - Mikulski ciągle jest na linii. - Nie chcę z tym... dłużej czekać. Chciałabym pogadać jak najszybciej.

- Co się dzieje, Przemek? - dopytuję, słysząc, jak mężczyźnie drży głos. Każda z tych nerwowych nut niepokoi mnie jeszcze bardziej, mąż Magdy zwykle jest opanowany, nie przypominam sobie zbyt wielu sytuacji, kiedy dał się wytrącić z równowagi.

- Witek, po prostu przyjeźdź. Powiem ci... jak przyjedziesz - oświadczam.

Nie podoba mi się takie postawienie sprawy, ale wygląda na to, że nie pozostaje mi nic innego jak uzbroić się w cierpliwość.

- Zaraz będę - rzucam.

Po kilku minutach parkuję przed domem na Klimontowie, nie mając bladego pojęcia, o co może chodzić. W głowie nie świta mi choćby jeden sensowy pomysł.

Mikulski otwiera mi drzwi, jeszcze zanim zdążę pod nie podejść. Wygląda mizernie. Brak spodni w kant i odprasowanej koszuli natychmiast przykuwa moją uwagę. Poza tym mąż Magdy ma zgarbione ramiona i podkrążone oczy, a włosy w nieładzie. Jest też nieogolony, jego szczeka długo nie widziała żyłki. Od razu się zastanawiam, czy w takim stanie pojawia się na uczelni.

- Co się dzieje? - pytam, darując sobie słowa powitania. Teraz dostrzegam jeszcze, że jego policzki są zapadnięte. Wydaje mi się także, że stracił kilka kilogramów. Może nawet więcej niż kilka. Naprawdę nigdy nie widziałem Mikulskiego w tak złej formie.

- Wejdz. - Mąż Magdy apatycznym gestem dłoni zaprasza mnie do środka.

Przechodzę za nim do salonu, wyczuwam nerwowość w jego ruchach. Czujnie rozglądam się dookoła, jakby gdzieś czaiło się zagrożenie. Próbuję zrozumieć, co się dzieje, na podstawie samego wyglądu i zachowania gospodarza, ale jedyne, co mi

przychodzi na głowy, to to, że facet nie radzi sobie z odejściem żony.

- Zabiłem - mówi Przemek.

Zatrzymuję na nim wzrok, niepewny, czy dobrze usłyszałem.

- Zabiłem - powtarza jednak mąż Magdy. - Katarzynę Jaworską.

Oblewa mnie zimny pot, nie odrywam wzroku od Mikulskiego, ten także na mnie patrzy. Jest blady jak ściana, oczy mu się szklą.

- Wepchnąłem ją pod tramwaj - mówi, połykając niektóre głoski. Ledwo go rozumiem. - Wdałem się w romans, głupi romans, i to jeszcze chyba z najgorszą kobietą z możliwych. Szantażowała mnie, chciała kasy. Popeliłem ten błąd, że jej dałem. Ale chciałem, żeby się odczepiła. Rozumiesz? Magda, uczelnia, nie mogłem pozwolić, żeby zaczęła o nas gadać. Myślałem, że się odczepi, ale ona chciała więcej i więcej. Te kwoty naprawdę stały się duże, nie mogłem dłużej jej płacić.

Pocę się jeszcze bardziej, to, co słyszę, rzuca zupełnie inne światło na sytuację. Tymczasem Przemek milknie, ukrywa twarz w dłoniach, wydaje mi się, że łka.

- Magda się dowiedziała. - Znów mówi, głos mu drży. - Nie przełknęła zdrady, powiedziała, że z nami koniec.

Mikulski podpira się pod boki i bierze głęboki wdech. Potem spuszcza głowę między barki i dodaje:

- Kazała mi się też nie martwić, oznajmiła, że ona to załatwi. Obiecała mi, że nie pójdę siedzieć, mam tylko trzymać język za zębami. Przez chwilę mi to wychodziło, ale teraz... Witek, ja nie dam rady... Ja nie mogę... - jąka się. - Ja zabiłem człowieka. Jak ja mam z tym żyć? - Znów ukrywa twarz w dłonie, tym razem jestem pewny, że płacze.

- Mówiłeś o tym komuś jeszcze? - pytam, starając się zachować przytomność umysłu. To trudne, bo od tego, co

usłyszałem, piekielnie kręci mi się głowie.

- Nie - chlipie. - Nikt nie wie. Tylko Magda. No i teraz ty.

- Muszę cię aresztować.

- Wiem. - Nadal szłocha, a do mnie dociera, że Sabina z całym tym swoim poplątanym życiem to prosty cel dla Magdy. Ofiara, którą łatwo wykorzystać, zwłaszcza tak inteligentnej osobie jak aspirantka Mikulska. - Podaj mi adres, gdzie teraz mieszka Magda - nakazuję.

- Mówiłem ci, że nie wiem, gdzie się wyprowadziła.

- Przemek, to ważne. Magda kazała ci trzymać gębę na kłódkę, ale to już nieaktualne. Teraz pora, abyś pomógł.

- Witek, na Boga, naprawdę nie wiem. Nie powiedziała mi.

Mężczyzna na nowo zalewa się łzami. Przyglądam mu się ze współczuciem, niedowierzaniem i odrazą jednocześnie. Nie sądziłem, że jedną osobę można darzyć tak rozbieżnymi odczuciami. Dochodzę też do wniosku, że Mikulski chyba faktycznie nie wie, gdzie zatrzymała się jego żona. Skoro postanowiła kryć sprawcę morderstwa, musiała zadbać o wiele szczegółów.

Sięgam po telefon i dzwonię do Piotrka. Mówię mu o Przemysławie Mikulskim. Młody policjant z ekscytacją podejmuje się zadania, obiecuje zaraz się tutaj zjawić. Kiedy kończę z nim rozmawiać, wybieram jeszcze raz numer Magdy, tym razem okazuje się, że telefon policjantki jest poza zasięgiem sieci. Klnę pod nosem - oby tylko się nie domyśliła, że wiemy więcej, niżby chciała.

- Masz numer telefonu do któregoś z rodziców Magdy? - zwracam się do Przemka, który usiadł zgarbiony na kanapie. - Może oni będą wiedzieć, gdzie się wyprowadziła - mówię, choć w zaistniałych okolicznościach zaczynam wątpić, aby nawet oni mieli takie informacje.

Mikulski sięga po swoją komórkę, chwilę w niej szpera. Wreszcie mi ją podaje.

- Teściowa - rzuca krótko i wraca na kanapę.

Wstukuję numer matki Magdy do swojego telefonu.

- Na co czekamy? - pyta Przemek.

- Na radiowóz. Pojedziesz na komendę złożyć oficjalne zeznania.

- A potem co? Pudło?

- Areszt i proces.

Mężczyzna kiwa głową, zaciskając kurczowo usta. Muszę przyznać, że mimo wszystko czuję wobec niego pewien podziw. Nie każdy w takiej sytuacji zdobyłby się na prawdę. Wyrzuty sumienia potrafią zabić człowieka. Przemek, przyznając się do winy, ma szansę z nimi wygrać.

SABINA

46.

Otwieram drzwi. Aspirantkę Magdalenę Mikulską widziałam raz czy dwa na komendzie, ale nigdy nie miałam okazji z nią rozmawiać. Nigdy też mnie nie przesłuchiwała.

Policjantka jest sama. Tego się nie spodziewałam. Oczekiwałam całej obstawy. Nie wiem też, dlaczego nie ma z nią Miłka, ale nie znam policyjnych procedur. Może właśnie tak to ma wyglądać.

- Wpuścisz mnie? - odzywa się kobieta.

Odsuwam się nieco, aby zrobić jej przejście. Nie myślę o ucieczce, nie ma ona sensu. Gdzie miałabym się podziąć? I ile tak naprawdę zdołałabym się ukrywać? Ile czasu bym zyskała? Kilka dni, parę tygodni? Nie uniknę tego, muszę ponieść konsekwencje popełnionych przez siebie czynów.

- Dobrze, że chcesz współpracować - mówi Mikulska, wchodząc do mieszkania. Kiedy zamyka za sobą drzwi, strach ściska mnie za gardło. Nigdy nie byłam aresztowana i nie wiem, czego się spodziewać. Mimo wszystko czułabym się spokojniej, gdyby przyszedł po mnie Miłek. Choć lata temu mnie zawiódł, w ostatnim czasie okazał się dla mnie nieoczekiwanym wsparciem.

- A teraz rób, co ci każę - rozkazuje policjantka.

Unoszę wzrok i widzę wycelowaną w siebie lufę pistoletu. Mrugam powiekami, jakby miało to sprawić, że obraz się zmieni, ale nic z tego. Kiedy wreszcie dociera do mnie, że kobieta mierzy do mnie z broni, zapiera mi dech w piersi.

Niczego nie rozumiem, ale chyba nie tak powinno wyglądać aresztowanie.

- Idź! - nakazuje mi Mikulska.

Widok wycelowanej we mnie broni paraliżuje, nie jestem w stanie się poruszyć. Stoję sztywno jak kołek, gapiąc się w lufę pistoletu.

- No już, idź! - Kobieta popycha mnie w głąb mieszkania. - Do swojego pokoju, już! Idź! - Popycha mnie jeszcze raz.

Odwracam się i na sztywnych nogach ruszam. Z przejęciem potykam się na progu.

- A teraz weź jakąś kartkę i długopis - pada kolejna komenda.

- Po co? - wyduszam, coraz bardziej nie pojmując, co się tutaj dzieje.

- Rób, co mówię! - Policjantka znów podnosi głos. Nadal też mierzy do mnie z pistoletu. - Rób, co mówię! - wrzeszczy.

W szufladzie biurka znajduję zeszyt, wydieram z niego kartkę. Chwytam długopis, trudno mi go stabilnie utrzymać w dłoni, trzęsą się.

- Pisz: ja, Sabina Gancarek - zaczyna dyktować - zabiłam Jowitę Niedbalec...

- Co? - dukam.

- Pisz, kurwa! - grzmi policjantka, unosząc dłoń, w której trzyma pistolet. Instynktownie zakrywam głowę rękoma, przekonana, że zaraz mnie tym pistoletem uderzy, ale nic takiego się nie dzieje. - Pisz! - krzyczy ponownie. - Masz się przyznać do zabicia Jowity Niedbalec, bo cię wyjechała z roboty, Katarzyny Jaworskiej, bo łała swoje dziecko, tak jak ciebie łał tatuś, a Joannę Zawadzką, bo... - Urywa, jakby szukała w głowie dalszego ciągu swojej historii. - Bo już nie potrafisz inaczej, jak tylko zabijać. Albo o, że cię wkurwiła, bo nie chciała ci sprzedać prochów uspokajających. Pisz!

Patrzę na Mikulską, zastanawiając się, która z nas jest bardziej popapрана. Ja, bo nie wiem, czy to, co się dzieje, rozgrywa się naprawdę, czy policjantka, bo grozi mi bronią i każe pisać jakieś listy.

- Pisz, kurwa, pisz! - Kobieta jak chwilę wcześniej bierze zamach. Tym razem jestem pewna, że nie uniknę ciosu, ale znów jej ręka się zatrzymuje, zanim mnie trafi. - Pisziesz czy chcesz kulkę w łeb?

Poprawiam w dłoni długopis, ślizga się na mojej mokrej skórze. Zaczynam pisać. Litery wychodzą mi strasznie koślawe.

- Kurwa jego mać, przecież tego nikt nie odczyta! - krzyczy policjantka. Wyrywa mi kartkę, mnie ją ze złością. - Od nowa, weź nową kartkę i pisz! Tylko powoli! Tak, żeby się to dało rozszyfrować! - Przysuwa mi lufę pistoletu bliżej głowy.

Robię, co każe. Choć wciąż trudno mi opanować drżenie, tym razem stawiam wyraźniejsze litery. Guzdrzę się, ale jeśli ma być czytelnie, nie mogę szybciej. Policjantka przygląda się moim ruchom, nic nie mówiąc. Kiedy przyznanie się do zabicia Jowity Niedbalec znajduje się już na papierze, odzywam się:

- Ale po co? Po co to wszystko?

Nie stać mnie na uniesienie głowy i spojrzenie na policjantkę. Ściskam mocniej długopis, zastanawiając się, czemu to ma służyć. Nie mogę zrozumieć, strach doszczętnie mnie otumania.

- Nie dyskutuj, masz co robić! - Szarpie mnie za włosy. Syczę z bólu. - Pisz! - rozkazuje.

Nie mogę się przemóc, intuicja mi podpowiada, że źle się to dla mnie skończy. Że kiedy napiszę ten pieprzony list, mój dramat dopiero się zacznie.

- Słyszysz, co do ciebie mówię?

Rozglądam się po pokoju, Mikulska trzyma naładowaną broń, ale może mam jakąś szansę. Wypatruję czegoś, czym

mogłabym kobietę ogłuszyć.

- To jednak kulka w łeb? To wolisz?! - Lufa pistoletu znów dotyka mojej głowy.

Przestaję się rozglądać, wracam do pisania.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

47.

A jednak. Rodzice Magdy wiedzą, gdzie zatrzymała się córka. Zapisuję adres, aby przypadkiem mi nie umknął, i niemal w tej samej chwili przed domem Mikulskich pojawia się radiowóz. Zlecam Piotrkowi i jego kompanom aresztowanie Przemka, informuję, że sam jadę do Magdy. Rzucam jeszcze, że przesłucham Mikulskiego na komendzie, kiedy wrócę. Piotrek zapewnia, że wszystkim się zajmie, nie wątpię w to.

Nie tracę więcej czasu, wskakuję do samochodu.

Czuję się rozdarty jak chyba nigdy wcześniej. Ulga, że Magda jednak nikogo nie zabiła, jest tak naprawdę gorzka. Miesza się z palącym niedowierzaniem, że policjantka zdecydowała się zatuszować sprawę morderstwa. Więcej, postanowiła obarczyć winą kogoś innego. Przemek powiedział, że żona nie przełknęła zdrady. Bardzo możliwe, ale to wcale nie oznacza, że mąż przestał być dla niej ważny. Zastanawiam się, jak daleko człowiek jest gotowy się posunąć, gdy kocha. Wiem, że kobiety są w stanie całkowicie się poświęcić, kiedy chodzi o dziecko. Mama położyła na szali całe swoje życie po to, aby potworność ojca nigdy mnie nie dosięgła. Wiele razy widziałem ją posiniaczoną, nierzadko też zakrwawioną, ale mnie nigdy włos z głowy nie spadł. Wygląda na to, że dla ukochanego mężczyzny kobiety także są w stanie bardzo wiele zrobić.

Po zaledwie kilkudziesięciu metrach drogi rozdzwania się moja komórka. Znów mam nadzieję, że to Magda. W obecnej sytuacji jeszcze bardziej chcę dotrzeć do niej pierwszy. Jednak

ponownie to nie ona. Odbieram połączenie, kompletnie nie wiedząc, czego się tym razem spodziewać.

- Komisarz Witold Miłek, słucham? - rzucam do telefonu.

- Dzień dobry, właściwie dobry wieczór! Z tej strony Konrad Piskorz, współlokator Sabiny, nie wiem, czy mnie pan kojarzy?

- Jak najbardziej. Co się dzieje?

- Odjechała jej! - wykrzykuje chłopak. O ile przed chwilą jego głos wydawał mi się nerwowy, teraz słyszę w nim czystą histerię. - Wygrażała mi nożem, nie wiem, czy chciała mnie nim pochlastać, czy co, ale ona jest bardziej powalona, niż sądziłem. To psychopatka!

- Zaraz, o kim mówimy? O Sabinie Gancarek? - upewniam się, czując, jak ogrania mnie coraz większa konsternacja.

- Tak! - Chłopak dalej krzyczy. - Groziła mi nożem!

- Kiedy?

- Przed chwilą. Dosłownie przed chwilą. Wróciła do mieszkania i zaczęła się domagać, abym wymienił zamki w drzwiach. Ja rozumiem, że zgubiła klucze, ale bez przesady, żeby od razu zamki wymieniać i...

- Gdzie teraz jesteś? - wchodzę chłopakowi w słowo. - Jesteś ranny?

- Nie, nic mi nie jest. Uciekłem. - Wzdycha. - Choć serio myślałem, że mnie potnie tym nożem! No wariatka.

- A gdzie teraz jest Sabina?

- Nie wiem. Została w mieszkaniu, ale nie wiem, czy dalej tam jest. Nie wrócę tam, dopóki jej stamtąd nie weźmiecie.

- Zajmę się tym - obiecuję. - A ty znajdź sobie bezpieczne miejsce. Idź do kolegi albo pojedź do rodziców.

- Tak zrobię. Na pewno nie wrócę do mieszkania, dopóki ona tam jest - powtarza. - Od początku była dziwna, ale żeby nożem wygrażać, no cholera jasna, nigdy bym się nie spodziewał!

- Rozumiem, dobrze, że zadzwoniłeś. Skontaktuję się z tobą, gdy będzie już... po wszystkim.

Kończę połączenie i natychmiast zmieniam kurs. Przed chwilą byłem pewny, że rozgryzłem sprawę, przynajmniej jej część, teraz znów rozwiązanie wydaje mi się daleko poza zasięgiem. Wiem jedno: teraz muszę jak najszybciej dotrzeć do Sabiny.

SABINA

48.

Skończyłam. Na biurku leży odręcznie napisane przyznanie się do morderstwa trzech kobiet. Dwóch nawet nie znałam. I wiem, że ich nie zabiłam. Jowity też nie. Więc kto to zrobił? Mikulska?

Nie mieści mi się to w głowie bardziej, niż gdyby się okazało, że to ja popełniłam te zbrodnie.

- Połknij to. - Policjantka podaje mi garść tabletek. Ciągłe mierzy do mnie z broni, na dłoniach ma rękawiczki. - No, bierz!

Nie mam zamiaru, nie zmusi mnie.

- Łykaj! - Przysuwa lufę pistoletu do mojej skroni. - No już, łykaj! - Przyciska ją mocniej do mojej skóry.

Chce mnie wrobić, a do tego zabić. Nie chcę poddać się tak łatwo, całe życie o siebie walczyłam, ale nie widzę dobrego wyjścia z tej sytuacji. Nie wiem, jak teraz znów zawalczyć o swoje życie.

- Łykaj, kurwa, te tabletki! - Kobieta wbija mi twardy metal w skroń tak mocno, że aż mnie boli. - Wolisz kulkę w łeb, tak?

Strzeli, nie mam co do tego wątpliwości. W oczach policjantki skrzy się szaleństwo. Zresztą próba upozorowania mojego samobójstwa jest tego najlepszym potwierdzeniem. Mikulska zwariowała.

- Łykaj, kurwa, te tabletki! - Koleżanka Miłka szarpie mnie za włosy.

Biorę dwie i wkładam je do ust w nadziei, że w międzyczasie coś wymyślę. Policjantka wskazuje na biurko, gdzie stoi szklanka z wodą. Popijam pigułki, mocno ściskając szklankę

w dłoni. Myślę o tym, by ją wykorzystać, kalkuluję, czy wystarczy mi czasu, by rozbić szkło i zaatakować nim policjantkę, zanim ta do mnie strzeli. Rachunek nie jest zachęcający.

- Następne! - rozkazuje mi. - Bierz następne.

Z ociąganiem sięgam po kolejne dwie.

- Szybciej. Przecież to lubisz - ponagla mnie.

Połykam kilka kolejnych.

- Co to jest? - pytam, choć wcale nie muszę, znam odpowiedź aż za dobrze.

- Psychotropy - mówi, wciskając mi do ręki następne tabletki. - Różne. Zaśniesz po nich jak dziecko. - Posyła mi krzywy uśmiech.

- Dlaczego ja? - dukam, między jednym łykiem wody a drugim.

- Bo i tak jesteś dnem.

Zaciskam usta, kiedy słyszę te słowa. Matka często tak do mnie mówiła, jeszcze częściej mi to pokazywała. Teraz dzieje się to samo. Obca kobieta traktuje mnie jak śmiecia.

- Zabiłaś własną matkę - odzywa się policjantka, znów wciskając mi do ręki porcję pigułek. Jest ich co najmniej pięć, zastanawiam się, ile już znalazło się w moim żołądku. Cholera, dużo. Za dużo! - Łykaj, popaprańcu - słyszę, kiedy połykam te, które właśnie mi dała.

- Czym będziesz się ode mnie różnić, jeśli mnie zabijesz? - pytam.

W odpowiedzi policjantka przysuwa swoją twarz do mojej.

- Ja tylko pozbywam się zera, którym jesteś - cedzi przez zęby, a potem odsuwa się ode mnie i podaje mi ostatnie tabletki. - I wiesz co? - mówi jeszcze. - Wreszcie masz szansę się na coś przydać.

- Przydać? Jak mogę ci się przydać martwa? - mówię zdesperowanym tonem. Ta policjantka jest bardziej niezrównoważona niż ja!

- Ludzie nas krzywdzą. Nawet najbliżsi - oznajmia ponurym tonem. - Problem polega na tym, że nadal ich kochamy.

Nie mam pojęcia, o kim policjantka mówi, ale ma rację. Matka krzywdziła mnie przez całe swoje życie, a ja nie przestałam jej kochać. Usunęłam ją z tego świata, ale nie przestałam kochać.

- Łykaj! - rozkazuje mi.

- Zabiłaś trzy kobiety! - wykrzykuję. - Sama jesteś zerem!

- Ale z ciebie szajbuska. - Mikulska głośno się śmieje. - Serio nie pamiętasz, że zatłukłaś Niedbalec, czy tylko udajesz?

- Nie zabiłam jej. - Kręcę głową, czując, że powoli robię się senna. - Nie zabiłam. Nikogo nie zabiłam!

- Taaa... - Mikulska znów się śmieje. - Zwłaszcza swojej mamusi.

- Nie zrobiłam tego! Rozumiesz?! Nie zabiłam Jowity. A matka mnie katowała! Znęcała się nade mną w każdy możliwy sposób. Wiesz, co ona mi robiła?! Nie mogłam tego znieść. - Zalewam się łzami. - Zabiłam tylko matkę.

- Tylko? - prychna drwiąco policjantka. - Zabiłaś TYLKO matkę?!

- Byłam wtedy dzieckiem - płaczę. - Chciałam tylko, żeby to się wreszcie skończyło. Żeby wreszcie dała mi spokój.

Nagle wstrząsa mną dreszcz, uświadamiam też sobie, że zaczęłam się obficie pocić. Nie mam złudzeń, że tabletki, które połknęłam, zaczynają działać. Kończy mi się czas. Na walkę, na odwrócenie losu, który zgotowała mi ta szalona policjantka. Czuję, jak rośnie we mnie złość. Więcej, to gniew, który zaczyna we mnie dosłownie buzować. Mam wrażenie, że budzi się we

mnie dzikie zwierzę. Pierwotny instynkt przetrwania, który przysłania wszystkie inne myśli.

Podrywam się z miejsca i rzucam na policjantkę. Zaskoczona upada. Nie tracąc ani chwili, doskakuję do niej i chwytam ją za włosy. Słyszę jej krzyk, szarpie ją, ile tylko znajduję w sobie sił. Broń wciąż ma w dłoni, wiem, że w każdej chwili może pociągnąć za spust, ale już się tego nie boję. Rozjuszona młóć rękoma we wszystkie strony. Wściekła na wszystko, co mnie do tej pory spotkało, na całe swoje poplątane życie.

Szybko jednak opadam z sił, nogi i ręce wydają mi się niemiłosiernie ciężkie. Poruszanie nimi staje się trudne, za moment już ledwo je dźwigam. Czuję, że policjantka wyslizguje się spodzie mnie. Łąduję twarzą na dywanie.

- Suka - sapie ciężko kobieta. Kopie mnie. Mocno, ale nie na tyle, żeby wzbudziło to podejrzenia lekarza, który będzie przeprowadzał sekcję moich zwłok. - Zdychaj, szmato.

Niewyraźnie, ale widzę, że wychodzi z mojego pokoju, za moment słyszę, że trzaskają drzwi do mieszkania. Próbuję się podnieść, ale to ponad moje siły. Czołgam się więc, usiłując zlokalizować swoją komórkę. Nigdzie jej nie widzę, obraz przed oczami mam coraz bardziej zamazany. Walczę, nie poddaję się. Tak, jak całe życie się nie poddawałam.

Podnoszę się odrobinę na rękach i robię to, co powinnam zrobić, kiedy tylko Mikulska zostawiła mnie samą. Wkładam palce do gardła. Natychmiast ciągnie mnie na wymioty. Ale to za mało. Wsuwam place głębiej w usta, pojawiają się pierwsze torsje. Zaraz są kolejne.

Wymiociny lądują na dywanie, cuchną. Ale to nic, to dalej za mało. Wkładam palce do buzi ponownie. Tym razem wraz z treścią żołądka na dywan wypadają całe tabletki, które nie zdążyły się jeszcze rozpuścić. Mam nadzieję, że to wystarczy, aby przeżyć.

Opadam na podłogę obok własnych wymiocin. Udaje mi się jeszcze ułożyć na boku. W tej pozycji nie powinnam się zakrztusić, gdybym zaczęła nieświadomie wymiotować. Opadają mi powieki i nie jestem w stanie zrobić już nic więcej, aby się ratować.

KOMISARZ WITOLD MIŁEK

49.

Minęło kilka dni. Miałem co robić przez ten czas.

List, który znalazłem w mieszkaniu Sabiny, niczego nie wyjaśniał. Przeciwnie, bo Przemek oficjalnie przyznał się do wepchnięcia Katarzyny Jaworskiej pod tramwaj. Zeznał również, że żona kazała mu milczeć i obiecała załatwić sprawę. To, co przytrafiło się pozostałym dwóm mieszkankom Sosnowca, pozostawało zagadką.

Z pomocą przyszedł raport z sekcji zwłok Joanny Zawadzkiej. Okazało się, że kobieta zmarła wskutek nieszczęśliwego wypadku. Wiosna na horyzoncie, ale podobnych zdarzeń pewnie będzie jeszcze co najmniej kilka, zanim na dobre wyłączymy ogrzewanie w swoich domach.

Dalej nie wiedziałem, kto zabił Jowitę Niedbalec.

Na Wiesława Popławskiego zwróciłem uwagę już w momencie, kiedy poznałem poprzednią tożsamość Sabiny. Od tamtego czasu postać mężczyzny nie dawała mi spokoju. W końcu musiałem go przesłuchać.

Blok w Mysłowicach, pod który podjeżdżam, jest obskurny. Posępny budynek stoi w otoczeniu kilku podobnych, wszystkie wyglądają, jakby były opuszczone. Wiem jednak, że wcale nie są, że ciągle mieszkają w nich ludzie.

Wysiadam z samochodu i kieruję się w stronę właściwej klatki. Szyby w drzwiach są wybite, a ściany podrapane i pomalowane gryzmołami. W środku śmierdzi stęchłym moczem. Kiedy idę na piętro, nieprzyjemny zapach nie traci na

sile. Wkoło jest brudno, chyba nikt nigdy tu nie zamiata, nie mówiąc już o jakimkolwiek myciu podłogi.

Pukam w zdezelowane drzwi, wydają się leciwe, sprawiają wrażenie, jakby zaraz miały wypaść z zawiasów. Długo nikt mi nie otwiera, pukam jeszcze raz. Wreszcie w progu pojawia się gospodarz, z wnętrza mieszkania wydobywa się odór przetrawionego alkoholu i duszący zapach dymu papierosowego.

- Wiesław Popławski? - pytam.

- A co? - burczy mężczyzna nieprzyjemnie.

- Policja, komisarz Witold Miłek. Mam do pana kilka pytań.

- No - bąka tylko Popławski.

- Zaprosi mnie pan do środka czy będziemy rozmawiać w progu?

- No jak pan musisz, to chodź. - Facet znika w głębi mieszkania.

Zamykam za sobą drzwi i podążam za nim. Rozglądam się po zapuszczonym wnętrzu. Jest mocno zniszczone, chyba od lat też niesprzątane. Pamięć podsuwa mi wspomnienia, wtedy nie było tutaj tak źle.

Drzwi do pokoju po prawej są otwarte. Nie mogę się powstrzymać i przystaję w progu. To w tym pomieszczeniu, w samym rogu, koło okna, stała bezbronna dziewczynka, która nas wezwała. Odsuwam od siebie niegasnące wyrzuty sumienia i ruszam dalej.

Docieram do kuchni, Popławski siedzi już za stołem. Sięga po papierosa. Odpala go i patrzy na mnie mętym wzrokiem. Jest wypity. Siadam na wolnym krześle naprzeciw niego.

- Zna pan Sabinę Gancarek, prawda? - podejmuję.

- Pewnie - rzuca mężczyzna, znów zaciągając się papierosem.

- Co pana z nią łączy? - pytam.

Popławski świdruje mnie wzrokiem. Wciąga kolejny haust dymu do płuc i nic nie mówi. Potem drugi i znów to samo - cisza.

- A co? - odzywa się wreszcie. - Czego pan pytasz o Sabinę?

Dym szczypie mnie w oczy. Sina mgła, coraz gęściej zbierająca się w pomieszczeniu, przesłania mi widok.

- Można powiedzieć, że był pan dla niej jak ojczym - mówię.

- Można tak powiedzieć - przytakuje Popławski.

- Był pan jedynym bliskim Sabiny po tym, jak zmarła jej matka.

- To prawda. - Zaciąga się papierosem.

- Zawsze dobrze ją pan traktował - rzucam kolejne stwierdzenie. - Powiedziała mi o tym.

- Była fajną dziewczynką.

- A Jowitę Niedbalec pan zna? - zmieniam nagle temat.

Mężczyzna gasi papierosa w słoiku po kiszonych ogórkach, pety już się z niego wysypują. Widzę, że dłoń mu drży, nie jestem pewien, czy dlatego, że denerwuje się rozmową, czy to zwykłe delirium.

- Kierowniczką sklepu, w którym pracowała Sabina - podpowiadam Popławskiemu.

Mężczyzna się nie odzywa. Wyciągam więc z kieszeni kilka zdjęć. Prywatna kamera na jednej z posesji przy ulicy biegnącej wzdłuż zaplecza sklepu zarejestrowała moment, gdy ktoś wchodzi do środka. Późnym wieczorem, niedługo po zamknięciu dyskontu. Na wydrukach nie widać twarzy, postać jest odwrócona tyłem. Panuje ciemność, ale można z całą pewnością stwierdzić, że intruz to mężczyzna.

- O, tutaj. - Wskazuję palcem na nieco rozmazaną sylwetkę. - To pan?

Popławski nadal nic nie mówi. Sięga za to po kolejnego papierosa.

- Rozpoznał pana chłopak, który pracuje w tym sklepie - oświadczam.

- Tu niczego nie widać - chrypi alkoholik.

- Tu nie - przyznaję. - Ale tu... - Wymnuję jeszcze jedną fotografię. Tym razem to wyraźne zdjęcie Wiesława Popławskiego. Postarałem się o nie już dobrych kilka tygodni temu, wtedy nie sądziłem, że okaże się tak przydatne. - Chłopak widział, jak wcześniej groził pan Jowicie Niedbalec. I pana rozpoznał.

- Wywaliła Sabinę z roboty - mówi. - Chciałem, aby ją przyjęła z powrotem.

- Nie zgodziła się? - zgaduję.

- Sabinka długo nie mogła znaleźć sobie pracy. A tam, w tym sklepie, było jej dobrze.

- I dlatego pan ją zabił?

- Nie chciałem. Ale wkurzyła mnie, kiedy zaczęła opowiadać o Sabince straszne głupoty. Nazywała ją nawet dziwolągiem - prycha mężczyzna. - Sabinka nie jest dziwolągiem, tylko miała trudne dzieciństwo. Pewnie ta cała kierowniczką to nawet pojęcia nie miała, jak ciężko można mieć za dziecka. A ja swoje widziałem. Wystarczająco się napatrzyłem, jak Lidka lała Sabinę.

- Nie mógł pan na to patrzeć? - Pochyliam się bliżej Popławskiego, bo pewna myśl zaczyna natrętnie krążyć mi po głowie. - Na krzywdę Sabiny?

- Dzieci się tak nie traktuje - oświadczają. - Tym bardziej swoich.

- Nie reagował pan?

- Na początku się nie wtrącałem, w końcu nie byłem jej ojcem. Ale to trwało i trwało, było tylko gorzej. Lała ją coraz mocniej. I częściej.

- I co? - dopytuję.

Popławski wzrusza ramionami, jakby nie miał już nic więcej do powiedzenia, ale jego mętne oczy mówią mi coś zupełnie innego. Usłyszałem już wystarczająco dużo, aby to zakończyć. Na dole w radiowozie czeka Piotrek, wystarczy, że dam mu sygnał, żeby wszedł na górę. Mam jednak nieodparte wrażenie, że Popławski chce mówić dalej.

- Tego dnia pokłóciłem się z Lidką... - Moja cierpliwość owocuje. - Właśnie o to, że leje Sabinę. Chciałem, żeby jej trochę odpuściła, żeby chociaż przestała ją lać, bo tam wydzierać się na nią, to wiedziałem, że nie przestanie.

Mężczyzna milknie.

- I co było dalej? Jak matka Sabiny zareagowała na pana prośbę?

- Jak? - prycha Popławski. - Jak to Lidka. Wpadła w szał i zaczęła mnie wyzywać od pojebów, a to przecież ona była pojebana, nie? No i się stało.

Znów milknie. Tym razem ja też nic nie mówię, tylko czekam, aż sam dokończy swoje wyznanie.

- Nie chciałem iść do pudła - odzywa się - było mi szkoda Lidki, no bo jednak mieszkaliśmy razem, była moją kobietą. Ale w sumie się cieszyłem, bo uwolniłem od niej Sabinę. Zeznałem, że kiedy wróciłem do mieszkania, Lidka nie żyła, a Sabinka siedziała w kuchni i przyglądała się martwemu ciału.

Nie mówię nic przez dobrą minutę. W głowie huczy mi tylko jedna myśl: nie zabiła. Sabina nikogo nie zabiła. Nikogo.

- A teraz co? Teraz już chce pan iść do paki? - Unoszę spojrzenie na Popławskiego. Pali kolejnego papierosa.

- A ile ja jeszcze pożyję? - prycha. - Pewnie mam raka płuc, martwicę wątroby i cholera wie, co jeszcze. Tu nikt się mną nie zajmie. Sabinka pewnie by się tego podjęła, ale ja tego nie chcę.

*

Doktor Banaszewski siedzi oparty o fotel, dłonie trzyma na podłokietnikach. Atmosfera jest posępna. Na jego twarzy maluje się wyraźna udręka.

- Byliśmy przekonani, że Sabina cierpi na zespół stresu pourazowego, że to, co zrobiła, tak bardzo nią wstrząsnęło, że wyparła moment morderstwa. W końcu była jeszcze dzieckiem. - Emerytowany lekarz ciężko wzdycha. - Pracowaliśmy nad tym, aby wydobyć to wspomnienie z jej pamięci, a w rezultacie... Boże drogi! - Mężczyzna unosi dłoń i zaczyna pocierać skórę na czole. - Doprowadziliśmy jej mózg do rekonstrukcji zdarzenia, które tak naprawdę nigdy nie miało miejsca.

Milczę, bo świadomość tego, jak duży błąd popełniono, wciąż mnie miazdzy. Sabina od samego początku była dzieckiem, które nie dostało należytego wsparcia, najpierw od najbliższych, a później zawiódł również system: opieka społeczna, policja, lekarze, cała grupa specjalistów, którzy mają nie dopuszczać, aby takie rzeczy się działy.

Myślę też o Wiesławie Popławskim. Nie ma wątpliwości, że darzył Sabinę czymś na kształt miłości. Jednak wciąż się zastanawiam, czy w ostatecznym rozrachunku to nie właśnie on wyrządził dziewczynie największą krzywdę. Uwolnił ją od potwora, jakim była jej matka, ale jednocześnie skazał na życie w ciągłym poczuciu winy, z trudnym do udźwignięcia piętnem morderczyni. Matkobójczyni.

- Pojawiła się u mnie kilka dni temu - wyznaje doktor. - Była w kiepskim stanie, zmartwiła mnie. Obawiała się nowego leku, który zaczęto jej aplikować. Deprotiksolu. Niemczyk jej go zalecił. - Urywa, ewidentnie wstrząśnięty tym, co się wydarzyło. - Bała się, że źle na nią wpływa, że wywołuje u niej zaniki pamięci i przez to nie pamięta, że...

- Zaczęła seryjnie mordować - kończę za lekarza.

- A wszystko dlatego, że wmówiliśmy jej, że zabiła własną matkę - dopowiada Banaszewski ponurym tonem.

Przed oczami mam trzynastoletnią Karolinę Wideł. Stoi przestraszona w rogu pokoju, bezgłośnie błaga o pomoc. Nie otrzymuje jej ode mnie. Za moment widzę już trzydziestotrzyletnią Sabinę Gancarek. Leży na dywanie obok własnych wymiocin. Tym razem natychmiast rzucam się jej na ratunek. Czy się zrehabilitowałem? Nie, nigdy nie wrócę jej spokoju ducha, ale nie pozwalam jej umrzeć. Tym razem jej nie zawodzę.

SABINA

50.

Ciągle jestem w szpitalu, trzymają mnie tu już kilka dni. Mocno zatrulałam się lekami, które wcisnęła we mnie Mikulska. Uratowało mnie to, że część z nich zwymiotowałam, i to, że Miłek w porę zjawił się w mieszkaniu.

To absurdalne, ale gdybym nie chwyciła za nóż i nie zaczęła wygrażać nim Konradowi, nie byłoby mnie już na tym świecie. Pewnie moje martwe ciało znaleziono by dopiero na drugi dzień. Chyba że Norbert wróciłby wcześniej do domu, bo nie sądzę, aby Konrad odważył się nocować pod jednym dachem z kobietą, która straszyła go ostrym nożem do krojenia mięsa.

Przymykam oczy, nie chcę dłużej o tym myśleć. Staram się koncentrować na tym, że żyję.

I że nikogo nie zabiłam.

Nikogo.

Nawet swojej matki. Chcę być wściekła na Wieśka, chcę go znienawidzić, ale nie potrafię. W pamięci mam to, jak robi mi kanapki, podrzuca cukierki i pozwala oglądać bajki, gdy matki nie ma w domu. Dopuścił się potwornych rzeczy. Pozbawił życia człowieka, kobietę, która wydała mnie na świat. Obarczył tą zbrodnią mnie. Zabił też Jowitę. O żadną z tych śmierci go nie prosiłam, ale wiem, że zrobił to... dla mnie.

- Proszę, kawa.

Otwieram oczy, na skraju mojego łóżka przysiadła Grzesiek.

- Dziękuję. - Przejmuję od lekarza papierowy kubek, z którego wydobywa się aromatyczny zapach.

Niemczyk pogodnie się do mnie uśmiecha. Odwzajemniam mu się tym samym. Trudno mi wyrazić to, jak bardzo się cieszę, że nic mu nie jest. Po tamtym wieczorze, kiedy zaczęłam przed nim uciekać, przekonana, że chce mi zaszkodzić, Grzesiek faktycznie znalazł moje klucze. Chciał mi je oddać, ale obawiał się, że jeśli znów do mnie przyjdzie, tylko pogorszy mój stan. O poranku skontaktował się więc z Miłkiem. Opowiedział mu, co się wydarzyło, a komisarz... posunął się do prowokacji.

Kiedy analizuję tamto przesłuchanie, nie przypominam sobie, aby policjant wprost powiedział mi o śmierci lekarza, jednak tak pokierował rozmową, abym nabrała takiego przekonania. Teraz już rozumiem, dlaczego tamto przesłuchanie odbyło się w cztery oczy, bez protokolanta, który spisałby moje zeznania.

Nie da się ukryć, że swoim działaniem Miłek przysporzył mi mnóstwo bólu. Nie tylko utwierdził mnie w błędnym przekonaniu, że stałam się seryjną morderczynią, ale także – a może nawet przede wszystkim – zwyczajnie, zupełnie po ludzku sprawił, że pękło mi serce. Miałam już nigdy nie zobaczyć człowieka, który zdołał obudzić we mnie potrzebę miłości. Mimo to nie mam komisarzowi za złe, że posunął się do tak drastycznych środków. Robił wszystko, aby dotrzeć do prawdy.

Nosiłam do tego człowieka – Miłka – żal w sercu. Długo. I choć nie byłam tego świadoma, stale się on rozrastał. A teraz? Teraz już go nie ma. Ostatecznie policjant mnie ocalił. Nie tylko nie pozwolił, abym odeszła z tego świata, ale także zdjął ze mnie piętno matkobójczyni.

Dużo myślę też o nawiedzających mnie obrazach. Sądziłam, że to skrawki pamięci z popełnionych morderstw, tymczasem mój umysł pod wpływem odpowiednich bodźców dokonywał rekonstrukcji zdarzeń, które nigdy nie miały miejsca. Ludzki mózg jest nieobliczalny.

- Wiesz, że może pojutrze już cię wypuszczą? - odzywa się Grzesiek. - Rozmawiałem przed chwilą z lekarzem.

- Naprawdę?

- Wyniki ostatnich badań są bardzo dobre.

Uśmiecham się. Wyjdę i z tego. Wbrew pozorom czuję się silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Wiem, że przede mną długa droga do normalności, która tak naprawdę normalnością nigdy nie będzie. Zbyt wiele przeżyłam. Czeka mnie psychoterapia i całkiem nowa strategia pracy nad sobą, ale wiem, że sobie poradzę.

To również nie koniec moich kontaktów z policją. Mikulską udało się namierzyć, przebywa w areszcie. Byłam już przesłuchiwana w jej sprawie, ale Miłek uprzedził mnie, że to dopiero początek. Policjantce postawiono kilka zarzutów, w tym próbę morderstwa. Aspirantka najpewniej skończy za kratkami.

- I musimy pamiętać, że za kilka dni wypada ci kolejna aplikacja... - Grzesiek milknie, spoglądając na mnie łagodnie. - Mam nadzieję, że przestałaś myśleć o tym, aby zrezygnować. Nie możemy pozwolić na przerwę w przyjmowaniu leku, szczególnie po tym, co się wydarzyło.

Unoszę dłoń i dotykam policzka Grzeška. Tak bardzo się cieszę, że już nie muszę się go obawiać. Zawsze chciał dla mnie dobrze, zawsze pragnął tylko jednego - pomóc mi. Nie wiem, jak potoczy się nasza relacja, czy zdołamy zbudować coś trwałego, czy jest nam to pisane. Zobaczymy.

- Nie będę rezygnować z Deprotiksolu - oświadczam.

Grzesiek ujmuje moją dłoń i przyciąga ją do swoich ust. Składa na jej grzbiecie delikatny pocałunek.

- To dobra decyzja, Sabino - mówi i nie podnosząc na mnie wzroku, jeszcze raz całuje moją dłoń. - Bardzo dobra.

POSŁOWIE

Nieufność stale nam towarzyszy, dotyka każdego aspektu naszego życia. Obawiamy się wielu rzeczy, także nowinek medycznych. Podchodzimy do nowych medykamentów i procedur sceptycznie, czasem się ich zwyczajnie boimy. Trzeba przyznać, że to naturalna reakcja, nie ma w niej nic niewłaściwego. O ile nie przysłania nam ona faktów.

Niestety zdarza się, że nowatorskie metody obarczone są wadami - to nieodzowny element innowacyjności. Zdarza się też, że pojawiają się ludzie, którzy nie mają czystych intencji. Nie możemy jednak na całość postępu biotechnologicznego patrzeć przez pryzmat niechlubnych wyjątków. Celem rozwoju medycyny i farmacji jest niesienie ludzkości pomocy, dbałość o zdrowie i życie człowieka. Nie możemy o tym zapominać ani tym bardziej tego negować.

Nie zabiłam to thriller, fikcja literacka, ale obawy głównej bohaterki wobec nowego leku wcale nie są wyolbrzymione. Kiedy obserwuję dzisiejszy świat i to, z jaką łatwością - zwłaszcza w sieci - rozprzestrzeniają się fake newsy, czuję wściekłość. Myślę o tym, jak wielu ludzi ucierpi, bo uwierzy w nieprawdziwe informacje.

Postęp medycyny jest dobrodziejstwem, które ludzkość może podarować ludzkości.

Chcę podziękować kilku osobom, dzięki którym powieść *Nie zabiłam* ujrzała światło dzienne. Pojawienie się na rynku mojego kolejnego książkowego dziecka to dla mnie niezmiennie wielka radość. Jestem wdzięczna Czwartej Stronie Kryminału za to, że wzięła je pod swoje skrzydła.

W szczególności kłaniam się nisko Annie Rychlickiej-Karbowskiej, za to, że dostrzegła w powieści potencjał i nie zawahała się go wykorzystać. Aleksandrze Deskur dziękuję za rzetelną i wnikliwą redakcję powieści, Leszkowi Koźmińskiemu za opiekę merytoryczną nad tekstem, Marcie Kujawie za kreatywność działań marketingowych i cały trud włożony w promocję książki.

Ogromne podziękowania składam również Tobie, czytelniku/czytelniczko, za to, że zechciałeś/zechciałaś spędzić swój wolny czas z książką mojego autorstwa. Mam nadzieję, że jej lektura dostarczyła Ci tego, czego poszukujesz w literaturze. I że niebawem spotkamy się znowu!

Na koniec chcę jeszcze podziękować osobom, których wpływ na powstawanie moich książek nie jest bezpośredni, ale bez których nie byłabym tym, kim jestem, więc i moje powieści nie byłyby takie, jakie są. Mężu, synku i córeczko, kocham Was!

Wszystkie postacie i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne, a wszelkie ewentualne zbieżności z realnym światem to pokłosie mojej wybujałej wyobraźni.

Klaudia Muniak

**POZNAJ OBYCZAJOWĄ
SERIĘ LONDYŃSKĄ
KLAUDII MUNIAK!**



**KSIĄŻKI, E-BOOKI, GADŻETY
I MNÓSTWO OKAZJI ZNAJDZIESZ NA:**

WWW.WYDAJENAMSIE.PL

*Wydaje
nam się*

MAM KRYMINALNY CHARAKTER

Jeśli masz go i ty, koniecznie sięgnij po nasze
kryminały i thrillery.

FREIDA McFADDEN

ZAMKNIĘTE DRZWI



APARTAMENT

IZABELA
JANISZEWSKA



GABINET ŁUSTER

PRZEMYSŁAW ŻARSKI



AGNIESZKA
PIETRZYK

LAS ZAGINIONYCH



www.wydajenamsie.pl